



Z ORŁĄT, ORŁY

MIECZYŚŁAWA ŚLECZKOWSKA

Z ORŁĄT, ORŁY

POWIASTKI I OBRAZY HISTORYCZNE
DLA MŁODZIEŻY



LWÓW — WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZ. SZKÓŁ WYŻSZYCH
MCMXXI

- Czytelnia

Do wypożyczenia
tylko w Czytelni



czyt 884-3

48235

884-3

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 48235



BGZs 48235

ŚWIĘTA KINGA
POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIII WIEKU

ANIOŁ OPIEKUŃCZY

— Jolanto! Jolanto! Chodź-no, popatrz, jakiego przyprowadziłam ci gościa,

Słowa powyższe wymawiała księżna Kinga, żona Bolesława Wstydliwego, księcia sandomierskiego i krakowskiego.

Młodziutka, piękna księżna Kinga, stała w obszernej komnacie zamku krakowskiego, trzymając za rękę ubogiego chłopczynę, mogącego liczyć lat pięć.

— Jolanto! Jolanto! — powtórzyła wołanie księżna.

W tejże chwili wbiegła do komnaty urodziwa dziewczynka, licząca podobnie lat pięć, wyższa jednak od swego rówieśnika, któremu widocznie nędza nie pozwoliła wyrósć, wyglądał blado i mizernie.

Jolanta, piękna i rumiana, przyodziana w kosztowne szaty, wbiegła żywo, lecz postąpiwszy kroków kilka i ujrawszy ubogiego chłopczynę, biednego i obdartego, zatrzymała się, wyduła dumnie wargi i powiedziała:

— Chłopiec ten nie jest gościem stosownym dla królewny.

Wyrzekłszy te słowa, odwróciła się z powagą iście królewską, chcąc wyjść z komnaty.

Księżna Kinga, dostrzegłszy ten ruch Jolanty, zatrzymała ją następującymi wyrazami:

— Powiedz mi, dlaczego jesteś tak niegrzeczną wobec małego Stacha?

Jolanta spojrzała z podziwem na księżną, zdawało się dziewczynce, że jej postępowanie nie potrzebuje wyjaśnienia, lecz, gdy Kinga wzrok pytający utkwiała w młodszej siostrze, wtedy odpowiedziała:

— Na dworze ojca mego, króla węgierskiego, nie bawiłam się nigdy z brudnemi, obdartemi dziećmi.

Nim księżna Kinga zdołała odpowiedzieć siostrze, weszła do komnaty poważna niewiasta, niosąc kubek mleka i kromkę białego chleba. Księżna Kinga, odebrawszy posiłek z rąk niewiasty, zachęciła onieśmielone chłopię do przyjęcia pokarmu.

— Usiądź tu, na kobiercu — mówiła łagodnie księżna — i napij się mleka. Nim zjesz śniadanie, przyjdzie do ciebie Józek.

Chłopczyną, ośmielony słowami swojej dobrodziejki, usiadł na kobiercu i wziął kubek z mlekiem do ręki.

— Dobrze z ciebie, posłuszne dziecię — rzekła księżna, gładząc pomotane, płowe włosy dziecka.

Podczas, gdy malec zjadał ze smakiem śniadanie, zwróciła się księżna do swojej młodszej siostry Jolanty, którą niedawno z Węgier przyjechała do Polski. Król węgierski Bela IV i żona jego Marja, rodzice księżnej Kingi, posłali jej małą Jolantę, z obawy, aby księżna na dworze męża swego nie tęskniła za rodziną.

— Pomyśl Jolanto — mówiła księżna Kinga do siostry — czy wyglądałabyś tak czysto i pięknie, gdyby

cię codzień nie obmyto i nie uczesano? gdyby ci nie dawano nowych, gdy ci się stare suknie zniszczą?

Jolanta nic nie odpowiadała, tylko wzrok zdziwiony utkwiała w twarzy starszej siostry.

— Widzisz — mówiła Kinga dalej — gdyby nie starania drugich około ciebie, to wyglądałabyś wkrótce brudno i obdarto, jak Stach. Przyznaj zatem, czy to, że wyglądasz strojnie, jest twoją zasługą? Czy zaś łachmany i nędza są winą Stacha? Czy biedne dziecię zasłużyło na lekceważenie, jakie mu okazałaś?

Jolanta w milczeniu słuchała słów siostry, przenosząc wzrok z mówiącej na ubogiego chłopczynę. We wzroku dziewczynki nie było już ni śladu dumy; natomiast widniało poważne zamyślenie. Księżna Kinga mówiła dalej:

— Widzisz, Jolanto, Stach jest sierotą. Utracił naraz ojca i matkę. Nie było nikogo, kto by obmył i uczesał dziecko, nie miał też nikogo, kto by mu dał nowe ubranie i posiłek, dlatego zgłodniały dzieciak wygląda obszarpano i brudno.

W oczach Jolanty zamigotało rozrzewnienie, zabłyśnięty łzy.

— Nie ma ojca ani matki? — szeptała niemal z przerażeniem. Szczęśliwa Jolanta nie mogła nawet wyobrazić sobie, jak można żyć na świecie, nie mając ni ojca, ni matki.

Księżna Kinga mówiła dalej:

— Czy pamiętasz, Jolanto, kościół, który ci pokazywałam niedawno, gdyśmy były w mieście. Kościół Panny Marji, którego budowę rozpoczął zacny biskup krakowski, Iwo Odrowąż?

— Przypominam sobie — odpowiedziała Jolanta — kościół ten nie jest jeszcze skończony, pracuje około jego budowy mnóstwo robotników.

— Ten, ten — odpowiedziała siostrze księżna Kinga — około budowy kościoła Panny Marji pracował także ojciec Stacha: przedwczoraj spadł z wysokiego rusztowania i zabił się na miejscu. Matka Stacha, od kilku miesięcy chora, nie mogła umrzeć spokojnie z obawy o los dziecka. Umierającej matce obiecałam zająć się jej synem. Nieszczęśliwa kobieta umarła właśnie przed chwilą i dlatego przyprowadziłam tutaj sierotę. Starszy brat jego, Józek, zajmuje się teraz pogrzebem matki i ojca. Po pogrzebie obejmie służbę przy moim dworze. Teraz trzeba nam się zaopiekować małym Stachem.

Sierota, o którym mówiła księżna Kinga, zjadała spokojnie śniadanie, rozglądając się ciekawie po wspańskiej komnacie, której ściany i podłoga zakryte były kobiercami. Największy podziw budził w chłopcu ogromny ozdobny kominek, na którym wesoło płonęło drzewo, rozsiewając po komnacie ciepło i woń żywicznej.

Dzieciak nie nudził się wcale, pomimo, że nie rozumiał toczącej się koło niego rozmowy. Księżna Kinga bowiem rozmawiała ze swoją siostrzyczką w rodzinnej mowie, t. j. po węgiersku. Wprawdzie księżna, przebywająca już w Polsce rok drugi, umiała po polsku; jednak niedawno do Polski przybyłej Jolancie łatwiej było mówić po węgiersku. A może też księżna Kinga, przez wzgląd na chłopca, mówiła niezrozumiałym dla niego językiem, nie chcąc przypominać sierocie zmarłych rodziców.

Dzieciak, siedzący na kobiercu, bawił się tymczasem doskonale, bo oto przybył mu nowy towarzysz, duży pies, Bryś.

Znęcony zapachem śniadania, przybliżył się do chłopca, a obwąchawszy go, począł przymilać się do dziecka, machając wesoło puszystym ogonem.

Dzieciak, ośmielony przychylnością psa, dzielił się z nim obfitem śniadaniem. Pies, zjadłszy spory kawał chleba, położył się obok Stacha, który drobnymi, chudymi rączkami gładził długie kudły Brysia.

Skąd księżna Kinga wiedziała o sierocie po murarzu? zapytacie. Księżna Kinga uważała sobie za najświętszy obowiązek, wiedzieć i opiekować się sierotami, ubogimi i wszystkimi, pomocy potrzebującymi. Każdego też ranka, rychło świt, zrywała się z pościeli, a zaodziawszy się skromnym płaszczem, przywdziawszy kapturek na głowę, odwiedzała w towarzystwie swoich panien służebnych i pacholków, niosących żywność i odzienie, najuboższe domki w mieście.

Księżna zjawiała się w ubogich izdebkach, obdarzała potrzebujących, opatrywała chorych i odchodziła, żegnana błogosławieństwem tych, dla których była prawdziwym aniołem opiekuńczym, aniołem pocieszycielem.

Dziś rano była przy umierającej matce Stacha, sierotę zabrała na zamek.

Po chwili własnymi rękami wykąpała malca, ubrała go w czystą bieliznę i suknie, własnymi rękami rozczesała płowe włosy sieroty i poprowadziła go do pokoju Jolanty. Pocziwe słowa księżny Kingi trafiły snąć do szlachetnego serca dziewczynki, zabawiła się bowiem już teraz w najlepsze z sierotą.

Po kilku dniach chłopczyk tak oswoił się ze swym nowem otoczeniem, że nie tylko odpowiadał na pytania, ale je sam zadawał.

Księżna Kinga uczyła chłopca pacierza i opowiadała mu o Bogu. Mówiła mu, że Bóg jest naszym ojcem, od którego mamy wszystko.

— Nie wszystko — zaprzeczył Stach.

— Jakto nie wszystko? — zapytała zdziwiona księżna.

— Koszulę przecież dała mi miłościwa księżna — odpowiedział dzieciak, podnosząc na Kingę oczy.

— Prawda — rzekła z dobrocią księżna — ja ci dałam koszulę, a nie Pan Bóg, lecz gdyby Bóg nie był obdarował ludzi rośliną, z której włókien robimy tkaniny, nie byłabym ci mogła dać koszuli. Gdyby dobry Bóg nie był stworzył zwierząt, nie mogłabym ci dać ni mleka, ni mięsa.

Chłopiec słuchał uważnie, po chwili, podnosząc oczy na Kingę, zapytał:

— A czy Bóg dał mi Józka?

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— A Brysia?

— Brysia także.

— I miłościwą księżną? — pytał z powagą.

Skinieniem głowy odpowiedziała dziecku księżna, bo uśmiech, igrający na jej ustach, nie pozwolił jej wyrzec słowa. Zato Jolanta śmiała się wesoło i szeptała do ucha siostrze, że u Stacha Bryś ma pierwszeństwo przed księżną.

Stach, nie zmieszany śmiechem królowny, palcem wskazał na siedzącego księcia Bolesława, a podnosząc oczy na księżną, zapytał:

— I jego także?

Głośny, wesoły śmiech królowny Jolanty przekonał chłopca, że popełnił jakąś niewłaściwość, to też, spuściwszy oczy, stał zakłopotany. Poczuł jednak, że czyjaś ręka gładziła go po głowie i posłyszał słowa wymówione głosem dobrotliwym.

— Tak, tak i jego także dał ci Bóg.

Wtedy dopiero ośmielił się malec podnieść oczy i ujrzał przed sobą księcia Bolesława, uśmiechającego się dobrotliwie.

Mała Jolanta stała także obok, mówiąc poważnie:

— Nie można mówić jego, lecz miłościwego księcia!

II

JASEŁKA

Stach nie czuł swego sieroctwa na dworze Bolesława Wstydlivego. Miał obok siebie zacnych opiekunów i pocciwego brata Józka, który po pogrzebie rodziców stanął do służby w książęcej izbie czeladniej. Rąbał drzewo na dziedzińcu, nosił wodę, zamiatął, słowem, brał się do każdej roboty ochoczo. Chętnie używała go księżna Kinga jako posłańca, z różnemi poleceniami, bo zawsze sprawił się dobrze.

Teraz właśnie był potrzebniejszym, jak kiedyindziej; księżna Kinga bowiem zajmowała się sama urządzeniem świątecznych Jasełek. Było tedy bieganiny dosyć za sprawunkami i różnorodnemi obśtalunkami. Wszyscy na dworze krakowskim zajmowali się Jasełkami, a Jolanta i Stach z największą niecierpliwością czekali świąt Bożego Narodzenia.

Nadeszły one niebawem.

W wigilję Bożego Narodzenia zaścielono stoły sianiem, do którego ręce Świętej Pani (tak powszechnie nazywano Kingę) powkładały podarunki dla wszystkich, zasiadających przy książęcym stole, bez względu na to, czy stół ten stał w książęcej jadalni, czy też w czeladniej kuchni.

Stach w sianku znalazł dla siebie krzyżyk na sznurczku, a Jolanta nauczyła chłopca, że krzyżyk ten należy nosić na szyi, ukryty na piersiach. Znalazł także ciepły kożuszek i prześliczne buty. Radość chłopca nie miała granic; nie posiadał bowiem dotychczas ani kożuszka, ani butów. Oderwał się też od swoich darów dopiero wtedy, gdy zadzwoniono na mszę pasterską, na którą podyżił razem z Józkiem i całym dworem. Chłopiec jednak z niejakim rozłargnieniem odmawiał dziś pacierze, a rozłargnienie to sprawiała mu długa zasłona, za którą urządzono Jasełka. Nareszcie zasłona spadła, a oczom chłopca ukazały się — cuda! Ale, że cudom tym przypatrywały się tłumy ludzi, cisnące się na ławki, wieszające się na filarach, zatem pocziwy Józek podniósł malca na ręce, aby mógł dokładnie przypatrzeć się wszystkiemu.

Wzrok jego, olśniony jasnością, nie mógł z początku dokładnie rozejrzeć się w cudownym widowisku. Nie wiedział, czy pierwszej ma patrzeć na dzieciątko Jezus, złożone w żłóbku na sianie, czy na Pannę Najświętszą w złocistej koronie, czy na siwowłosego staruszka, którego imię dobrze zapamiętał, bo było ono takie same, jakie nosił jego brat starszy. A już oczu nie mógł oderwać od nieprzeliczonych chórów anielskich, wznoszących się nad stajenką wysoko, wysoko, aż pod niebieskie sklepienie, na którym jaśniała cudowna gwiazda.

Naraz w stajence zrobił się ruch ogromny: Pastuszkowie przyszli powitać Pana nad Pany; nuże płaszać, nuże śpiewać radosne pienia, nuże przygrywać na ligawkach i skrzypeczkach, nuże znosić podarki przeróżne.

Zaledwie zniknęli ze stajenki krzykliwi pastuszkowie, aliści poklekli przed żłóbkiem trzej królowie w bogatych szatach. Zjawienie się trzech króli, narobiło niemało po płochu między widzami, a to dlatego, że za królami przyprowadzono jakiegoś nieznanego nikomu potwora. Na widok olbrzymiego, poźwornego, o dwóch garbach zwierza, zaniepokoiły się nietylko zebrane w kościele tłumy, ale także żywy wół i osiołek, stojący dotąd spokojnie przy żłóbku.

Służba kościelna, dla uśmierzenia zamieszania, uspakajała zwierzęta i ludzi. Tłumaczono zebrany, że zwierzę o dwóch garbach jest łagodnym stworzeniem, na którym, jak na koniu, jeździli trzej królowie.

Zwierzę owo nazywa się *wielbłądem*.

„A skąd wzięła się ta poczwara w Krakowie?“ pytano zewsząd.

„A toż dziwoląga tego przysłał miłościwemu Panu któryś z książąt ruskich!“ brzmiała odpowiedź. Gdy wielbłąd razem z królami opuścił betlejemską stajenkę, ukazał się widzom niespokojny król Heród, czyhający na życie nowonarodzonego Dzieciątka. Za Herodem przyszła kościśta śmierć z kosą, która też od jednego zamachu ucięła ukoronowaną głowę niegodziwego Heroda.

Po uroczystościach kościelnych oboje księstwo przyjmowali gości w komnatkach zamkowych. „A byli to goście znamienici: Biskup krakowski, Prandota z Białaczowa, wojewoda sandomierski Pakosław herbu Radwan,

wojewodowie krakowscy: Sulisław i Włodzimierz herbu Gryf. Prócz tych dostojników, było mnogo najdostojniejszego rycerstwa.

Goście zebrani teraz na pokojach zamkowych, przed chwilą należeli do przypatrujących się jasełkom, o nich też była mowa w świetnym zgromadzeniu.

— Ależ miłościwa księżna zrobiła wszystkim nie spodziankę, ukazując na jasełkach tę potworną bestję, pochodzącą kędyś z dalekich krajów — mówił wojewoda krakowski.

— A czy też waszmość panowie wiecie skąd owa bestja pochodzi? — rzekł Bolesław Wstydlivy.

— A jakże wiedzieć nie mamy — rzekł któryś z rycerzy. — Wszakże tłumaczono nam w kościele, że to któryś z książąt ruskich przysłał owego dziwoląga Miłości Waszej.

Zaśmiał się książę głośno, posłyszawszy owe odpowiedzi.

— Ale przecież na Rusi nie rodzą się takie potwory. Do Rusi przyprowadzili wielbłąda owi Tatarzy, o których od lat kilkunastu krążą między nami nieustanne wieści, chociaż nikt z nas ich nie widział. Ze straszidłami temi mieli już do czynienia, sąsiedzi nasi, Rusini.

Na wspomnienie Tatarów dreszcz trwogi przeszedł po obecnych.

— Dzicz tatarska to ludożercy — rzekł ktoś z obecnych.

— Tak o nich opowiadają — odrzekł wojewoda san domierski — ale chociażby nawet wieść o tem, że jadają ludzi, prawdziwą nie była, to i bez tego są oni straszni przez swoją dzikość i krwiożerczość. Ucierpieli od nich

dosyć Rusini. Wszak ci to przed paru laty, sprawili taką rzeź na Rusi, że mały Wasylko, synek książęcy, utonął we krwi.

— Może to przesadne? — rzekła księżna Kinga ze zgrozą.

— Gdzie zaś — ozwało się naraz głosów kilka — jest to najprawdziwsza prawda, a jeżeli państwo chcecie mieć dokładne wiadomości o Tatarach, to pytajcie wielobnego ojca Jacka, on ich widział na własne oczy. A o wilku mowa, a wilk tu!

Książd Jacek, dominikanin, wszedł istotnie w tej chwili do komnaty.

III

WIEŚCI O TATARACH

Do męża, którego już wtedy za świętego uważano, zwróciło się całe towarzystwo, pytając o Tatarów.

Święty Jacek Odrowąż, bratanek niedawno zmarłego biskupa krakowskiego, Iwona Odrowąza, był założycielem zakonu dominikańskiego w Krakowie. Nie poprzestał jednakże na szerzeniu i gruntowaniu nauki Chrystusa w kraju, lecz szedł na Ruś, aby tam nauczać i odwo dzić od grzechu mieszkańców, którzy przez obcowanie z dziczą tatarską, popadli w grzechy. Owóż przebywając na Rusi, święty Jacek poznał Tatarów, był nawet w Kijowie, gdy ta dzicz pogańska wtargnęła do miasta, 6 grudnia 1240 roku, i cudownym niemal sposobem uszedł śmierci, podczas gdy Tatarzy, opanowawszy miasto, zniszczyli je rabunkiem i ogniem, mieszkańców zaś w pień wycięli.

Gdy księdz Jacka pytano zewsząd o Tatarów, mąż święty wyrzekł:

— O! byłoby lepiej, żebyśmy o nich nigdy nie słyszeli! niestety jednak obawiam się, że chwila już nie-daleka, kiedy ta plaga, srozsza od wszystkich plag egipskich, spadnie na kraj nasz, jako kara Boża za to, że dzieci rodzone szarpią ciało matki swojej.

Słowa wymówione przez świętego męża, zrobiły wielkie wrażenie na obecnych. Wszyscy zrozumieli, jakie to były dzieci, szarpiące matkę na sztuki. Dziećmi temi byli to licznie rozrodzeni książęta krwi piastowskiej, żyjący w nieustannej waśni ze sobą, wiodący ze sobą krwawe boje, dzielący Polskę Bolesławów na małe dzielnice. Słowa księdza Jacka nie odnosiły się jednakże do 19-letniego księcia Bolesława Wstydlwego, który zaledwie wyszedł z pod opieki zacnego Henryka Brodatego.

Bolesław Wstydlwy, siedząc na swojej sandomierskiej i krakowskiej dzielnicy, małym kawałku Polski, zwanym też dlatego Mało-Polską, nie myślał o wydzieraniu dzielnic licznie rozrodzonym Piastowiczom.

Młodziutki książę wiedział jednak, że osłabiona podziałami Polska, nie potrafi oprzeć się skutecznie groźnej nawaie tatarskiej. Siedział też zadumany smutnie.

Spostrzegł to wojewoda krakowski, Włodzimierz, a chcąc natchnąć księcia dobrą myślą, rzekł:

— Ależ ta dzicz tatarska, rzucająca trwogę na całą Europę, chyba nie będzie trudną do pokonania. Słyszałem, że to hultajstwo nie ma żadnego uzbrojenia, to też gdy spotka się z naszym rycerstwem opancerzonem, nie wytrzyma natarcia.

— Mówicie tak wojewodo, bo nie znacie tej niepokonanej siły — rzekł kiwając głową ksiądz Jacek. — Pomyślcie jeno — mówił dalej — co znaczy garść naszego rycerstwa wobec potęgi tatarskiej. Tatarzy, pod wodzą Dżengis-chana, zawojowali liczne koczownicze plemiona azjatyckie i są panami na ogromnej przestrzeni. Kraje ich są dwa razy większe od całej chrześcijańskiej Europy. Dumni swoim powołaniem, ufni w swoją potęgę, postanowili zawojować świat cały, jak to niedawno napisał jeden z wielkich chanów tatarskich do Ojca Świętego.

W liście tym czytałem następujące słowa: „Wy chrześcijanie mniemacie, jakobyście byli sami na świecie i gardzicie resztą narodów. Jednakże skądże to wiecie, komu Bóg swej łaski udzielić raczył? I my także Boga chwalimy i ramieniem jego zburzym świat cały, od wschodu aż do zachodu. Albowiem powiedziano jest, iżby na niebie był tylko jeden Bóg, a na ziemi tylko jeden chan“.

— Słowa powyższe nie są częścią pogroźką — mówił po chwili ksiądz Jacek — bo oto ta azjatycka potęga pcha się na Europę.

Ruś, podzielona podobnie jak Polska, nie mogła skutecznie odeprzeć nawały pogańskiej, to też wielu książąt ruskich stało się hołdownikami tatarskimi.

Jeden z wnuków Dżengis-chana, Batu-chan, jest nie-dalekim naszym sąsiadem. Państwo jego, zwane Kipczakiem, zajmuje obszerne stepy, ciągnące się wzdłuż Wołgi, ku morzu Kaspijskiemu.

— Mówicie wojewodo — rzekł po krótkiej przerwie ksiądz Jacek — że dzicz ta lichy uzbrojona, nie

wiecie jednak o tem, że Tatar od dzieciństwa sposobi się do wojny, nawykły jest do niewygody, jada mało i byle co. Twarda ziemia starczy mu na posłanie, obłok za namiot, każdy manowiec jest dla niego dobrą drogą, najgłębsza rzeka nie wstrzyma go w pochodzie przebywa ją wpław.

Każdy Tatar prowadzi ze sobą kilka chudych, małych, lecz przywykłych do niewygody koni. Którędy przejadą, tam pozostaje tylko naga ziemia i kamień; rabunek jest dla nich żołądem.

Gdy ta rzesza nieprzeliczona ciągnęła przez Ruś, to od rżenia koni, ryku wielbłądów, skrzypu wozów tatarskich, nie można było dosłyszeć głosu ludzkiego.

Słowa księdza Jacka przejęły trwogą obecnych, wszyscy też milczeli czas jakiś. Po chwili, gdy ksiązę na uboczu prowadził po cichu rozmowę z biskupem, księdzem Jackiem i księżną Kingą, wojewodowie z rycerstwem w drugim końcu obszernej komnaty rozmawiali także półgłosem.

— Juściż ta dzicz tatarska, jak nam ją ksiądz Jacek przedstawia, jest straszną potęgą. Ksiądz Jacek, iście święty człowiek, toż słowom jego wierzę jak ewangelji — mówił wojewoda krakowski. — Ale toć my nie baby i tych pogan się nie ulękniemy, jeno im stawimy czoło, jak przystoi na rycerza chrześcijańskiego; raczej zginiemy, niż oddamy się im w niewolę.

— Rzecz prosta, że bronić się będziemy w razie napadu — rzekł wojewoda sandomierski — źle jednak, że miła nasza Ojczyzna słabą jest przez to, iż podzielona na drobne dzielnice, które tak szybko się mnożą, że się ich doliczyć trudno. Ale jakkolwiek dzielnica księcia Bo-

lesława mała jest, słusznie ją nazwano Małopolską, toć przecie pan nasz silną ma podporę.

— O podporze owej pomyślała matka księcia naszego, Grzymisława i siostra jego Salomea, żona królewicza węgierskiego, Kolomana. Kochająca matka i siostra podporę ową znalazły dla młodziutkiego pana naszego, dając mu za żonę królowną węgierską Kingę.

— Ojciec naszej księżnej, król węgierski, Bela IV, to nielada podpora.

— Przecież to królowie węgierscy słyną jako bogacze między monarchami! Bo czego tam niema, w tem błogosławionem królestwie węgierskiem, ubogaconem wodami Dunaju, słynącym kopalniami soli, złota i srebra! Przecież to królowna Kinga wniosła panu naszemu posąg nielada: 40.000 grzywien*).

— Będziemy się mieli czem bronić, mając za sobą tak potężnego sprzymierzeńca.

— Temu zaprzeczyć nie można, że król węgierski jest panem potężnym. Jednak potęga jego za mała przeciwko Tatarom — rzekł jeden z rycerzy — czy nie słyszeliście, mówił ksiądz Jacek, że kraje, nad którymi panują Tatarzy, są dwa razy większe od wszystkich krajów chrześcijańskiej Europy.

— Dopomoże nam Bóg przeciwko poganom — odrzekł ktoś drugi.

— Czy jednak zasłużyliśmy sobie na pomoc i miłosierdzie Boskie? — rzekł przechodzący tamtędy ksiądz Jacek.

*) Na dzisiejszą monetę znaczny ta suma cztery miliony.

BATU-CHAN NAJEŻDŻA POLSKĘ

— Wio! wio! — wołał wesoło dziarski chłopak, siedzący na wózku i śmigający batogiem nad głowami małych ale silnych koników. Wyrazy: „wio! wio!“ wymawiał rzadko, częściej poświstywał wesoło. Koniki bowiem, zaprzężone do wózka, biegły żwawo, nie potrzebywały zachęty, a tem mniej batoga.

— Czem się ty tak cieszysz Józku — pytał parobczaka mały chłopczyzna, siedzący na wózku obok starszego towarzysza.

— A skądże wiesz, że ja się cieszę? — pyta starszy młodszego.

— A czy to trudno zgadnąć — odrzekł dzieciak. — Wszakże gwizdasz wesoło.

— Skoroś odgadł, żem uradowany, to zgadnij także czem się cieszę? — odpowiedział starszy, uśmiechając się.

— Ja myślę, że cieszysz się batem, no i konikami — odpowiedział dzieciak.

— O, jakiś to ty domyślny! — zawołał, śmiejąc się, starszy. — Myślisz, że bał to już największe szczęście.

— Przecież nie powiedziałem, że batem tylko, ale i konikami.

— Konikami, to już prędzej — odrzekł starszy — ale ja jestem wesoły, bo chociaż dobrze nam było w Krakowie na dworze miłościwych księstwa, toć na swobodzie milej.

— Czy to nie mam powodu weselić się, że ujrzą kawał nieznanego mi świata z Krakowa aż do Sandomierza. A czy to nie miło pomyśleć, że nie jesteśmy opuszczonemi sierotami. Bóg zabrał nam rodziców, a oł ze

Sandomierza dziadkowie przypomnieli sobie sieroty i wzywają je do siebie. Zawszeć to u swoich inaczej jak u cudzych.

— Ta my nie byli u cudzych — zaprzeczył chłopczyzna, w którym czytelnicy poznają zapewne Stacha, sierotę. — Czy to księżna Kinga cudza? Czy królowna Jolanta cudza? — mówił dalej, spoglądając na swoje małe ręce, okryte ciepłymi rękawiczkami, które dała mu na drogę królowna.

— A czy to książę Bolesław cudzy? — mówił spoglądając na brata.

— Juści, nasi księstwo miłosierni, uczynni, niech im ta Bóg daje wszystko najlepsze, ależ oni nie nasi krewni. Dziadkowie zaś krew nasza.

Chłopiec nie odpowiedział nic, tylko oczami biegł za batogiem, którym wesoło trząsał brat starszy.

— Może dać ci batóg? — zapytał Józek Stacha, widząc, że chłopiec wodził wzrokiem za batogiem.

Stachowi aż oczy zaświeciły z radości. Za chwilę trząsał batem z wielką uciechą, ale i uwagą, aby koni nie uderzyć.

Pocziwe zwierzęta bez bicia wypełniały gorliwie swoje obowiązki.

Kilkudniowa podróż, przegradzana noclegami i popasami, naprzykrzyła się już Stachowi. Zima nie jest bowiem miłą porą do podróży. To też śnieg i mróz dokuczyły dziecku, a w dodatku na popasach dochodziły ich wieści zatrważające. Powiadano, że Tatarzy z ogromnem wojskiem wkroczyli do Polski. Ukazywali się zbiegowie opowiadający o strasznym wrogu, który w nieprzeliczonej sile zaleje wkrótce kraj cały.

Że jednak wieści o Tatarach krążyły w Polsce nieustannie od lat kilku, przywykli do nich ludzie i niewiele sobie z nich robili, to też zuchowaty Józek nie nastraszył się niemi, lecz jechał odważnie dalej.

Gdy nasi podróżni minęli Skarbimierz, ujrzeni na drodze dziwną postać, o śniadej, szerokiej twarzy, pokrytej rzadkim zarostem i złowrogo błyszczących, małych, skośnie osadzonych oczach. Postać dziwaczna siedziała na małym, chudym koniu, a okryta była kołpakiem i kozuchem na wierzch wełną odwróconym. Na ramionach jeźdźca wisiały dwa łuki, u boku sajdak wyładowany strzałami. Ubrojony był także krzywym pałaszem i toporem. Długi trok wiszący u boku i nahajka na konia, dopełniały uzbrojenia.

Nasi podróżni, nie zdołali jeszcze dokładnie przyjrzeć się dziwacznej postaci, a już ona zbliżyła się do nich, chwyciła konie przy pyskach i jęła wykrzykiwać w niezrozumiałym dla naszych podróżnych języku. Ów dziwacznie odziany i uzbrojony człowiek, to był Tatar na czatach. Na krzyk jego, zbiegło się naraz kilkunastu Tatarów i z przeraźliwym wrzaskiem otoczyli zewsząd jadących. Wywijali nahajkami, okładając nielitościwie Józka i Stacha. Dzieciak przerażony, uchwyciwszy się starszego brata, krzyczał ze strachu i bólu.

Józek, ochłonawszy z trwogi, wpadł w prawdziwą wściekłość, widząc znęcanie się dziczy nad dzieckiem. Smagał też napastników batem, a gdy mu ten odebrano, bił pięściami, ile mu tylko sił starczyło. Walka nierówna, trwała jednak niedługo. Zewsząd pochwyciono Józka za ręce i nogi. Jeden z Tatarów, odwiązawszy trok, wiszący mu przy boku, związał ręce i nogi parobczaka. Skrępo-

wanego rzucono jak barana na wózek. Staszek wśród tego czepiał się rozpaczliwie rąk i nóg brata, lecz dzicy napastnicy oderwali przełkłe dziecko, od rzucającego się bezsilnie Józka, a związawszy mu ręce i nogi, oćwiczywszy nielitościwie nahajkami, rzucili na wózek. Niestety dziecko szlochało w głos, podczas gdy Józek kłął na czym świat stoi. Po skrępowaniu naszych znajomych, jeden z Tatarów siadł na wózku, wziął lice do rąk i zaciąwszy przestraszone konie, ruszył dalej.

Wózek otoczyli Tatarzy z okrzykiem i śmiechem, iście szatańskim.

Wkrótce przywieziono jeńców do okiem nieprzejrzanego obozu tatarskiego. W pośrodku obozu znajdowali się jeńcy zabrani do niewoli. Słychać tu było jęki, szlochania i płacz głośny.

Józka i Stacha wyrzucono z wozu na ziemię, jak gdyby worki lub snopy, przeszukano dokładnie ich wózek, poczem dwóch Tatarów przyprowadziło jeńca Rusina, który z polecenia pogan, rozpytywał Józka skąd i dokąd jechał. Odpowiedzi parobczaka Rusin tłumaczył na język tatarski.

Przez tłumacza dowiedzieli się Tatarzy, że Józek jechał od Krakowa. Wiadomość ta ocaliła życie Józkowi. Tatarzy bowiem ciągnęli teraz na Kraków, potrzebowali przewodnika po nieznanym im kraju. Takiego poniewolnego przewodnika zrobili sobie z Józka. Gdyby nie to, że chłopak był im potrzebny, byłiby go niechybnie zamordowali.

Jakkolwiek Józkowi nie groziła w tej chwili śmierć, to spotkał go cios boleśniejszy od śmierci.

Rozwiązano mu nogi i popędzono w głąb obozu. Daremnie Józek błagał, aby go nie rozdzielano ze Stachem,

daremnie szamotał się ropaczliwie, okryty gradem naha-jek, musiał odejść. Długo przecież słyszał rozpaczliwe łkanie Stacha.

Biedne dziecko pochwycił Tatar i rzucił je na wóz, na którym leżało kilkoro zapłakanych dzieci i kilka niewiast. Wszyscy byli trokami tatarskimi skrępowani. Stach łkał głośno, żałośnie, wołając:

— Józek! Józek!

Gdy jednak wołany brat nie nadchodził, przestał nań wołać, natomiast krzyczał:

— Miłościwa księżno, ratuj! Zlituj się, zlituj królewno Jolanto!

Wyrazy owe powtarzane nieustannie, zwróciły uwagę siedzącej na wozie kobiety. Cicho rzekła do dziecka.

— Czy to ciebie nie nauczono, że w każdej potrzebie należy wzywać pomocy Boskiej, a nie ludzkiej. Nasza księżna, cnotliwa pani, miłosierna, nic ci przecie w tej chwili nie pomoże. Z tego piekła, do którego wtrąciły nas ręce pogańskie, wybawić nas może jeno Bóg i Matka Najświętsza, do nich też trzeba zanieść prośbę błagalną. Naszej księżnej grozi także niebezpieczeństwo od nawały tatarskiej, to też i za nią modlić się trzeba, a nie wzywać daremnie jej pomocy.

Stach, słuchając kobiety, przestał krzyczeć, przestał płakać, tylko od czasu do czasu wydobywały się z piersi jego łkania. Uspokoiwszy się nieco, przysłuchiwał się rozmowie jeńców, których tu było mnóstwo.

Z rozmowy tych nieszczęśliwych dowiedział się Stach, że Tatarzy, pod wodzą Batu-Chana, wtargnęli do Polski w niezmiernej liczbie. Dzicz ta, niby wielkie zbiorowisko wody, zalała Małopolskę. Na wieść o Tatarach, Bolesław

Wstydlivy, na czele rycerstwa pośpieszył naprzeciw poganom. Pod Opolem stoczono niepomyślną bitwę. Krajowe rycerstwo nie potrafiło obronić zagrożonej Ojczyzny. Dzicz tatarska, posuwająca się naprzód, paliła, rabowała wsie i miasta i mordowała bezbronną ludność.

Z Lublina, Zawichostu, Sandomierza i Skarbimierza, już tylko pozostały zgłiszcza.

Dzicz tatarska, nie zna miłosierdzia. Ich najwyższy wódz i król Batu-Chan twierdzi, że miłosierdzie jest przy-miotem słabych. Oni zaś mocni, wielmożni, uważają siebie za panów świata, to też malutkie w porównaniu z posiadłościami tatarskimi kraiki w Europie i liczne narody w tych małych kraikach wydają się dumnym zwycięstwami Tatarom, plugastwem nikczemnem, które bezlitośnie wytępić należy, aby opanować świat cały.

V

PO BITWIE POD TURSKIEM

Obóz tatarski, do którego zabrano naszych znajomych, rozłożony był w pobliżu wsi zwanej Turskiem. Tutaj postanowili Tatarzy wypocząć. Zmęczeni się bowiem szybkim pochodem, mordem i rabunkiem. Naraz odpoczynek ów przerwało im rycerstwo krakowskie i sandomierskie, prowadzone przez wojewodów i kasztelanów.

Tatarzy poczęli szykować się do bitwy. Nieprzeliczone tłumy Tatarów wysunęły się naprzód, jeńcy zaś otoczeni strażą pozostali z tyłu. Nie widzieli też krwawego boju, toczonego przez polskie rycerstwo z poganami. Słyszeli jeno dzikie okrzyki Tatarów, szcęk oręża i zgietk nie do opisania. Naraz zgietk bojowy stał się większym jeszcze.

Tatarzy zamiast okrzyków zwycięskich, wydają okrzyk trwogi i poczynają uciekać bezładnie.

Straże opuszczają jeńców i umykają w popłochu za swoimi.

Wkrótce dzicz tatarska uszła z pola bitwy, pozostali jedynie pomordowani, a była ich liczba niemała. Jeńcy, niedawno otoczeni strażą tatarską, spostrzegają nadciągające polskie rycerstwo, które z pośpiechem zbliża się do wozów, aby poprzecinać powrozy krępujące ręce i nogi pojmanych. Uwolnieni od Tatarów i więzów, jeńcy wpadają w szal radości, całują ręce i nogi swoich wybawców.

Oto i Józek jest teraz wolny, biega od wozu do wozu, szukając Stacha, naraz spostrzega go śpiącego.

Biedne dziecko, zmęczone i przerażone, usnęło wkońcu i spało twardo wśród zgiełku i wrzawy wojennej. Józek uradowany z odzyskania brata, przecina krzywym tatarskim pałaszem, który znalazł na drodze, powrozy na rękach i nogach Stacha. Dzieciak roztworzył rozespane oczy, a ujrawszy twarz brata, wydał okrzyk radosny, chwycił Józka za ręce, oglądając się trwożnie, czy Tatarzy nie rozłączą ich znowu.

Jeńcy, uradowani oswobodzeniem, zapomnieli o niebezpieczeństwie. Tatarzy umknęli z pola walki, ponieśli wszakże dotkliwą stratę, ale nie była to klęska stanowcza, lada chwila mogli powrócić i powtórzyć napaść. Wojewodowie rozkazali jeńcom schronić się i ukryć w przyległych lasach. Każdy zatem, zaopatrzwszy się w żywność, której dosyć było w opuszczonym obozie tatarskim, szedł do pobliskiego lasu. Tam postanowiono odpocząć. Dzieci i niewiasty zasiadły na obszernej polance leśnej, spóżywając posiłek. Stach oczywiście znajdował się między

dziećmi. Józek zaś ładował nieopodal do wózka znaną żywność.

Naraz, rozchodzi się wśród jeńców okrzyk trwogi i przerażenia.

— Tatarzy! Tatarzy! uciekajcie! uciekajcie!

Wszystko, co żyło, poczęło rozbiegać się w nieładzie. Stach puścił się przed siebie, zapominając o Józku. O niczem bowiem w tej chwili pomyśleć nie mógł, jak tylko o tem, że znowu może dostać się w ręce tatarskie. Józek też daremnie rozglądał się za bratem, wreszcie puścił się za uciekającymi, spodziewając się odnaleźć Stacha.

Po godzinnej ucieczce, gdy nie ukazali się Tatarzy, jeńcy postanowili odpocząć. Ale wśród bezładnej ucieczki i zamieszania, dzieci odłączyły się od matek lub krewnych, teraz też jedni szukali drugich. Matki szukały dzieci; dzieci zaś zawodząc żałośnie, szukały matki lub opiekunów. Józek nadaremnie szukał Stacha. Nigdzie go nie było, nigdzie nie mógł dopytać się o niego.

Zapewne ciekawi jesteście, co się stało ze Stachem. Oto biegł czas jakiś z innymi, jednak z każdą chwilą, czuł większe zmęczenie, czuł, że mu gwałtownie siły ubywa; strach jednak przed Tatarami pędził dziecko naprzód, dalej, a dalej. Naraz zawadziła mu się noga o wystający korzeń drzewa; potknąwszy się, padł w gęste zarośla, uderzając głową o kamień.

Uderzenie było tak silne, że odjęło mu na chwilę przytomność; nim ją odzyskał, uciekający jeńcy, nie dostrzegłszy upadającego Stacha, byli już daleko. Chłopiec oprzytomniawszy, z przerażeniem dostrzegł swoje osamotnienie. W gęstych zaroślach młodej sośniny, był wprawdzie dobrze ukryty, lecz nie mógł leżeć na ziemi okrytej

śniegiem. Zimno zmusiło biedne dziecko do opuszczenia kryjówek.

Wyszedszy z zarośli, nie wiedział, w którą udać się stronę, ślady bowiem stóp ludzkich widać było w najrozmaitszych kierunkach. Uciekający bezładnie rozbiegali się w rozmaite strony.

— Józek! Józek! — powtarzał biedak załóżnie.

Zapłakany, przerażony, począł iść naprzód, bał się krzyczeć, aby go nie posłyszeli Tatarzy.

Po dłuższem, nadaremnie poszukiwaniu towarzyszy, Stach był tak zmęczony, że dalej iść nie mógł. Trzeba odpocząć koniecznie, pomyślał, oglądając się za jaką kryjówką. Nie było w tem miejscu gęstych zarośli, zato ujrzał olbrzymi dąb z wielką dziuplą pośrodku.

Do dziupli jął spinać się nasz chłopczyzna. W chwili jednak, gdy chciał wsunąć się do niej, spostrzegł, że nie była próżną. Wypełniały ją plastry słodkiego miodu, złożonego tu przez pracowite, dziko żyjące pszczoły.

Dziupla, wypełniona miodem, nie mogła posłużyć Stachowi za chwilowy przytułek, mógł przecież użyć spiżarnianych zapasów, złożonych tu przez skrzydlatych pracowników. Tem bardziej, że nie broniły mu przysmaku same właścicielki, pozostające jeszcze w półśnie zimowym, a znajdujące się poniżej plastrów miodu. Dziecku dokuczał głód i ten doradził mu korzystać z napotkanego przypadkiem miodu. Wziął spory plaster miodu, przyda mi się, pomyślał, do chleba, który miał na szczęście w zanadrzu. Obawa jednak przed Tatarami nie pozwoliła Stachowi zasiąść do posiłku, lecz nakazała mu szukać innej kryjówki.

Gdy się za nią rozglądał, spostrzegł ciekawe widowisko. Oto z pnia wysunęło się naraz kilka spłoszonych wiewiórek.

Piękne mieszkanki lasu rozbiegły się szybko w rozmaite strony. Niedługo czekał Stach na wyjaśnienie powodu trwogi biednych stworzeń. Za jedną puściła się w po-goń drapieżna kuna leśna. Oba zwierzątka, mignawszy się razy kilka wśród drzew, zniknęły z oczu naszego chłopczyzny. Stach zaciekawiony ujrzeniem zjawiskiem, zbliżył się do wydrążenia, z którego wybiegły wiewiórki, a że wydrążenie było obszerne, wsunął się w nie. Zastał tu wygodę, o jakich marzyć nie mógł.

W dziupli nagromadzone były znaczne zapasy suchych liści i mchu. To też było tu Stachowi i ciepło i miękko. Prócz postania zastał tu także smaczny posiłek.

Oto znaczny zapas laskowych orzechów. Leśne gosposie, wiewiórki, widocznie zamieszkiwały ową dziuplę, w której znalazł przytułek nasz mały jeniec tatarski. Miód z chlebem i orzechami był prawdziwą ucztą dla wygłodniałego dziecka, za którą też dziękował Bogu w gorącej modlitwie. Trudy i wzruszenia doznane tak bardzo wyczerpały siły malca, że wkrótce zasnął w pałacu wiewiórki.

Gdy się przebudził, była noc, pogodna, gwiazdzista, ale też i mroźna. Dzieciak drżał z zimna i strachu. Położenie Stacha nie było do pozazdroszczenia, osamotniony, w kraju zalanym nawałą tatarską, nie znający drogi, nie mający już żadnego innego pożywienia, prócz małego zapasu orzechów i miodu.

Chłopiec widział przed sobą straszną przyszłość. Jeżeli bowiem pozostanie w swojej kryjówce, to czeka go śmierć z głodu lub mrozu, jeżeli ją opuści, to wpadnie w ręce tatarskie,

Na myśl tę chwyciły go silniejsze dreszcze.

— Ratunku! ratunku! — szeptał Stach.

Chciał wołać na ratunek Józka lub księżnę Kingę, przypomniał sobie jednak słowa kobiety, z którą znajdował się w obozie tatarskim. Pamiętał, że powiedziała mu: „w każdej potrzebie należy wzywać pomocy Boskiej”; to też złożywszy małe zziębnięte ręce, począł głosem żałośnym modlić się:

— Ojcze niebieski! Panno Najświętsza! ulitujcie się nad biednym sierotą.

Wymówiwszy powyższe słowa, przypomniał sobie, że nie on tylko potrzebuje zmiłowania Boskiego. To też do słów powyższych dodał:

— Ojcze niebieski! Miej też w swojej cudownej opiece Józka, księżnę Kingę, królową Jolantę i wszystkich nieszczęśliwych.

Gdy tak w modlitewnej postawie drżącymi ustami wymawiał słowa błagalne, naraz do uszów jego doszły dziwne jakieś głosy, niby wycia psów. Tak strasznie chyba psy nie wyją. Ach to jest wycie wilków, pomyślał. Na tę myśl włosy stanęły na głowie chłopca. Nie możemy się dziwić, że dzieciak tak bardzo przestraszył się przeraźliwego, nieustającego nawet na chwilę wycia wilków. Czekala go od nich niechybna śmierć łada chwila. Biedne dziecko już modlić się nie mogło, lecz poczęło łkać w cały głos. Łkając, nie słyszał Stach nic więcej, nad przeraźliwe wycie wilków; nie słyszał, że jakiś szelest zbliżał się ku niemu. Szelest jest coraz bliższy, coraz wyraźniejszy, naraz w uszy Stacha wpadają wyrazy, wymówione szepem prawie:

— Cicho, Stachu! Cicho!

— Tyżes to, Józku! — zawołał, dzwoniąc zębami, Stach.

— Ja jestem, cicho bądź! bo któż wie, czy niema gdzie w pobliżu Tatarów.

— A czy nie zjedzą nas wilki? — pytał Stach, patrząc w oczy brata.

— Nie bój się. Mają one wspaniałą ucztę na pobojowisku, pod Turskiem, tu nas szukać nie będą.

— A ja się ich tak bałem, okropnie — dodał Stach, tuląc się do brata.

Potem opowiedział dzieciak Józkowi swoje przygody, nie zapominając nawet o orzechach i miodzie. Józek, wysłuchawszy dziecka, powiedział:

— Gdy wśród uwolnionych jeńców nie znalazłem ciebie, wróciłem się, aby cię odnaleźć koniecznie. O! widzisz, Bóg wszechmogący prowadził mnie dobrze.

— O! wysłuchał modlitwy mojej — rzekł weselszym głosem chłopiec.

Przy kochającym bracie nie bał się niczego, czuł się tak bezpiecznym!

Rozumny Józek nie był tak spokojny, jak jego brat młodszy. Odłączywszy się od reszty jeńców i rycerstwa, musiał przekradać się z dzieckiem z nieustanną trwogą, jaka przejmowała chłopaka, na myśl o krążących w okolicy Tatarach. Dobry chłopak nie zdradził się jednak ze swymi obawami przed Stachem, lecz, zwracając się do niego, rzekł:

— Czy jesteś bardzo zmęczony i śpiący?

— Wcale nie — odpowiedział malec — wypałem się doskonale i wypocząłem, ale mi bardzo zimno.

— Chwała Bogu, żeś wypoczęły i wyspany, będziemy mogli zaraz puścić się w dalszą drogę. Idąc, rozgrzejesz się. No, wychodź z wiewiórczego gniazda! —

to mówiąc, dopomógł chłopcu wygramolić się z głębokiej dziupli.

— Wprawdzie mam trochę żywności — rzekł Józek po chwili — ale i znalezionemi przez ciebie orzechami i miodem nie trzeba pogardzać. Wybierz wszystkie orzechy, ja pójdę po miód, a potem, w imię Boże, puścimy się w drogę. Do spalonego przez Tatarów Sandomierza nie mamy po co chodzić, trzeba nam wracać do Krakowa.

VI

OGIEŃ, KREW I ŁZY

Zostawmy obu braci powracających do Krakowa, a zajrzyjmy, co się tam dzieje.

Nawała tatarska nie doszła tu jeszcze, ale doszły tu już straszne wieści o klęskach zrzędzonych ręką pogan. Wieści te napełniły trwogą nie do opisania całą ludność, która też z wiosek uciekała do Krakowa.

Wieści o spustoszeniach tatarskich krwawiły serca księciu Bolesławowi i jego małżonce Kindze.

Księżna Kinga cierpiała bardzo, czuła się bowiem nie panią tylko, lecz kochającą matką narodu. To też drażliwe sumienie księżnej Kingi wyrzucało jej, że jest złą matką, że dzieci swych nie umie ratować od okrutnych pogan. Naraz czoło księżnej wypogadza się, radość, niewidziana oddawna na jej pięknem młodocianem licu, wykwiła cudnym rumieńcem.

Cóż jest powodem nagłej radości? oto księżna Kinga przekonuje się, że może coś zrobić dla nieszczęśliwego narodu. Do tego miłego przekonania przyszła po rozmowie z mężem.

Księżę Bolesław powiedział raz żonie, że krajowe rycerstwo nie potrafi osłonić Mało-Polski przed nieprzeliczoną rzeszą tatarską.

— Gdybyśmy mieli pieniądze, moglibyśmy pomyśleć o najemnych zaciągach, niestety, skarb nasz stoi pustkami.

— Jakto pustkami? — wykrzyknęła księżna — wszakże w skarbcu książęcym leży mój posag.

— Tak — rzekł książę — posag twój leży w skarbcu, ten jednakże nie jest moją, lecz twoją, Kingo, własnością.

— Bolesławie, jak możesz mówić w ten sposób. Gdy inni w obronie kraju wylewają krew, tracą życie, czyż mogłabym pożałować mego posagu? Szczęśliwa jestem, że go posiadam, jedynie dlatego, że przy jego pomocy pozyskamy zbrojne zastępy, które zasłonią bezbronnych od dziczy tatarskiej. Bierz zatem mój posag i zbierajcie co rychlej najemne rycerstwo.

— Niech ci Bóg wynagrodzi za pomoc, użyję teraz twego posagu, lecz uważać go będę jako zaciągniętą pożyczkę, którą oddam ci w najkrótszym czasie.

— Nie mówmy teraz o tem — rzekła Kinga. — Bierz pieniądze i rób, co należy.

— Nie uwierzysz, Kingo, jak ulżyłaś memu sumieniu twoją ofiarą — rzekł wzruszony Bolesław — myśl ta, że nie potrafię zasłonić skutecznie mego kraju, sprawia mi niewymowną boleść. Oddając mi posag swój, dajesz mi możliwość przedsięwzięcia skutecznej obrony mego ludu. Dzięki ci, o dzięki!

Za posagowe pieniądze Kingi zebrano najemnych żołnierzy, z którymi rycerstwo krakowskie i sandomierskie ruszyło przeciwko Tatarom. Oba nierówne wojska stanęły naprzeciwko siebie, koło wsi zwanej Chmielni-

kiem, położonej w połowie drogi między Kielcami a Wiślicą. W niedzielę Białą, ostatnią przed Palmową, wojska polskie i tatarskie stanęły naprzeciwko siebie. Nazajutrz stoczono krwawą bitwę. O świtaniu oba wojska były gotowe do krwawej walki. Wojska polskie wystąpiły w zwartych szeregach, mając na czele wojewodów i kasztelanów. Całkiem inaczej ustawiła się dzicz pogańska. Stanęli oni w dwóch półkolach, oddzielonych znaczną odległością od siebie. W pierwszym półkolu, bliższym wojska polskiego, stały poniewolne zaciągi tatarskie, składały się z zawojowanych ludów przez Tatarów. Składały je zatem najrozmaitsze plemiona azjatyckie, składały je zawojowani i zmuszeni do hołdownictwa Rusini.

Gdy bowiem Tatarzy podbili pod swe panowanie jaki naród, zaraz zawojowanymi powiększali swoje szeregi wojownicze. W szeregach, dowodzonych przez Batu-Chana, mniejsza zaledwie połowa składała się z rodowitych Tatarów, reszta z poniewolnych zaciągów. Rodowici Tatarzy oszczędzali siebie w boju, dlatego też stawali w drugim, odleglejszym półkolu. Na pierwszy ogień pędzili innoplemieńców.

Tak też było i pod Chmielnikami. O świcie rozpoczął się bój krwawy. Polskie rycerstwo, dobrze uzbrojone, walczyło odważnie, zrzuciło też krwawą rzeź między dziczą azjatycką. Dicz ta, poniosłszy wśród kilkugodzinnej walki ogromne straty, nie mogąc dłużej wytrzymać natarcia naszych wojowników, zaczyna ratować się ucieczką. Rycerstwo nasze, jakkolwiek pomęczone kilkugodzinną walką, puszcza się w pogoń za uciekającymi, którzy rozbiegają się na wszystkie strony. Nasze przerzedzone szeregi spotykają świeże zastępy nieprzyjacielskie. Wystę-

pują teraz dopiero do walki Tatarzy, którzy dotąd stali spokojnie ustawieni w dalszym półkolu. Lotem błyskawicy, żywe półkole rozsuwa się, zwiera i tworzy zamknięte koło, które coraz ciaśniejším kręgiem ściska walczących, jak lwy, naszych rycerzy. Zasypuje ich gradem strzał i pocisków.

Można przewidzieć koniec walki, tak nierównej. Rycerzy naszych coraz mniej, opór też stawiają coraz słabszy. Tatarzy wychodzą z boju zwycięzcami. „Wszyscy dowódcy, obaj wojewodowie, Włodzimierz i Pakosław, kasztelanowie Klimunt i Jakób Raciborowic, trupem swoim zaścielili pobojowisko. Przy nich dali gardło najprzedniejsi rycerze: Krystyn Sułkowic z Niedźwiedzia, Wojciech Stampoczyc, Mikołaj Witowic, Ziemięta, Grabina i Sulisław^{*)}).

Po strasznej klęsce pod Chmielnikiem nie było już komu bronić kraju od nawały tatarskiej. Garść ocalałych rycerzy krakowskich i sandomierskich, nieulekniona zwycięstwami pogan, szła na Śląsk. Tu bowiem ksiązę śląski, Henryk Pobożny, zbierał rycerstwo, aby stawić czoło poganom.

Na wieść o klęsce chmielnickiej, szczupła drużyna, otaczająca w Krakowie księcia Bolesława, złożona z niewielu rycerzy domowników i dworzan, błagała pana swego, aby opuścił Kraków i ucieczką ratował siebie i rodzinę. W tej ciężkiej chwili nie pozostało nic innego do zrobienia. Zwycięzcy Tatarzy podążali w stronę Krakowa.

Bolesław Wstydlivy, otoczony swą wierną drużyną, opuścił Kraków, zdążając ku Węgrom. Za przykładem księcia poszli mieszkańcy Krakowa. Zamożniejsi z do-

*) Szajnocha: „Szkice historyczne“.

bytkiem swoim uszli za granicę, uboższa ludność, zabrawszy mienie, ukryła się w pobliskich górach, lasach lub niedostępnych trzęsawiskach. Z każdą godziną wyludniał się Kraków. Znalazła się jednak garstka odważnych, która nie chciała ratować się ucieczką.

Ci odważni zamknęli się w murach kościoła świętego Andrzeja. Kościół miał silne grube mury, małe okienka i wyglądał na obronną warownię.

Kościół w warownię zamienił przed kilkoma laty Konrad mazowiecki, stryj Bolesława Wstydlivego.

Chciwy panowania, Konrad, toczył wojnę z Henrykiem Brodatym, który jako opiekun małoletniego podówczas Bolesława, panował. Konrad, wpadłszy do Krakowa, obległ zamek, w którym zamknął się Henryk Brodaty. Konrad wtedy kazał przy kościele św. Andrzeja pobudować baszty i otoczyć kościół obrońnymi wałami. W ten sposób kościół zamieniono w warownię, w której też usadowił się Konrad. Lecz niedługo się tu ostał, wypędził go stąd Henryk Brodaty.

Dziś w owej warowni szukali schronienia pozostali mieszkańcy starego grodu. Zgromadziwszy naprędce żywność i środki obrony, oczekiwali strasznego wroga. Tatarzy, po zwycięstwie pod Chmielnikami, szli w stronę Krakowa, mordując po drodze bezbronną ludność, rabując, paląc miasteczka i klasztory.

Wieczorem, w sobotę, poprzedzającą palmową niedzielę, zbliżał się do opustoszałego bezludnego Krakowa człowiek obdarty, wynędzniały, zabłocony, niosący na rękach jęczącego chłopczykę.

— Stachu, cicho! Nie płacz, nie jęcz — mówił ów człowiek do dziecka.

W człowieku owym poznają zapewne czytelnicy Józka.

— Widzisz już jesteśmy blisko Krakowa — mówił znowu wędrowiec — tu odpoczniemy bezpiecznie, nie będziemy cierpieć zimna i głodu.

Stach wycieńczony głodem i trudami, chory z przeziębienia, nie mógł iść dalej o swoich siłach. Poczciwy brat starszy niósł go na rękach, znosząc wytrwale głód i zimno. Z obawy przed Tatarami, przekradał się ostrożnie przez lasy i manowce. Niewygody i niedostatek znosił mężnie Józek, myśl bowiem, że w Krakowie znajdzie bezpieczne schronienie, dodawała mu odwagi i wytrwałości. Kraków uważał Józek jako kres męczącej drogi i dlatego pomimo zmęczenia przemawiał wesoło do chorego dziecka, w chwili, gdy ujrzał wieże, licznych już podówczas kościołów starego grodu.

Gdy jednak Józek, wszedłszy do miasta ujrzał, że jest bezludne, skamieniał z podziwu i przerażenia. Domyślił się odrazu, że miastu grozi niebezpieczeństwo, że przed Tatarami uszła ludność krakowska. Rozpacz ogarnęła chłopaka. Do dalszej drogi brakowało mu już sił. Zresztą gdzie uciekać? gdzie skryć się przed tą straszną nawałą? zalewającą kraj cały. W zmęczonej głowie Józka, żadna dobra myśl powstać nie mogła, szedł przez miasto znękany, patrząc na wyludnione uliczki, na opustoszałe domki, w których nie gorzał wesoły, ciepły ogień, nie błyszczało żadne światelko.

Kraków ówczesny nie był podobny do dzisiejszego Krakowa. Nie było w nim murowanych gmachów, z wyjątkiem kościołów. Miasto składało się z nieregularnie stawianych drewnianych domów, z których pokaźniejsze wy-

glądały jak dwory lub dworki wiejskie, najuboższe zaś, jak lepianki i chaty. Koło nieregularnie porozrzucanych domów mieszkalnych, znajdowały się stajnie, a nawet chlewki, otaczały je mniejsze lub większe ogródki. Gdyby nie kościoły i zamek na Wawelu, Kraków wyglądałby jak wielka wieś, mająca liczne dwory i liczne chaty.

Zmęczony śmiertelnie Józek z jęczącym Stachem, szedł bezmyślnie przez wyludnione miasto, patrząc osłupiałymi oczami wdół. Był tak zmęczony przebytą drogą, to też zaciszne domki kusiły biedaka do odpoczynku. Niech się dzieje co chce, myślał, niech mnie zabiorą Tatarzy, ja odpocząć muszę. Nie mam sił do dalszej drogi, zresztą czy później czy prędzej, nie ujdę dziczy tatarskiej.

W chwili, gdy Józek chciał wejść do najbliższej chaty, ujrzał wdał światło. Na zmęczonej twarzy parobczaka zabłysnął na ten widok promień nadziei, promień radości. Zatrzymał się nasz wędrowiec i utkwiał wzrok w połyskującym wesoło światelku. Przecież są jeszcze ludzie w Krakowie, pomyślał i podążył w stronę kościoła św. Andrzeja, skąd dobywało się światło. Przyszedłszy pod okopy, otaczające kościół, począł wołać o litość żalnym, słabym głosem.

Czuwano snąc w twierdzy, bo zaraz posłyszano jękliwy głos Józka. Straże, wypytawszy przechodnia co za jeden i skąd przybywa, przekonawszy się, że nie jest szpiegiem tatarskim, wpuścili nieszczęśliwego do twierdzy. Wkrótce potem, obaj bracia nasyceni, napojeni, obmyci i czysto przyodziani, leżeli na słomie w jakimś zakątku twierdzy. Po mozolnej drodze wśród zimna, głodu, niewygody i ciągłej trwogi, zdawało się naszym podróżnym, że dostali się do raju. Stach przestał jęczeć, przyłożywszy

głowę, nie do poduszki, bo jej nie dostał, lecz do słomy, usnął twardo. Józek jednak pomimo zmęczenia, długo usnąć nie mógł. Nie dały mu zasnąć posłyszane tu wieści.

Józek po bitwie pod Turskiem, skąd uszedł szczęśliwie z rąk tatarskich, nic nie wiedział, co się działo w kraju, przedzierał się bowiem do Krakowa lasami i bezludnymi bezdrożami, najczęściej nocą, aby uniknąć spotkania z Tatarami. To też nie słyszał ani o klęsce pod Chmielnikami, ani o ucieczce księstwa do Węgier, ani też o tem, że Tatarzy ciągną na Kraków.

Teraz zatem chociaż znalazł schronienie z bratem, spać nie mógł z obawy, że prędzej, czy później, dostanie się w ręce dziczy tatarskiej.

Nie oparło się poganom rycerstwo, czyż oprze się garstka odważnych, zamknięta w kościele św. Andrzeja? Biedny chłopak nie mógł odpowiedzieć sobie twierdząco. Cóż zatem dziwnego, że myśli trwożliwe spędziły sen ze zmęczonych powiek Józka.

Nazajutrz była niedziela palmowa, obchodzona od wieków uroczyście przez chrześcijan. Ludność, zamknięta w kościele św. Andrzeja, modlitwą gorącą obchodziła dzisiejszą uroczystość. Naraz, rozległy się w powietrzu dzikie okrzyki. Ci, co już mieli nieszczęście spotkania się z Tatarami, poznali, że krzyki te wydali dzicy najeźdźcy. Istotnie, Tatarzy weszli do Krakowa; a zastawszy bezludne i spustoszone miasto, krzyczeli, a raczej wyli z niezadowolnienia. Na pierwszym wstępie do stolicy, spotkał Tatarów bolesny zawód; liczyli bowiem na bogate łupy, a zastali pustkę jeno.

W jednym okamgnieniu, rozsypali się po mieście, to też spostrzegli, że nie całe miasto jest bezludne. Ujrzeni

czuwających za okopami, w kościele św. Andrzeja. Tatarzy, chciwi rabunku, myśleli, że mieszkańcy Krakowa, wszystkie skarby ukryli w murach kościoła. Rzucili się też z wielką natarczywością na okopy. Zamknięci w twierdzy przyjęli Tatarów gradem kamieni, belek i ukropem. Dzicz, wyjąć z bólu, odstąpiła na chwilę od oblężenia. Gdy jednak powtórne próby okazały się bez skutku — Tatarzy nie umieli zdobywać miast, nie znali bowiem machin do zdobywania okopów — głodem postanowili zmusić oblężonych do poddania.

Kilka tysięcy Tatarów otoczyło warownię, reszta pozajmowała opustoszałe domki w mieście, odpoczywając po trudach, obliczając straty w ludziach lub rozdzielając zdobyte w Polsce łupy. Rachunek nie wypadł korzystnie. Zdobyte łupy nie były dostatecznem wynagrodzeniem za ciężkie trudy, za poległych w boju wojowników. Po dokładnym obrachunku, przekonali się Tatarzy, że w tej „nędznej krainie“ napotkali więcej oporu, niż zdobywcy, więcej trudu niż zysku.

Plemiona azjatyckie podbijali z taką łatwością; to też spodziewali się, że i Polskę równie łatwo posiędą. Jakkolwiek Tatarzy, w każdej stoczonej dotąd bitwie z polskim rycerstwem, wychodzili zwycięzcami, lecz zwycięstwa okupywali wielką stratą ludzi. Poniesione straty obiecywali sobie nagrodzić rabunkiem w Krakowie, tymczasem napotkali tu pustki i opór w niepokątej twierdzy. Wściekłość ogarniała zawiedzionych w rachubie Tatarów. Z wielką też zaciekłością napadli na kościół św. Andrzeja. Wszystkie wysiłki dziczy rozbiły się wobec walecznej obrony oblężonych, ci woleli śmierć, niż niewolę tatarską.

Po bezskutecznych próbach, Tatarzy postanowili zaniechać oblężenia, a nie tracąc czasu, pomknąć ku Węgrom. Węgry bowiem były celem wyprawy Batu-Chana. Jak wiemy, królestwo węgierskie słynęło z bogactw, i one to zgnęciły chciwych zdobywcy Tatarów. Batu-Chan zebrawszy ogromne wojsko, liczące 600.000 głów, ruszył na wyprawę. Ale, że ogromna armja Batu-Chana potrzebowała wiele żywności, której nie spodziewano się znaleźć po drodze, dlatego rozdzielili się Tatarzy na trzy wielkie oddziały, czyli szlaki. Jeden z nich, jak widzieliśmy, ciągnął pod wodzą samego Batu-Chana przez Mało-Polskę na Węgry, drugi miał wkroczyć tamże od strony siedmiogrodzkiej, trzeci zaś przez Wielko-Polskę i Śląsk.

Tatarzy, ciągnąc przez Polskę, nie spodziewali się napotkać tak wielkiego oporu, nie liczyli na tak dotkliwe straty. To też nie chcąc dalej dla marnej zdobyczy tracić sił, postanowił Batu-Chan, odpocząwszy w Krakowie, ciągnąć przez góry do Węgier.

Przez cały Wielki tydzień trwał odpoczynek. Wreszcie w Poniedziałek Wielkanocny opuścili Tatarzy miasto. Przed odejściem podpalili Kraków w kilku miejscach. Drewniane domy stanęły w ogniu, który w jednej chwili zamienił gród piastowski w morze płomieni. Straszny widok przedstawił się ludziom zamkniętym w murach kościoła. Zdawało im się, że stanęli u wrót piekła. Płonące miasto, z dziczą tatarską, dawało wierny obraz piekła i szatanów.

Dzikie, przeraźliwe wrzaski, sprawiane przez Tatarów, słabły z chwilą każdą, co przekonywało oblężonych, że wróg oddala się z miasta. Nie śmieli jednak opuścić swego bezpiecznego kąta. Wielki tydzień i święta Wielka-

nocne przeżyli nieszczęśliwi w ciągłym oczekiwaniu śmierci. To też teraz, gdy Tatarzy opuścili miasto, oblężeni nie mogli uwierzyć w swoje oswobodzenie. Wkońcu wśród przerażonych znalazł się zuch, który ośmielił się wyrzeć poza okopy, a przekonawszy się, że Tatarów już niema, powrócił z radosną nowiną: „Niema Tatarów! Ocalił nas Bóg! Wybawił nas z rąk szatańskich“!

Posłyszawszy pomyślną wiadomość, cała załoga pa-dła na kolana, dziękując Bogu za ocalenie.

Po modlitwie rozwarło bramy, a zamknięci w twier-dzy rozeszli się po mieście, z którego pozostały zgliszcza jedynie. Ocalały jedynie kamienne kościoły.

Józek i Stach przez cały czas oblężenia nie brali udziału w obronie twierdzy. Chorzy ze zmęczenia, zimna i głodu, powoli odzyskiwali zdrowie i siły. Wyszedszy z twierdzy, nie wiedzieli, co poczynać w spalonym i spu-stoszonym mieście? Wreszcie Józek przypomniał sobie jakichś znajomych na Zwierzyńcu, skierował kroki swe w tę stronę, lecz i tu także zgliszcza jeno dostrzec można było. Nawet klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu spalono i zburzono.

Co się stało z zakonnicami? Co się stało z mniszką Bronisławą, którą jako świętą czczono? pytał Józek Sta-cha. Dzieciak oczywiście odpowiedzieć nie mógł, bo nie wiedział.

Naraz postać jakaś, okryta łachmanami, poruszyła się wśród zgliszców i gruzów, a przybliżając się do Józka rzekła:

— Pytacie co się stało z zakonnicami? Oto niby ptaszyny spłoszone, gdy im gniazdo zabiorą, porozbiegały się w lasy i góry. Gdy już Tatarzy kraj nasz opuścili,

powychodziły z ukrycia, a teraz tulą się po chałach wiej-skich. Nasza święta panienka, Bronisława, pociesza ludzi nieszczęśliwych, błakających się jak dzikie zwierzęta po lasach i górach.

— Ot! ja także zeszedłem na dziada, spalono mi dom, zrabowano bydło i dobytek. Zostałem w tych oto łachmanach; a takich jak ja, liczyć można na tysiące. Wszyscy, niby błędne owce, płaczą się po lasach i górach, lub po gruzach i zgliszczach.

— Co teraz poczynać będziemy? — wzdychał Józek, łamiąc ręce.

— Trzeba się wziąć do pracy i odbudować to, co burza pogańska obaliła.

Przez Mało-Polskę przeciągnęła już ta straszna bu-rza, za to drugi oddział zdążył przez Śląsk ku Węgrom. Na Śląsku napotkali Tatarzy dzielny opór. Wrocław zo-stał opustoszony i bezludny, rzucili się też z zaciętością na zamek wrocławski; tu zamknęła się bezbronna ludność z miasta, wyczekując niechybnej śmierci. Nie było komu bronić zamku, rycerstwo bowiem pociągnęło z księciem śląskim pod Lignicę. Niedołężni starcy, słabe kobiety i dzieci przygarnęli się, w ciężkiej potrzebie, pod opiekę męża świętego, znajdującego się w twierdzy. Wszyscy wyciągali błagalne dłonie, do Dominikanina, Czesława Odrowąża, brata św. Jacka, któregośmy na zamku kra-kowskim poznali. Mąż święty wśród potrwożonych tłumów był spokojny. „W Bogu nadzieja!“ powiedział. Naraz, rozdarły powietrze dzikie okrzyki tatarskie. Wróg straszliwy zbliża się ku zamkowi.

Wódz załogi, złożonej ze starców, niewiast i dzieci, Dominikanin Czesław, wychodzi na spotkanie nieprzyja-

ciela. Jakąż bronią pokona wrogów? Bronią nad bronią — modlitwą. Klęka na okopach, podnosi ręce i wzrok błagalny, wysoko, ku niebu.

Tatarzy, ujrawszy na murach bezbronnego, w modlitewnej postawie, zakonnika, stanęli jak wryci. Onże to wyszedł na spotkanie i odparcie tysięcy napastników? Skąd płynie jego odwaga? Gdzie jego siła? pyta jeden drugiego?

Nim na pytanie zdołali sobie odpowiedzieć, ciemność zaległa całą okolicę. Nadciągnęła nagle ogromna chmura i zasłoniła słońce. Huk straszliwy rozległ się w powietrzu, niebo rozwarło się i posypały się na ziemię pioruny, gożdzące w Tatarów.

W tej chwili, zrozumieli poganie, że ów zakonnik ma za sprzymierzeńca Boga. Zdało im się, że podniesionemi rękoma sięgał wysoko, wysoko! aż pod niebiosa. Zdało im się, że stamtąd ściągnął na nich pioruny.

Dotąd mniemali Tatarzy, że zapomocą ramienia boskiego, zawojują świat cały, gdy jednak pioruny spadły na ich głowy, przerazili się, bo spostrzegli, że potężne ramię Boże obróciło się przeciwko nim. Nie czuli w sobie siły do walczenia z potęgą nadziemską, to też z okrzykami przerażenia uciekali od wrocławskiego zamku. Goniły za nimi pioruny, uderzając raz po raz w tłumy Tatarów, zabijające raz po raz barbarzyńców.

Podczas gdy przerażeni poganie uciekali w nieładzie, św. Czesław pozostawał nieruchomy w modlitewnej postawie. Z początku modlitwa jego była prośbą gorącą, przy końcu zaś, dziękczynieniem. A byłóż dziękować za co! Bóg wysłuchał świętego męża, stanął w obronie starców, niewiast i dzieci. A więc Jego pokorny sługa tonie teraz w modlitwie dziękczynnej.

Ludność w zamku wrocławskim, uratowana cudem, biegnie oto ku swemu wybawcy!

On biegnących nie spostrzega, bo w tej chwili rozmawia z Bogiem. Rozmowy nie śmia przerwać ocaleni, to też klękają koło św. Czesława i ku niemu zwracają się w modlitewnych postawach. Czują bowiem, że mają wśród siebie świętego.

W tejsze chwili mąż święty oderwał oczy od nieba i spostrzegł, że ocaleni oddają mu cześć boską. Na ten widok rumieniec wstydu oblał policzki pokornego zakonnika. Chciał wyrzec słowo nagany, nim jednak zdołał otworzyć usta, otaczający go ludzie, wyciągając ręce, wołali: „Zbawco! Mężu święty! Dobrodzieju! Dla zasług Twoich, ocalił nas Bóg!“

— Ocalił nas Bóg! — powtórzył mąż święty — Jemu też, nie mnie, składajcie dziękczynienia.

Pod wodzą Henryka Pobożnego, księcia śląskiego, zebrało się rycerstwo chrześcijańskie, aby odeprzeć pogan ciągnących przez Śląsk. Pod Lignicą na Dobrem - Polu przyszło do spotkania. Polały się tu strumienie krwi, legło 30.000 chrześcijańskich rycerzy: legł książę śląski, Henryk Pobożny.

Gdy matka Henryka Pobożnego, błogosławiona Jadwiga, dowiedziała się o jego śmierci, dziękowała Bogu, że jej dał syna, co krwią przelaną za wiarę, sprawił jej największą radość i chwałę. Radość chrześcijanki — kazała milczeć sercu matki.

Zwycięstwo pod Lignicą, było po stronie pogan. Ależ okupili je drogo! Legły tu nieprzeliczone tłumy Tatarów. To też nic dziwnego, że po takim zwycięstwie, nie mieli ochoty zatrzymywać się dłużej na Śląsku, lecz po-

dążyli ku Węgrom. Tu spotkali Tatarzy także dzielny opór. Ale opór Węgrów nie był dostatecznym do pokonania pogan, to też gospodarowali tu podobnie jak w Polsce. Kędy przeszli, pozostawiali za sobą zgliszczą, gruzy, krew i łzy. Nareszcie, po całorocznej gospodarce, opuścili Tatarzy Węgry i powrócili do swoich posiadłości.

VII

PIERŚCIEN

Z poprzedniego opowiadania wiemy, że Bolesław Wstydlivy z żoną, otoczony małą drużyną wiernych, uszedł z Krakowa do Węgier. Lecz zaledwie stanął w królestwie Beli, aliści zjawili się tu Tatarzy.

Drużyna polska, uchodząc przed niebezpieczeństwem, szukała schronienia w ubogim klasztorze na Morawie. Ale i tu zjawiają się najeźdźcy i zmuszają księcia Bolesława do dalszej tułaczki. Tym razem drużyna książęca skierowała swe kroki ku Polsce, skąd już Tatarzy odeszli. W niedostępnym zamku w Karpatach nad Dunajcem, przeżyła dni trwogi rodzina książęca, wreszcie powróciła do zniszczonego Krakowa.

Smutno było na zamku krakowskim! Książę Bolesław bolał nad niedolą swego ludu, bolał nad spustoszoną krainą swoją, bolał nawet nad swoim ocaleniem.

Sumienie wyrzucało księciu, że uratował jeno życie własne, nie uratował ani narodu, ani kraju. Teraz chciał książę goić rany, zadane narodowi przez Tatarów. Zajął się z wielką gorliwością odbudowaniem spalonej stolicy. Nie było jednak komu wziąć się do pracy; tysiące bowiem padły pod ciosami Tatarów. W tej ciężkiej potrzebie,

sprowadził książę osadników, z gęsto zaludnionych Niemiec. Niemieccy kupcy i rzemieślnicy, znęceni przywilejami, nadanemi im przez księcia Bolesława, wnet zaludnili Kraków, budując w nim nowe domy.

Przy budowie przestrzegano porządku, stawiano domki w prostych linjach, szeregiem obok siebie, przestrzegając, aby zabudowywały regularnie place i ulice.

Chcąc do Krakowa znęcić ludność polską, nadał książę mieszczanom krakowskim rozległe pola, łąki, pastwiska i prawo rybołówstwa w Wiśle. Garnęli się też do stolicy biedacy, pozbawieni przez Tatarów mienia i brali ochoczo darowizny z rąk księcia.

Piastowska stolica dźwigała się szybko z gruzów.

W tych czasach zjechała na dwór książęcy Salomea, siostra Bolesława Wstydliwego. Mąż jej, Koloman, zginął w bitwie z Tatarami. Strapiona wdowa postanowiła wstąpić do klasztoru w ziemi rodzinnej. Osiadła w Zawichoście, w klasztorze Franciszkanek. Klasztor uposażyła Salomea licznymi włościami, sama zaś pędziła cichy, nabożny żywot ubogiej mniszki.

W kilka lat po klęsce tatarskiej, księżna Kinga z królową Jolantą wybrała się do Węgier. Wielka była radość króla Beli, gdy do serca ojcowskiego przyciskał dawno niewidziane córki. Uszczęśliwiony ojciec, obwoził swoich miłych gości po bogatym królestwie węgierskim. Powiózł także córki swoje w stronę Karpat, do krainy Marmoruskiej, ciągnącej się wzdłuż południowych granic Pokucia. Chciał córkom swoim pokazać bogate kopalnie soli.

Księżna Kinga z zajęciem spoglądała w głąb szczytów solnych, w których uwijali się pracownicy górniczy, dobywający z głębi ziemi przezroczystą, jak kryształ, sól.

Na rozkaz króla, jeden z górników wyniósł z szybu ogromną bryłę soli i położył u nóg księżnej Kingi.

Kinga z zajęciem spoglądała na bryłę soli, poczem zwracając się do ojca, powiedziała:

— Zazdrość jest grzechem; pomimo, że wiem o tem, nie mogę ustrzec się od tego grzechu, wobec ciebie, drogi ojcze.

Król, posłyszawszy słowa córki, roześmiał się wesoło, poczem rzekł:

— Gdybyś mi kochana Kingo jeszcze razy kilka to samo powtórzyła, nie uwierzyłbym ci przecież. Wiem, że moja szlachetna córka nie jest zdolną do tego brzydkiego uczucia.

— Zanadto dobre masz o mnie wyobrażenie, drogi ojcze — odpowiedziała Kinga — niestety muszę powtórzyć raz jeszcze, że zazdrościsz ci tych oto kopalni soli.

Poweselał król, posłyszawszy słowa córki — No, proszę! — powiedział — nie zazdrościłaś mi ani kopalni złota, ani srebra, a zazdrościsz soli. W to mi się jakoś wierzyć nie chce.

— A przecież tak jest — mówiła księżna. — Złota i srebra, dzięki twojej hojności ojcze, mam dosyć, a chociażbym nie miała, nie pragnęłabym go. Lecz żal mi, że moja druga ojczyzna, nadwiślańska kraina, nie ma soli, tak bardzo przydatnego przedmiotu, bez którego trudno obejść się biedakowi.

Król z uwagą słuchał słów córki, wkońcu, uśmiechając się, rzekł: „Aby moja Kinga nie przestała być w oczach ojca doskonałością, aby nie doznawała grzesznych uczuć zazdrości, podaruję jej ten oto szyb solny, nad którym stoimy.

— No! będziesz mogła teraz posolić chleb wszystkim twoim poddanym nad Wisłą.

— Ojczulko, żartuje! — zawołała królowna Jolanta — Wszakże szyb solnego nie można zabrać do Polski.

— Oj! nie żartuję, dziecko, nie. Wprawdzie szyb zabrać nie można, zato można wziąć to, co jest w szybie. Czy sądzisz, że szyb, który podarowałem w tej chwili Kindze, jest pierwszym podarowanym? Niejeden szyb w moich kopalniach ma właścicieli poza granicami Węgier. Nie każda bowiem kraina cieszy się takim błogosławieństwem Bożem, jakim są kopalnie soli.

— Ja też z wdzięcznością, drogi ojcze, dar twój przyjmuję — rzekła uradowana Kinga. — Ot zaraz! w tej chwili biorę dar twój w posiadanie. — To mówiąc, zdjęła księżna Kinga złoty pierścionek z palca i rzuciła go w głąb szybu.*)

— Jesteś już jego niezaprzeczoną właścicielką, — rzekł król Bela, spoglądając z przyjemnością na uradowane oblicze Kingi.

— Z powodu tego, że moja córka stała się właścicielką szybu solnego — mówił po chwili król Bela — będą częstsze stosunki między Węgrami a Polską. I zaraz każę ładować wozy solą, aby za tobą do twojej drugiej ojczyzny jechały.

*) Zwyczaj ówczesny nakazywał, temu, kto wchodził w posiadanie dóbr, przez kupno czy darowiznę, aby prawo swoje do nowej własności okazał przez rzucenie pierścienia lub zabranie grudki ziemi z nowej posiadłości. Był także zwyczaj inny. Oto dawny właściciel, zdejmował czapkę z głowy i wkładał ją nowemu. Zapomocą tej ceremonji, prawa dawnego właściciela przechodziły na nowego.

Po chwili namysłu, mówił król Bela: „Polska i Węgry sąsiadują ze sobą; mogą też mieć podobne plody ziemi. To też może i twoja kraina solne bogactwa posiada“.

— U podgórza krakowskiego znajduje się sól — odrzekła Kinga — lecz owej soli nie można nazwać bogactwem, znachodzi się jej bowiem niewiele. W dodatku jest tylko rozpuszczoną w wodzie, z której ją mozolnie wywarzać potrzeba. Wywarzaniem soli zajmują się w Bochni i Wieliczce. W Wieliczce nawet dobywają sól kamienną, jednak w tak małej ilości, że nie starczy na potrzeby kraju.

Król Bela z uwagą przysłuchiwał się mowie Kingi, wkońcu rzekł:

— Wszystko, co mówisz, potwierdza moje przypuszczenie, że sól w większej obfitości musi znajdować się w Polsce, właśnie w tych miejscach, w których ją z wody wywarzają. Należałoby tam koniecznie przeprowadzić gruntowne poszukiwania.

— Ponieważ za tobą pojedą wozy ze solą, więc dodam do nich kilku zdolnych górników, niechaj poszukują soli, której dotąd nie znaleźliście w dostatecznej ilości.

— Ojcie drogi! Jakże dobrym jesteś! jakże ci wdzięczną jestem za twoje zajęcie się sprawą, która mnie tak żywo obchodzi. O! gdyby poszukiwania za solą powiodły się, jakaby to była rzecz pożądana dla biednego mego kraju, zubożałego rabunkiem tatarskim.

Spoglądnijmy teraz do szybu księżnej Kingi. W chwili, gdy razem z ojcem, troskliwa o dobro kraju księżna, stała nad szybem solnym, pracowało w nim kilku górników. Śród nich znajdowało się pacholę jedenastoletnie. Chłopczyzna za młody był do wykopywania soli, pomimo to nie próżnował. Przewoził na taczkach wykopaną sól. W chwili zaś,

gdy księżna Kinga wrzuciła pierścień do szybu, chłopczyzna znajdował się tuż pod otworem, to też połyskujący pierścionek z brzękiem potoczył się pod jego nogi. Chłopiec, posłyszawszy brzęk, pochylił się i z podziwem podniósł złoty pierścionek.

Naraz zrobił się niezwykle ruch w szybie solnym. Dozorca nakazał ładować solą wozy, które pojedą do Polski za księżną. Pytał także, kto by miał ochotę pojechać do Polski, dla poszukiwania soli?

Górnicy przerwali na chwilę robotę, naradzając się między sobą. Jeden z nich nie naradzał się z nikim, nie namyślał się nawet; zaledwie bowiem dozorca skończył mówić, odłożył młot, a zbliżywszy się do niego, oświadczył gotowość udania się do Polski; prosił zarazem, aby mu pozwolono wyjść z szybu zaraz, bo radby pokłonić się polskiej księżnie.

— No, idź! idź! — rzekł dozorca — wszakto ty z Polski do nas przyszedłeś, a teraz przy pierwszej okazji pilno ci do ojczyzny powracać.

Górnik, usłyszawszy pozwolenie, zbliżył się do pacholęcia, pracującego przy taczkach i rzekł:

— Stachu! czy ty wiesz, że tu jest księżna Kinga?

— Gdzie! gdzie? — pytał uradowany chłopiec. — Chodźmy do niej jak najprędzej.

— Chodźmy — rzekł górnik, biorąc chłopca za rękę. Wkrótce obaj padli do nóg zdziwionej Kindze.

— Co wy za jedni? — zapytała.

— Wdzięczni poddani miłościwej księżnej, synowie murarza, który zabił się przy budowie kościoła Panny Marji w Krakowie.

— Wy to jesteście? — zawołała księżna. — Patrz, Jolanto! czy poznałaś Józka i Stacha, których widziałyśmy po raz ostatni, przed napadem Tatarów, gdy wyjeżdżali do Sandomierza?

Jolanta z zajęciem wpatrywała się w przybyłych, mówiąc: „Nigdybym ich nie poznała“.

— Nic dziwnego, — rzekł Józek — wszak od tego czasu upłynęło lat sześć.

— Wy, Józefie, zmężnieliście, a Stach wyrósł — rzekła księżna Kinga. — Ale powiedzcie mi — mówiła dalej — skąd wzięliście się tutaj?

— Gdyśmy cudem z rąk tatarskich uszli, nie mieliśmy co robić w spustoszonej Krakowie. Gdyśmy się dowiedzieli, że Miłościwi Księstwo są na Węgrzech, to i my tu przyszl. Wprawdzie nie mogliśmy odszukać Miłościwej Pani, ale trafiła nam się robota w kopalni soli, więc dla zarobku zostaliśmy tutaj. Teraz chcemy do Polski powracać z Miłościwą Księżną.

— Jakże się cieszę, że uratował was Bóg i że wyuczyliście się górnictwa. Przydadcie mi się w kraju.

Wkrótce potem wozy ładowne solą jechały do Polski z Węgier. Na jednym z nich znajdowali się nasi znajomi, Józef i Stach; ten ostatni, znudzony długą daleką drogą, zabawiał się często pierścionkiem, znalezionym w szybie księżnej Kingi. Jakkolwiek pierścionelek pochodził z cienkich palców księżnej, był jednak za obszerny, na palce jedenastoletniego Stacha. To też chłopiec wkładał pierścionelek, oł tak, dla zabawy, a pobawiwszy się nim, chował starannie, bo nie wiedząc, czyby to był pierścionelek, zawsze myślał, że może kiedyś uda mu się odnaleźć właściciela. Zdarzyło się pewnego razu, że Stach, włożywszy

pierścionelek na palec, usnął. We śnie obwisała ręka dziecka ku dołowi, a szeroki pierścionelek zsunął się z palca i upadł na ziemię, w chwili, gdy przejeżdżali przez małą wioskę, Bochnią zwaną. Tu znajdowały się liczne studnie napelnione wodą słoną.

W chwili, gdy wozy wyładowane solą węgierską, przejeżdżały przez Bochnię, spadł deszcz ulewny. Strugi wody deszczowej uniosły ze sobą mały pierścionelek i wpłynęły z nim, do starej, zaniedbanej już studni, wypełnionej słoną wodą.

Zaraz po przybyciu górników z Węgier, rozpoczęło pilne poszukiwania soli kamiennej w Wieliczce i Bochni, które podówczas były wioskami. Poszukiwania te jednakże długo były daremne. Aż oło w cztery lata po pierwszych poszukiwaniach, trafił właśnie znajomy nam Józef, pracujący przy studniach w Bochni, na pokład solny, twardy i szary jak ziemia.

Chcąc się przekonać, czy istotnie była to sól, uderzył silnie w pierwszą wydobytą bryłę. Bryła soli rozpadła się na kilka części, a ze środka potoczył się mały złoty pierścionelek.

Stach, pracujący obok brata, pochwycił pierścionelek i wydał okrzyk podziwu.

— Józku! a toż to ten sam pierścionelek, który znalazłem w szybie Marmoruskim, a który zgubiłem w drodze z Węgier do Polski.

— Czyż być może — rzekł zdziwiony Józef. — Jeżeli się nie mylisz, jest to pierścień księżnej Kingi, który ona wrzuciła do swego szybu na ziemi węgierskiej.

— Ależ nie myślę się! jest to ten sam niezawodnie ten sam. Znam go doskonale! miałem go tyle razy w rę-

kach. Tak mi żal było, gdy mi zginął! Nie przypuszczaliśmy wtedy, że go odzyskam.

— No! niedługo nim cieszyć się będziesz — rzekł Józef — trzeba go odnieść księżnie, razem z pomyślną wiadomością, że dokopaliśmy się nareszcie soli. O, jakże nasza zacna księżna się ucieszy dobrą wiadomością.

— Ja sam uważam, że pierścień należy oddać księżnie — rzekł Stach, nie bez pewnego żalu patrząc na złotą obrączkę — ale kiedy tak, to chciałbym przynajmniej sam pierścień ów wręczyć naszej dobrej pani.

— Tyś go w szybie Marmoruskim znalazł, tyś go tu poznał, więc po słuszności, tyś go księżnie oddać powinien — rzekł Józef.

Uradowany Stach, przypatrywał się pierścionkowi, wreszcie zwracając się do brata, zapytał:

— Jakimż cudem pierścionek zgubiony przed czterema laty, znalazł się w bryle soli?

— Stało się to w bardzo prosty sposób. Prawdopodobnie zgubiłeś pierścionek w Bochni, a że tu oddawna były liczne studnie ze słoną wodą, z której wywarzają sól, zatem zgubiony pierścionek musiał wpaść do którejś studni. Widziałeś nieraz w jaki sposób wywarzają sól z wody?

— Widziałem — odrzekł Stach — ogrzewają wodę słoną, woda przez gorąco paruje, a sól zostaje na dnie naczynia.

— To samo dzieje się w słonych źródłach i studniach — mówił Józef — tylko powolniej. Woda ze studni, w której był pierścionek, powoluteńko parowała, a sól osadzała się na pierścionku. Za cztery lata z małych kruszynek, utworzyła się wielka bryła, która oto leży przed nami, a którą razem z pierścieniem poniesiemy do Krakowa.

Gdy kilku górników z Bochni stanęło na zamku krakowskim, przynosząc księżnie Kindze pierścionek i dobrą wiadomość, nie posiadała się z radości.

Po pierwszych radosnych uniesieniach z powodu odkrycia soli kamiennej w Bochni, zabrano się skrzętnie do jej wydobywania. Sól okazała się tu w obfitości ogromnej. Dla wydobywania jej potrzeba było coraz więcej robotników; dla robotników zaś nie starczyło mieszkań w małej wiosce. Brak mieszkań dla górników dostrzegł księstwo, przyjeżdżający tu często z licznym dworem, w celu oglądania skarbów solnych. Brak ich postanowili usunąć. Jak gorliwie zajęli się księstwo budową domów dla górniczej ludności, jak owa ludność powiększała się, świadczy najlepiej ta okoliczność, że we dwa lata po odkryciu kopalni soli w Bochni, t. j. 1253 r., mała dotąd wioska, zamieniła się w miasteczko. W nowym górniczym miasteczku, stanął także okazały domek, w którym zamieszkali dzielni górnicy, Józef i Stach.

Później odkryto także bogate kopalnię soli w Wieliczce, która z wioski zamieniła się, podobnie jak Bochnia w miasteczko. Stało się to jednakże znacznie później, bo dopiero 1290 roku.

VIII

UROCZYSTOŚCI

Pewnego razu, gdy Stach z Bochni przyjechał do Krakowa, trafił na wielką i wspaniałą uroczystość. Oto w kościele zamkowym brała ślub Jolanta, królewna węgierska, z księciem krwi piastowskiej, Bolesławem kaliskim. Stach, dowiedziawszy się o weselnej uroczystości,

wsunął się do kościoła i przypatrywał się z zajęciem dostojnej parze, klęczącej przed ołtarzem. Panna młoda jaśniała urodą i strojem. Jedwab, złoto i drogie kamienie, składały ubiór ślubny Jolanty. Przecież Jolanta pomimo, że miała na sobie strój kosztowny, nie lubiała zbytków. W dzień ślubu przywdziała strój odpowiedni swemu wysokiemu stanowisku, lecz zaraz po uroczystości weselnej, oddała te kosztowne szaty na ubiory kościelne, zaś pieniądze za sprzedane drogie kamienie rozdała ubogim. Jolanta, wychowanka Kingi, wstępowała w ślady starszej siostry.

W orszaku, towarzyszącym państwu młodym do Kalisza, znajdował się także Stach, na czele kilku solą wyładowanych wozów, z których księżna krakowska zrobiła podarek Jolancie. Stach rad był tej podróży, rad z tego, że mógł spoglądać na księżną kaliską, z którą w latach dziecięcych zabawiał się swobodnie. Dziś, jadąc z orszakiem książęcym, spoglądał ze czcią na młodą księżną, darzącą hojną jałmużną ubogich. Młoda para książęca bowiem, jadąc z Krakowa do Kalisza, wstępowała po drodze do każdego kościoła, a wszędzie stawały zastępy ubogich, obdarowywanych hojnie przez Jolantę.

Wkrótce po uroczystościach weselnych, odbyła się w Korczynie inna poważna uroczystość. Wzięli w niej udział oboje księstwo, dostojnicy świeccy i duchowni. Celem zaś tej uroczystości było nadanie księżnej Kindze na zupełną, całkowitą i wieczystą własność całej ziemi Sandeckiej, aż po węgierską granicę — w nagrodę za owe klejnoty i sumy posagowe, które księżna ofiarowała niegdyś na żołd dla wojska, w ciężkiej przeciw Tatarom potrzebie,

Uroczysty akt tej darowizny, zaczynał się w następujący sposób: W imię Pańskie Amen. „My Bolesław,

z przejrzenia Bożego książę krakowski i sandomierski, oznajmiamy wszystkim obecnym i potomnym“, kończył się zaś długim szeregiem podpisów, gdyż wszyscy najwięksi dostojnicy duchowni i świeccy figurowali jako świadkowie tego aktu, który dział się „w Korczynie, dnia 2-go, miesiąca marca, roku od Narodzenia Pańskiego 1257“.

Mocą aktu tego, księżna Kinga stawała się panią samowładną całej ziemi sandeckiej, z tem jednym jedynym zastrzeżeniem — wobec miłości jej ku Polsce, nawet zbytecznem, a mogącym się chyba do jej dziedziców odnosić — *„aby nie wydawała za życia, ani po śmierci ziemi rzeczonej w ręce ludu obcego, ani odrywała takowej w gniewie swoim od narodu polskiego“* *).

IX

KLASZTOR

Od wypadków, opisanych powyżej, upłynęło lat wiele. Ponad Polską przeciągały nieustanne burze. Piastowicze wadzili się ciągle między sobą, a i zewnętrznych nieprzyjaciół nie brakowało. Krzyżacy, Litwini i Rusini niepokoiili rozkawałkowaną Polskę, a najstraszniejsze ciosy otrzymywała od dzikich najeźdców Tatarów.

Dzicz ta, pod wodzą synów Batu-Chana, wpadła powtórnie do Polski 1260 roku. Dopomagali Tatarom ruscy książęta.

Znowu polały się strumienie krwi. Odbudowane po pierwszym najeździe Tatarów miasta, t. j. Kraków, San-

*) Szkice historyczne Karola Szajnoch.

domierz, Zawichost, Łysa Góra, padły ofiarą pożogi i okrucieństwa. Spłonęły w klasztorach liczne księgozbiory, w których znajdowały się spisane dzieje krajowe. Nawała tatarska, po trzechmiesięcznej gospodarce, opuściła zrabowany i zniszczony kraj.

Podczas powtórnego najazdu Tatarów nie ucierpieli nasi znajomi, Józef i Stach. Pracowali zawsze w kopalniach soli w Bochni. Każdy z braci miał już dom własny i własną rodzinę. Stach, pomimo że był zamożniejszym górnikiem, odwoził zawsze sam, potrzebną rodzinie książęcej sól.

Najczęściej bywał w Krakowie i za każdą bytnością widywał się z księżną Kingą. Z solą też jeździł Stach do Skąty, niezbyt odległej od Krakowa. (Dziś miejsce to nazywa się Grodziskiem). W Skale niegdyś był obronny zamek. Po drugim napadzie Tatarów zamienił go Bolesław Wstydlivy na klasztor dla zakonnic, które przed Tatarami uszły z Zawichostu; w ich gronie znajdowała się, jak wiemy, siostra księcia, Salomea.

Stach jeździł także z solą do Kalisza, na dwór księżnej Jolanty, która przyjaźnie witała starego znajomego. Oprawdzała go po pokojach zamkowych, pokazywała mu swoje trzy córki: Jadwigę*), Elżbietę i Annę.

Księżniczki, równie mile jak matka, witały przybysza, znały dobrze przygody jego z lat dziecięcych.

Zczasem wycieczki Stacha z solą ustały. Najpierw przestał dojeżdżać na Skatę. Święta Salomea bowiem umarła.

*) Jadwiga wyszła za mąż za Władysława Łokietka, była matką Kazimierza Wielkiego, Jolanta zatem była babką Wielkiego króla.

Bolesław, chcąc uczcić godnie zwłoki siostry, kazał przewieźć je ze Skąty, do założonego przez siebie kościoła Franciszkańskiego w Krakowie.

Później nie jeździł także do Kalisza, Jolanta bowiem po śmierci męża swego, przeniosiła się do Krakowa, aby połączyć się z ukochaną Kingą.

Wkrótce po przybyciu Jolanty do Krakowa, księżnę Kingę spotkało ciężkie strapienie, śmierć wydarła jej męża.

Bolesław Wstydlivy umarł w grudniu 1279 roku. Zwłoki jego spoczęły także w kościele Franciszkańskim.

Obie książęce wdowy, Kinga i Jolanta, postanowiły zostać zakonnicami, poświęcić się służbie Bożej w cichym klasztorze.

Wiemy, że księżna Kinga była właścicielką ziemi sandeckiej, tu też udała się po śmierci męża, gdy miejsce jego na zamku krakowskim zajął Leszek Czarny.

Księżna Kinga zajęła się gorliwie budową klasztoru w Starym Sączu. Wreszcie też stanął klasztor, w którym zamieszkały zakonnice S. Klary; w ich gronie znalazły się także obie wdowy książęce: Kinga i Jolanta, i stały się błogostawieństwem Bożem dla ziemi sandeckiej.

Dobroczynną, miłosierną, litościwą była Kinga dla drugich, surową dla siebie. W klasztorze, razem z Jolantą, spełniała najpowszedniejsze ciężkie roboty. Myła naczynie w kuchni, zamiatała cele klasztorne, obsługiwała zakonnice, dając w ten sposób z siebie przykład pokory.

Ale obok tych zajęć powszednich, spełniała także czyny cudowne, jak nam o tem opowiadają legendy. I tak, klasztorowi św. Kingi, zbudowanemu w cudownej górskiej okolicy, zbywało na rzeczy nader ważnej, bo na wodzie.

Wynoszenie wody na górę, było trudem niemałym. Święta Kinga postanowiła tego trudu biednym ludziom oszczędzić. Z modlitwą na ustach, podparta laską lipową, poszła aż poza górę, do płynącego strumienia, zwanego Przesiecznicą i wskazała mu końcem laski drogę, którą ma popłynąć, aż do zabudowań klasztornych. Wróciwszy, wetknęła św. Kinga laseczkę w ziemię.

Nazajutrz ze zdumieniem spoglądali ludzie na Przesiecznicę, która, zmieniwszy swój kierunek, przepłynąwszy górę, toczyła wody swoje koło zabudowań klasztornych. Zdumienie gromadki spotęgowało się jeszcze, gdy ujrzała wonny gaj lipowy w miejscu, w którym wczoraj św. Kinga wetknęła swoją laseczkę. Po chwili jednak ludzie dziwić się przestali, gdy ktoś z obecnych przypomniał zdziwionym, że w klasztorze żyje święta Pani, więc Bóg przez nią robi cuda.

Od sześciu wieków wody Przesiecznicy, posłuszne rozkazowi św. Kingi, służą klasztorowi.

Święta Pani, przez którą Bóg zsyłał błogosławieństwa na ludzi, przeżyła wiele dni ciężkich. Oto u schyłku żywota doczekała się jeszcze trzeciego napadu Tatarów na Polskę, roku 1287. Tatarzy bowiem usadowili się już stale nad morzem Czarnem, stąd też mieli niedaleką drogę do Polski. Tym razem oparli się najezdnikom miasta, t. j. Kraków i Sandomierz. Nauczone ciężkiem doświadczeniem, podczas pierwszego i drugiego napadu Tatarów, zabezpieczyły się obronnymi murami. Tatarzy, rozjątrzeni bezskutecznym zdobywaniem miast, z tem większem okrucieństwem rzucili się na bezbronną ludność w miasteczkach i wsiach. Starców i niedołężne kaleki wymordowali bez litości, młodzież zaś uprowadzili w niewolę. Samych

dziewcząt uprowadzili 20.000. Zrabowali także bydło, konie i owce.

Okrutna dzicz, rozlewając krwi morze, posuwała się w głąb kraju, zbliżała się do Starego Sącza.

Gdy wieść o zbliżających się Tatarach doszła do klasztoru, zakonnice, przerażone grożącym im niebezpieczeństwem, pośpiesznie kazały zakładać konie do wozów, aby ucieczką na zamek w Pieninach, ratować się przed niebezpieczeństwem. Na siedmdziesięciu wozach zaledwie zmieściły się zakonnice. Te, które wyjechały najpierwej, znajdowały się już w bezpiecznym schronieniu, podczas gdy inne, które wyjechały później, miały jeszcze przed sobą daleką drogę. A spóźniły się dlatego, że nie starczyło dla nich koni klasztornych, a małe, chłopskie koniki nie umiały pośpieszyć.

Gdy wózki góralskie, wiozące spłoszone zakonnice, pięły się po górach i urwiskach, nadciągają Tatarzy. Przerażeni górale opuszczają zakonnice, aby ukryć się w niedostępnych urwiskach. Opuszczone, nieszczęśliwe kobiety, na widok grożącego niebezpieczeństwa, w modlitwie szukają ratunku.

Już! już! są pewne niechybnej śmierci, gdy naraz zjawia się niespodziewany ratunek. Leszek Czarny, na czele polskiego i węgierskiego rycerstwa, dogonił Tatarów i dotkliwą porażką zmusił ich do odwrotu.

Na wiosnę, po napadzie Tatarów 1288 r., kraj nasz wyglądał jak bezludne pustkowię. Gdzie byli mieszkańcy tej ziemi? — Jedni zginęli śmiercią męczeńską, inni jęczeli w niewoli tatarskiej.

Nie było teraz komu uprawiać pola, to też zarastało bujnie chwastami. Można było przejechać kawał drogi,

nie spotkawszy nigdzie ludzi. Gdyś ich dojrzał nareszcie, serce ścisnęło ci się na widok takiej nędzy. Pomimo utraty sił, spowodowanej nędzą, musieli pracować ciężiej, niż kiedykolwiek. Musieli pracować za siebie, za bydło i konie, zrabowane przez Tatarów. Nieszczęśliwi sami zaprzęgali się do pługów i orali ziemię, przesiątką krwią.

Święta Kinga poraz trzeci goiła rany, zadane biednemu ludowi przez Tatarów. Karzyła głodnych, odziewała nagich. Do klasztoru udawano się w każdej potrzebie, w każdym strapieniu, z tą ufnością, że znajdzie tu każdy niezawodnie pomoc lub radę. W pracy dla dobra bliźnich dopomagały Kindze Jolanta i druga jeszcze siostra Konstancja, wdowa po ruskim księciu, która po śmierci męża osiadła w klasztorze św. Kingi.

W kilka lat po trzecim napadzie Tatarów, t. j. w lipcu 1292 roku, dusza św. Kingi rozłączyła się z ciałem. Na wieść o śmierci świętej Pani, żalność ogromna ogarnęła zakonnicę, ludność miejscową i naród cały. Wszyscy czuli, że ponieśli stratę wielką, nie było między nimi świętej, która ratowała ich w potrzebie.

Śmierć ukochanej siostry Kingi uczuła najbardziej Jolanta, żalność serdeczna nie pozwoliła jej pozostać dłużej w miejscu, w którym lat dwanaście przeżyła z ukochaną siostrą. To też przeniosła się wkrótce do klasztoru Franciszkanek w Gnieźnie, założonego przez nabożnego małżonka Jolanty. Tu pozostała ona do końca życia. Śmierć zabrała ją 1298 roku. Obie siostry, Kingę i Jolantę, zaliczył kościół w poczet błogosławionych.

W poczet błogosławionych zaliczono św. Kingę staraniem Jana III, króla polskiego.

W Starym Sączu, obok klasztornego kościoła, jest kapliczka św. Kingi. W ołtarzu stoi drewniany posąg świętej, odziany w szaty zakonnicę św. Klary, poniżej posągu spoczywają relikwie św. Kingi.

X

GOŚCIE W KLASZTORZE ŚW. KINGI

Goście w klasztorze! — wykrzykniecie z podziwem — wszakito dla uniknięcia gwaru światowego i wszelkich rozrywek wstępowały cnotliwe panienki do zakonu — jakichże gości przyjmować mogły w ciszy klasztornej?

Uspokójcie się, ci goście nie przynosili z sobą światowych rozrywek!

Zazwyczaj bardzo cicho i jednostajnie płynęło życie zakonnicom w klasztorze św. Kingi: mniszki służyły Bogu i bliźnim, spędzały czas na modlitwie i uczynkach miłosiernych. Na głos dzwonka, zawsze o tych samych godzinach, wychodziły z głównego gmachu klasztornego, przytykającego do kościoła i z małych drewnianych domków, w których mieszkaly — podobnie jak dziś Kameduli — i zgromadzały się na chórze. Dzwonek kościelny zwoływał je tu na modlitwę, nie tylko w dzień, ale nawet i w nocy; równie ochoczo zrywały się z twardego łóża i biegły chwalić Boga wspólną pieśnią i modlitwą. W klasztorze św. Kingi mieszkaly, obok mniszek, panienki z najpierwszych rodzin polskiej szlachty, które pod okiem zakonnic otrzymywały wykształcenie i wychowanie. Nauczanie było obowiązkiem zakonnic; dziewczątka uczyły się tu czytać i pisać, uczyły się rozmaitych języków, a obok

tego misternych robót ręcznych, przeznaczonych głównie ku ozdobie domów Bożych.

To życie zakonne, jednostajne, poświęcone modlitwie i pracy, przerywali od czasu do czasu dostojni, lecz czasem także bardzo niepożądani goście; ci ostatni, zamiast rozrywki, wnosili do klasztoru trwogę lub troskę.

I tak, w czasach, gdy Władysław Łokietek walczył o dzielnicę Polski z Wacławem czeskim, wojska cudzoziemskie, niedozorowane należycie, przeistaczały się często w swawolne kupy zbójckie. Jeden z takich oddziałów napada na klasztor św. Kingi 1292 roku, w piękną noc lipcową. Wrzask szajki opryszków przebudził zakonnicę. Przerazone musiały stawić się przed napastnikami.

Ci zbójcy pokazali im wtedy cztery zgrzebne koszuły, umaczane w smołę i oświadczyli, że poubierawszy w nie przełożone klasztoru, zapalą je na nich, jeżeli przedtem nie usłyszą wyznania, gdzie są ukryte skarby klasztorne. Biedne, bezbronne kobiety umierały z trwogi, na groźbę takiej męczarni; skarbów bowiem nie było w klasztorze. Aby zaspokoić napastników, musiały wylęknione kobiety zastawić dwie role klasztorne.

Śród owych rozruchów wojennych w kraju, mieszały zakonnicę u siebie nie tylko oddziały wojsk nieprzyjacielskich. Pojawiały się tu także oddziały Łokietkowe, prosząc o żywność i podwozy. Ciężary takie ponosiły zakonnicę bez szemrania, wiedziały bowiem, że wojownikom, broniącym kraju, należy dostarczyć wszystkiego, czego potrzebują.

Opowiedziawszy wam o niemiłych gościach, nawiedzających klasztor w Starym Sączu, opowiem teraz i o miłych, a pożądanym.

Do nich należał Władysław Łokietek z żoną swoją Jadwigą, o której wiemy, że była córką znanej nam Jolanty, księżnej kaliskiej. Drogim był dla żony Łokietka klasztor w Starym Sączu, założony przez uwielbianą ciotkę Kingę, którą Jadwiga odwiedzała tutaj za życia i zawsze miło jej było u grobu tej świętej ciotki przepędzić jaką chwilę. A i dla dzielnego, małego króla Łokietka, drogim był klasztor, drogą ziemią Sandecka. Szlachta i mieszczaństwo sandeccy przez przywiązanie do św. Kingi, Ignęli do jej powinowatego i dzielnie popierali Łokietka, gdy z bronią w ręku walczył w świętej sprawie połączenia pościartowanej Ojczyzny w jedną całość. Gdy wreszcie żelazna wytrwałość Łokietka zwyciężyła i korona Bolesławów spoczęła na jego głowie, gdy dla Polski nadeszły chwile spokoju, a dla króla odpoczynku, wtedy z żoną zjawił się z licznym poczem u wrót klasztoru, aby oddać cześć zwłokom św. Kingi, spoczywającym w kaplicy klasztornej. Każde odwiedziny królewskie upamiętnione były dla klasztoru jakimś obdarowaniem lub nadaniem korzystnych przywilejów.

Miedzy Polską a Węgrami istniały częste sąsiedzkie stosunki, a ponieważ Stary Sącz leżał na drodze, prowadzącej z Polski do Węgier, zatem przejeżdżający nie pomijali nadarzającej się sposobności odwiedzenia grobu św. Kingi.

Sposobność do podobnych odwiedzin nasunęła się np. w chwili, gdy królowa Elżbieta, córka Łokietka i Jadwigi, wyszła za króla węgierskiego, Karola Roberta. Królowa Jadwiga odwiedzała często swą córkę na Węgrzech, a gdy w r. 1333 król Łokietek zamknął powieki na wieczny odpoczynek, królewska wdowa, Ja-

dwiga, opuszcza podwoje zamku wawelskiego i przenosi się na mieszkanie do klasztoru św. Kingi. Kazimierz Wielki, zaprzątnięty nieustannie pracami około dobra swego narodu, znajdował sobie jednak chwile, aby w klasztorze sandeckim odwiedzać ukochaną matkę. Możecie wyobrazić sobie, jak tu witano wnuka św. Kingi! Jakże to tam urządzano festyny na przyjęcie tak dostojnego gościa!

Czasami bywali tu tak liczni goście, że ich nietylko klasztor, ale nawet miasteczko, Stary Sącz, pomieścić nie mógł. Trafiło się to w roku 1339. W tym bowiem roku umarła owa Jadwiga Kaliska, matka Kazimierza Wielkiego, a uroczystość pogrzebowa sprowadziła do Starego Sącza liczne duchowieństwo, pierwszych dygnitarzy w kraju i tłumy szlachty.

Zwłoki matki Wielkiego króla, złożono w kościele założonym przez św. Kingę.

Goście ukoronowani, bywali często w klasztorze założonym przez córę króla węgierskiego.

Po śmierci nieodżałowanego Króla Chłopków, wnuk Łokietka, Ludwik, król węgierski, razem ze swoją małżonką Elżbietą Bośniaczką, jadąc na koronację do Krakowa, wstąpił do klasztoru, aby oddać część zwłokom królewnej węgierskiej. Zaszczytne odwiedziny pary królewskiej, okupiły mniszki niemałym trudem. Przyjąć bowiem orszak królewski, to była rzecz nie bagatelna! Orszak złożony z karet, poszóstnych cugów luzaków, wozów ładownych kuchnią i innem przyborem, z pachółków, giermków i pocztu rycerstwa, dla obrony dostojnych podróżnych. Była to drużyna zajmująca półmilową przestrzeń. Drużyna umęczona niewygodną drogą, to też zatrzymawszy się w Starym Sączu dla odpoczynku, odpoczywała dni kilka.

Po śmierci króla Ludwika, gdy polscy dostojnicy układali się z królową węgierską, matką Jadwigi, nieustannie orszaki polskie i węgierskie przesuwwały się około murów klasztornych w Starym Sączu. Lecz najokazalszy, najwspanialszy przeciągnął wtedy, gdy po trzecholetniej zwłoce i układach, trzynastoletnia Jadwiga przejeżdżała z Węgier na tron Polski, otoczona pierwszymi dostojnikami Polski i Węgier, wioząca za sobą na niezliczonych wozach wspaniałą i bogatą wyprawę. W obronnym zamku Starego Sącza, odpoczywała ta drużyna, a trzynastoletnia Jadwiga, prawnuczka św. Kingi, nie pominęła klasztoru, w którym niegdyś żyła, a obecnie spoczywała w grobowej kaplicy święta jej prababka.

W ośm lat później, gdy dla układów z cesarzem Zygmuntem zjechał Jagiełło na zjazd do Nowego Sącza, obu monarchom towarzyszyły małżonki Jadwiga i Marja.

Podczas gdy obaj monarchowie z dostojnikami państwa obradowali, obie siostry u grobu swej świętej prababki, czerpały siły do dalszego życia ciernistego, pomimo, że upływało obu na wspaniałych królewskich tronach.

Roku 1440 przez Sącz Stary przeciągał znowu młodziutki król Władysław, syn i dziedzic Jagiełły, powołany na tron węgierski. Młodzieniaszkowi, którego głowę miano ozdobić drugą koroną, towarzyszył orszak wspaniały. Towarzyszyła synowi królowa matka, towarzyszył najwyższy dostojnik państwa, Zbigniew Oleśnicki. Wszyscy zapominając o swoich dostojnościach, chylili kornie głowy u trumny św. Kingi. Wszyscy wobec jej cnót, wobec jej świętości, czuli się maluczkimi.

W kilkanaście lat potem, stawali często u grobu św. Kingi człerej królewicze, z poważnym swym mistrzem,

Janem Długoszem. Synowie bowiem Kazimierza Jagiellończyka, wraz z Długoszem, zamieszkiwali zameczek w Starym Sączu. Tu bowiem w zaciszu, obok zwłok św. Pani, łatwiej było o skupienie ducha, potrzebne do nauki, niż na świetnym zamku wawelskim, gdzie przemieszkiwał król ojciec. Grób św. Pani był żywym źródłem cnót dla królewiczów. Że tak było istotnie, najlepiej świadczy o tem, że jeden z nich, Kazimierz, poszedł śladami świętej, odrzuciwszy nietrwałą ziemską koronę, zdobył sobie niebieską, w której króluje ciągle nad naszą biedną Ojczyzną.

Ależ dosyć już wyliczałam głów ukoronowanych, chylących pokornie czoła przed tą, która tam wysoko w niebie, przez wieki była i jest patronką naszej ziemi — prócz nich i inni jeszcze goście śpieszyli do grobu św. Kingi. W ciężkich chwilach życia, garnęli się doń bogaci i ubodzy, wszyscy z tą wiarą, że prośba ich do Boga, wznoszona za pośrednictwem św. Kingi, wysłuchaną zostanie.

Roku 1431 wielka klęska nawiedziła żupy bocheńskie: pożar zniszczył kopalnię, a żadna siła ludzka nie mogła pokonać niszczącego żywiołu — jak piszą współcześni: „Wielkie dymy i płomienie straszliwe szybami wypadały, tak, że wszyscy rozumieli, iż ta koronna skarbnica w niewecz się obróci“.

„Co robić w tej ciężkiej przygodzie?“ — pytał sam siebie żupnik bocheńsko-wielicki, Mikołaj Serafin z Dąbrówki, mąż zacny, rozumem i cnotami słynący. — „Co robić — skoro siły ludzkie na nic się nie przydadzą, tu jeszcze siła niebieska poradzić może! A wszakże to za przyczyną św. Kingi kraina nasza ubogacona została kopalniami soli. Ją zatem o ratunek prosić trzeba. Niech ona

ulituje się nad nami, niech uratuje dzieło swoje“. — Na wezwanie cnotliwego żupnika, zbiera się gromadka pobożnych i śpieszy do grobu św. Kingi. W pokorze na kolanach błagają o uspokojenie niszczącego żywiołu. I oto w chwili, gdy tłum nabożny korzy się u stóp św. Kingi, gaśnie pożar w żupach bocheńskich.

Nie skończyłabym rychło, gdybym chciała wyliczać mnóstwo cudownych wydarzeń, które spowodowała św. Kinga — to też wspomnę już tylko o uroczystości, która się na cześć św. Kingi w Starym Sączu odbyła:

W lipcu roku 1892 upłynęło właśnie sześć wieków od śmierci św. Kingi, a ludzie udają się do niej z prośbami, tak jak niegdyś, za jej życia. Obchód tej sześćsetletniej rocznicy był bardzo wspaniały: ze wszystkich stron polskiej ziemi zgromadzili się do Starego Sącza pielgrzymi, aby uczcić świętą Patronkę, w miejscach, gdzie pędziła cichy, ubogi, cnotliwy żywot, starając się jedynie o dobro bliźnich.

Czasy, w których na naszej ziemi żyła św. Kinga, były to czasy wielkich klęsk. Głównym powodem klęsk było rozkawałkowanie naszej Ojczyzny i rozerwanie jej na części, trwające od śmierci Krzywoustego.

Oslabiony wojnami domowymi naród, podzielony na kilkanaście dzielnic, nie mógł skutecznie stawić czoła, tak potężnemu wrogowi, jakim był podówczas Tatarzyn. Pomimo osłabienia, nie popadł jednak naród nasz w niewolę tatarską, jak to stało się z licznymi plemionami azjatyckimi, jak stało się z wieloma dzielnicami ruskimi. To też rycerstwo polskie z czasów owych zasługuje na naszą cześć, wołało bowiem śmierć, niż niewolę.

Cześć należną oddają narodowi naszemu nawet obcy, cześć i uznanie oddawali mu Ojcowie święci w Rzymie.

Gdy razu pewnego, po najazdach tatarskich, stanęło polskie rycerstwo przed Ojcem świętym, prosząc go o relikwie, Ojciec święty odpowiedział:

„Czyż wy relikwii świętych nie macie dosyć? Wszak każda grudka waszej ziemi, przesiąknięta krwią męczenników, przelaną w obronie wiary, jest relikwią. Czyż mało relikwii spoczywa w waszej ziemi? wszakże w niej leżą kości tych, którzy w obronie krzyża utracili życie“.

Jak z jednej strony czasy św. Kingi są czasami klęsk, tak z drugiej strony są to czasy, w których święci i błogosławieni żyli między nami, w tak znacznej liczbie: Święci Czesław i Jacek Odrowąż i święte: Kinga, Jolanta, Salomea, Bronisława i Jadwiga Ślączka.

To też Bóg sprawiedliwy, przez zasługi tych rycerzy, którzy w obronie wiary i Ojczyzny ponieśli śmierć, przez zasługi błogosławionych i świętych, zgotował lepszą przyszłość naszej Ojczyźnie, po czasach zamętu i niepokoju, zsyłając jej Łokietków i Kazimierzów, którzy nieszczęśliwą ziemię uczynili wielką i potężną polską krainą.

Ten przykład przeszłości powinien w czasach niedoli i rozdziału krzepić nas otuchą, że Bóg z każdego upadku podźwignąć nas zdolny, byleśmy, jak niegdyś, stali się o męstwo i świętość!

NATCHNIENI DUCHEM BOŻYM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XV WIEKU

ŻACY KRAKOWSCY

Drogą, wiodącą z Wieliczki do Krakowa, idzie dwunastoletnie pacholę. Odzienie jego zniszczone, okryte kurzem, świadczy, że dzieciak odbył daleką, niewygodną podróż.

Śród drogi kąpały go deszcze, osuszały wiatry, paliło słońce.

Ślady przebytych trudów i niewygód znać w drobnej, zmęczonej postawie dziecka i na szczupłej, ogorzałej jego twarzyczce. Pomimo utrudzenia, oczy pacholęcia goreją, niby gwiazdy, rzucając jasne promienie na wybiedzoną twarzyczkę. Twarzyczka ta ma piękny, szlachetny wyraz, rozumne oczy chłopięcia biegną szybciej, niż zmęczone nogi, spoglądają daleko, daleko, a myśl sięga dalej jeszcze, w nieznane, odległe kraje.

Chłopczykowi temu Grześ na imię, żądza nauki wypędziła Grzesia z rodzinnego Sanoka. Nie przestraszało go osamotnienie, nie przestraszało ubóstwo, nie przestraszały nieznane światy, ni obcy ludzie, między którymi miał szukać tego skarbu wiedzy.

Grześ wiedział, że w Krakowie są sławne szkoły, akademja, założona przez Kazimierza Wielkiego; wiedział, że na wyposażenie owej szkoły święta pani, królowa

Jadwiga, darowała perły i kosztowności; wiedział, że szkołę tę odnowił miłościwie panujący król Władysław Jagiełło, którego Ojciec Święty nazywa „najmilszym synem kościoła“, wiedział, że ludzie miłosierni żywią i odzieżają w Krakowie żaków szkolnych — więc czegoż miał się obawiać?

Grześ wyrwał się z gniazda rodzinnego niby młode orle i ot szybuje samotnie po nieznanym sobie świecie. Myśli chłopczyny są szybkie i górne, jak lot młodego orlęcia, nogi zato wątle i znużone idą powoli, krok za krokiem. Powoli, ale wytrwale, więc dojdą do celu. Pacholę idzie od wsi do wsi, zatrzymuje się jedynie wtedy, gdy umęczone nogi domagają się odpoczynku, puka do furty klasztornej, chaty wiejskiej, albo do drzwi plebanji, a uprosiwszy posiłek i chwilowy przytułek, rozpytawszy o dalszą drogę, rusza wytrwale naprzód, dalej i dalej.

Nareszcie już dotarł do celu, już widzi mury Krakowa, ale jest tak zmęczony, że musi odpocząć. Usiadł więc przy drodze, wyjął resztki suchego chleba, lecz nim go jeść zaczął, ujrzał dwóch wyrostków, niosących snopy wonnych leśnych ziół.

Nadchodzący chłopcy, spostrzegłszy Grzesia, zatrzymali się w pobliżu, a starszy z nich zaczął go pytaniem, skąd i dokąd idzie?

Grześ powiedział rówieśnikom, że idzie po naukę do Krakowa.

— My uczęszczamy do szkoły w Krakowie — odpowiedzieli obydwaj chłopcy naraz.

Grześ, usłyszawszy to, rozradował się bardzo i rzekł:

— Chyba sam Pan Bóg was tu zesłał. Ja tu obcy, nie odmawiajcie mi pomocy, pomóżcie mi znaleźć jaki przytułek.

— Co my ci pomoc możemy — odpowiedział jeden z żaków. — Czy to żak krakowski pan jaki, aby mógł pomagać drugim. Sam żyje z łaski i miłosierdzia ludzkiego.

Na to Grześ odpowiedział:

— Nie żądam ja od was niczego więcej nad to, abyście mi jeno pokazali szkołę jaką w Krakowie, do której mógłbym uczęszczać.

Rozmowa, w ten sposób zaczęta, toczyła się dalej. Grześ rad był wywiedzieć się o wszystkim, pytał zatem a pytał. Gadatliwi chłopcy odpowiadali chętnie, dając przychodniowi uczuć swoją wyższość.

Naraz rozległo się w powietrzu dzwonicie. Żacy zerwali się co żywo, chcąc ruszyć z powrotem do miasta.

— A cóż wam tak pilno? — zapytał Grześ swoich przypadkowych towarzyszy.

— Poznać, żeś tu obcy — odpowiedział młodszy — bo nie znasz tutejszych obyczajów. Słyszysz dzwonicie? Oto dzwonią w Krakowie na ratuszu, na znak, że wkrótce bramy miasta zamykać będą. Jaki taki, będący poza murami miasta, gdy posłyszysz dzwonicie, śpieszy co rychlej. Gdyby się spóźnił, to z zamknięciem bram czekać na niego nie będą i musiałby przenocować na przedmieściu; nie stój zatem, jeno śpiesz, jeśli masz ochotę zająć na noc do Krakowa.

Grześ, dowiedziawszy się, co znaczyło owo dzwonicie, zerwał się żywo i wszyscy trzej ruszyli żwawo ku miastu. Na gościńcu, przed chwilą pustym, zrobił się naraz ruch niezwykły; pieszo i konno pośpieszano ku miastu. Furmani, głośnie nawoływaniem i trzaskaniem z biczów, przynaglali konie, którym trudno było pośpieszyć z ciężko wyładowanymi wozami.

Chłopcy ciągle musieli usuwać się z drogi jadącym. Gwar i ruch powiększał się w miarę, jak przybliżali się do miasta.

Na gościńcu ozwał się ryk bydła, kwiczenie trzody chlewnej i głośnie gęganie gęsi. Pastuchy zachęcali do pośpiechu głośnie nawoływaniem. Wyrastki, pędzący trzodę chlewną, powiększali gwar, krzycząc i trzaskając batogami nad kwiczącą rzeszą. Malcy kilkuletni niemniej hałasowali, popędzając krzykliwe białopióre gęsi.

— A czy to będzie jarmark w Krakowie, że tyle bydła i innego stworzenia pędzą? — zapytał Grześ swoich towarzyszy.

— A juści, poznać zaraz, że tu przychodzisz z jakiegoś zapadłego kąta, skoro nie wiesz, że Kraków jest wielkim miastem, w którym mieszkają zamożni mieszczanie, bogaci kupcy, liczni rzemieślnicy, a wszyscy przy robocie potrzebują jada. A cóżby jedli, gdyby sobie krów, świń i gęsi nie hodowali. Bydło, świny i gęsi wypasają się przez dzień na wspólnych miejskich pastwiskach, pod dozorem wspólnych pastuchów, a wieczorem każde bydło wraca do swego pana.

Zamożniejsi mieszczanie mają w bliskości miasta folwarki, sieją sobie na chleb i kaszę, mniej zamożni dzierzawią grunta; każdy przecie, co ma gębę, jeść potrzebuje. A jeżeliby zawczasu nie pomyślał o spiżarni, źle wyszedłby na tem*).

Gwarząc, zbliżali się chłopcy do miasta. Zdziwionym oczom Grzesia ukazał się królewski zamek na Wawelu,

*) W czasach przez nas opisywanych nie było tego zwyczaju, co dziś, aby przynoszono żywność na targ do miasta.

ukazał się wieniec wieżyc kościelnych, wznoszących się ku niebiosom niby ręce olbrzymów kamiennych, ukazał się mur opasujący miasto, najeżony gęsto basztami.

Na twarzy naszego małego bohatera odmalowało się zdziwienie, rozrzewnienie, uczucie poszanowania dla grodu królującego całemu krajowi. Nasze pacholę, zbliżając się po raz pierwszy do Krakowa, doznało uczucia takiego, jakiego doznajemy wchodząc do domu Bożego. Mimowoli więc zdjął czapkę i szeptał pacierze.

Jego dwaj towarzysze śledzili uczucie odbijające się na rozumnej twarzy dziecka i potrafili je uszanować.

Gdy pierwsze wrażenie nabożnego podziwu minęło, chłopcy opowiadali Grzesiowi, że w razie, gdy nieprzyjaciel napadnie na miasto, zamykają bramy, a z murów i baszt rażą nieprzyjaciół. Patrz! ta baszta na prawo jest basztą bednarzy, tamta krawców, ta znów szewców. Każdej baszty, a jest ich 46, broni inny cech rzemieślniczy w razie napadu na miasto. Majstrowie i czeladnicy, gdy posłyszą dzwon ratuszowy, oznajmujący o nadciągających wrogach, odbiegają od warsztatów i każdy podąży do swojej baszty, tu zaopatrzywszy się w broń, w jednej chwili, z rzemieślników przemieniają się w żołnierzy i bronią dzielnie murów stolicy.

Gdy chłopcy, minawszy bramę, weszli do miasta, starszy z żaków pożegnał towarzyszy i odszedł do swego ubogiego kąta. Z młodszym pozostał Grześ, pomagając mu nieść zioła lecznicze, które żacy zbierali z polecenia księdza kanonika Wacława, mieszkającego blisko kościoła św. Anny. Ksiądz Wacław znał działanie lecznicze wonnych ziół leśnych, którymi też leczył chorych, cisnących się po ratunek do zacnego staruszka.

Nim chłopcy doszli do mieszkania księdza Wacława, zak mówił do Grzesia:

— Ja czyszczę księdzu Wacławowi buty, zamiatam stancyjkę, noszę wodę, w zimie palę w piecu, a za to mogę się przespać pod dachem mego pana, który często da mi także jaką starą przyodziewkę, a dobrzy ludzie pokarmią, wiedzą bowiem, że zak szkolny na siebie zapracować nie może.

— Gdzie ja zanocuję? — zatroszczył się Grześ.

— Gdzie? — powtórzył Michałek (było to imię zaka) rozglądając się. — Oto blisko kościoła św. Anny jest rozpoczęta budowa domu, to tam pod tarcicami opartemi o mur, możesz przenocować. Rano przyjdę, aby cię odprowadzić do szkoły.

Grześ, nic nie mówiąc, wszedł z pękiem ziół za swoim przewodnikiem do ciemnej sieni.

Nadchodzących chłopców śnać posłyszał ksiądz Wacław, bo zaledwie weszli do sieni, wyszedł z izby, a spostrzegłszy nieznana sobie twarz Grzesia, zapytał zaraz o niego.

Grześ odpowiedział księdzu, że po naukę przyszedł do Krakowa.

Ksiądz spojrział ze współczuciem na wybiedzonego dzieciaka i pozwolił mu zanocować pod swoim dachem.

Nazajutrz, po wysłuchaniu mszy świętej, Grześ wezwany przez księdza Wacława, wszedł nieśmiało do mieszkania starca. Ksiądz chciał się przekonać, co też dzieciak umie. Kazał mu usiąść przy stole i przepisać jakiś ustęp po łacinie z wielkiej księgi.

Chłopiec zabrał się ochoczo do roboty i pięknie, czysto i bez pomyłki przepisał kilkanaście wierszy.

Ksiądz zdziwił się bardzo, widząc pismo Grzesia.

W owych bowiem czasach sztuka pisania była jeszcze mało rozpowszechniona, zdziwienie starca spotęgowało się jeszcze, gdy rozmawiając z Grzesiem, przekonał się o jego niezwyklej rozwadze i rozsądku, którego nie powstydziliby się człowiek dorosły.

Gładząc chłopca przyjaźnie po głowie, mówił starsuszek:

— Ucz się dziecko pilnie, a wyjdiesz na człowieka.

Ksiądz Wacław wyegzaminowawszy i pochwaliwszy Grzesia, zawałał Michałka, a gdy tenże ukazał się we drzwiach, rzekł:

— Michałku, zaprowadź Grzesia do szkoły św. Anny i poproś odemnie bakałarza, aby go przyjął do swojej klasy, i aby mu wyznaczył ulicę, w której ma pobierać jałmużnę. Ksiądz Wacław bowiem był tak ubogi, że nie mógł dać przytułku dziecku.

Michałek spełnił polecenie księdza i w ten sposób Grześ został żakiem krakowskim.

Bakałarz w szkole św. Anny przyjął Grzesia bardzo życzliwie, przekonał się bowiem, egzaminując chłopca, o jego niepospolitych zdolnościach i wielkiej ochocie do nauki.

Grześ zatem powinien był czuć się szczęśliwym, bo oto stanął u źródła nauki, do którego doszedł z takim trudem. Nie był przecie szczęśliwym.

Rzeczy drogocennych nie nabywa się łatwo, to też przebyte udręczenia i poniesione trudy nie skończyły się z wejściem do szkoły. Czekali tu Grzesia nowe utrapienia. Żacy drwiącym zwrokiem spoglądali na nowego koleżę w łachmanach. Stare ubranie Grzesia podarło się tak

w drodze, że zaledwie okrywało jego ciało. Te nędzne łachmany były celem drwinek i uszczypliwych żartów, a zuchwalsi nie szczędzili nawet biednemu dziecku słów obelżywych i dotkliwych szturchańców.

Złośliwość niepożyciwych kolegów, była ciężkiem udręczeniem dla naszego chłopczyny.

Gdy po nauce wyszedł z izby szkolnej i odetchnął, uczuł głód. Głód przecież nie był najsroższem udręczeniem naszego żaka, dręczyła go bardziej myśl, że musi zebrać o kęs stawy. Po nauce, zgłodniały dzieciak musiał z garnuszkciem w rękach pukać i prosić o pożywienie.

O! gdyby Grześ był wiedział w Sanoku, co go tu czeka w Krakowie, kto wie? czy byłby odważył się opuszczać rodzinne miasto?

Stało się! Nie było rady, trzeba było pukać do drzwi liściowych ludzi, bo inaczej możnaby zemrzeć z głodu. Poszedł Grześ na wskazaną ulicę i nieśmiało zapukał do drzwi najbliższego domu.

Pomimo lekkiego stukania, posłyszano go. W drzwiach ukazała się młoda kobieta.

Grześ stał cichy, nie mógł zdobyć się na wymówienie choćby jednego słowa. Ciężka to rzecz prosić o jałmużnę. Grześ tego nie umiał, a wybierając się do Krakowa, nie myślał, że to rzecz tak trudna.

Dobra kobiecina, spostrzegłszy wśród innych chłopców wynędzniałego dzieciaka, spoglądającego nieśmiało smutnemi oczami, nie czekała aż prosić zacznie o kęs chleba, domyśliła się, że dzieciak nie zwykł zebrać, to też łamaną polszczyzną, głosem dobrotliwym, zawołała chłopca do izby i zapytała go, skąd przychodzi. Musisz być ob-

cym, rzekła, nie widziałam cię bowiem nigdy między przechodzącymi tu żakami.

Grześ opowiedział szczerze dobrej kobiecie swoje przygody.

Kobietę rozrzewniło opuszczenie dzieciaka, to też posadziwszy go za stołem nakarmiła, a dowiedziawszy się, że chłopiec miał zamiar nocować pod tarcicami przy kościele św. Anny, zatrzymała go na noc pod swoim dachem.

Grześ ucałowaniem ręki podziękował dobrej kobiecie.

Mała dziewczynka Lena, córka mieszczeni, przypatrywała się ciekawie małemu gościowi, a potem przysuwała się coraz bliżej, coraz bliżej, aż wreszcie zaczęła z Grzesiem bawić się na dobre, pomimo, że nie bardzo dobrze mogła się z nim rozmówić, mówiła bowiem po niemiecku, czasem tylko wyrwało się z małych ust dziewczynki jakie polskie słowo.

Dom, w którym Grześ znalazł przytułek, należał do zamożnego kupca, Niemca, to też żona jego i córka mówiły tylko łamaną polszczyzną.

Gdy nazajutrz Grześ, podziękowawszy za gościnę, miał odejść do szkoły, uprzejma Niemka zaprosiła go na obiad, a jeżeli ci nieźle spało się między nami, dodała, to możesz tu stać na noc przychodzić.

Grześ był uradowany. Na rannem nabożeństwie gorąco dziękował Bogu za opiekę, potem uczył się bardzo pilnie, bardzo uważnie, to też uzyskał pochwałę bakałarza.

Jakkolwiek pierwsze chwile pobytu Grzesia w Krakowie napoiły go goryczą, wkrótce zapomniał o doznanych przykrościach, bo życie jego ułożyło się wcale przyjemnie. Chłopiec bowiem pilnością i pracowitością zjednał sobie serca nauczycieli i poszanowanie u dobrych kole-

gów; źli i niegrzeczni nie śmieli Grzesiowi dokuczać, bo ujęliby się byli za nim chłopcy pilni, dla których Grześ był wzorem.

Poza szkołą zjednał sobie także serca ludzi zacnych. W domu zamożnego kupca, gdzie znalazł gościnność, pokochano go jak własne dziecko, obchodzono się też z nim jakby należał do rodziny. A ksiądz Wacław tak bardzo pokochał pilnego żaka, że zaprosił go do siebie raz na zawsze, na czas wolny od nauki szkolnej. Obcowanie z światłym kapłanem, było dla naszego żaka wielką przyjemnością i korzyścią. Ksiądz bowiem dawał chłopcu do przepisywania stare rękopisy łacińskie, w których mieściło się wiele rzeczy pouczających. Grześ robił tak szybkie postępy w łacinie, że po większej części rozumiał to, co przepisywał, gdy zaś natrafił na ustęp dla siebie niezrozumiały, pytał o wyjaśnienie poczciewego staruszka, który ochoczo tłumaczył wszystko roztropnemu dzieciakowi. Obaj w tych pogadankach znajdowali przyjemność. A gdy ksiądz Wacław miał czas, to pokazywał Grzesiowi stare rękopisy cudnie pisane, w drewnianych okładkach, zdobnych mosiądzem, w środku były one ślicznie zdobione. Początkowe litery każdego rozdziału były niby obrazki; w wieńcu z kwiatów i zieleni wychylały się drobne postacie ludzkie. W jednej literce widniała bellejem-ska stajenka z dzieciątkiem w żłóbku, w innej mocarze świata ukoronowani, chylący głowy przed dzieciną niosącą ludzkości odkupienie i zbawienie. Tu znowu wychylała się postać Chrystusa błogostawiająca główki dziecięce. W innych znowu widniały postacie świętych pańskich.

Malunki owe podziwiał Grześ, a radość i zachwyt chłopca rozpromieniały poważne oblicze księdza.

Grześ przepisywaniem zarobił sobie u księdza Wacława grosz niejeden. Dostał także coś ze starej bielizny i ubrania księdza. Podarowane suknie przerobiła poczciewa Niemka na Grzesia, to też wkrótce chłopczyzna był przyzwoicie, chociaż skromnie, odziany.

A teraz rzućmy okiem na schodzących się do szkoły żaków w czasach, gdy Grześ nauką mozolił główkę.

Jest właśnie poranek zimowy.

Dzwonek wzywa dzieci do szkoły.

Zewsząd wybiegają zacy i rozbiegają się w rozmaite strony miasta, bo w rozmaitych znajdowały się szkoły. Najważniejszymi w wieku XV były w Krakowie: Szkoła przy kościele Panny Marji, u św. Anny, u św. Barbary i u Wszystkich Świętych.

Działwa zziębnięta biegnie szybko, aby rozgrzać się w izbie szkolnej.

Większa część żaków zamiast książek niesie naręczka drzewa. Drzewo owe na rękach żaków zdziwiłoby niesłychanie dzisiejszych ludzi, wówczas jednak nikt się temu nie dziwił. Wtedy wiedział każdy, że zamożniejsi rodzice, mający dzieci w szkole, byli obowiązani dostarczać drzewa na ogrzanie izby szkolnej. Każdy też dzieciak śpieszył do szkoły w dniu umówionym z kilkoma polankami drzewa. Tylko bardzo ubodzy lub bardzo zamożni nie nosili do szkoły wiązek drzewa. Zacy, żyjący z jałmużny, uwolnieni byli od tego obowiązku, zaś dzieci zamożnych, nie nosili drzewa, bowiem ich rodzice dostarczyli w jesieni bakałarzowi furę drzewa, albo dwa grosze czeskie na opał. Książek i przyborów naukowych dzieci nie przynosiły ze sobą do szkoły, bo książek drukowanych nie było jeszcze w owych czasach. Uczyła się

dziatwa czytać na szkolnych rękopisach, a pisała na pergaminie, którego im dostarczano w szkole.

Co dwa tygodnie, we środę po południu, czekała żaków krakowskich wielka uciecha: wspólna kąpiel w miejskich łaźniach. Z każdej szkoły żacy z bakałarzami wychodzili gromadnie i udawali się do jednej z miejskich łaźni.

Ile tam było śmiechu, krzyku i pisku to już trudno opisać. Wykąpani, rozradowani, rozbawieni żacy rozchodzili się z łaźni do swoich mieszkań.

Kąpiel w owych czasach była wielką przyjemnością nie tylko dla żaków, rozkoszowali się nią wszyscy, wszyscy też mogli z niej korzystać, w każdy dzień w tygodniu z wyjątkiem środy i soboty po południu.

Środa bowiem przeznaczona była dla żaków, sobota zaś dla rzemieślników.

Chłopcom rzemieślniczym, odnoszącym zamówioną robotę, dawano wówczas za drogę na łaźnię, a nie na piwo, jak dzisiaj. A ile w owych czasach być musiało miejskich łaźni świadczy to, że w Krakowie był osobny cech łaźiebnych, który miał także swą osobną basztę na murach miasta.

DZIECKO KRÓLEM

Upłynęło lat kilka od czasu, gdy Grześ przybył do Krakowa. Przez ten czas wątły dzieciak wyrósł na dorosłego młodzieniaszka i stał się chlubą Jagiellońskiej akademji.

Pomimo, że tak skrzętnie przyswajał sobie wiedzę, to przecież nie był jeszcze syty. Po światło, po naukę

postanowił udać się do niemieckich uniwersytetów, aby nabył w kraju wiedzę, wzbogacić wśród obcych.

W domu uczciwej rodziny niemieckiego kupca nauczył się Grześ po niemiecku, co ułatwiało mu pobyt wśród Niemców. O resztę nie troszczył się nasz młodzieniaszek. Skoro jako dziecko miał odwagę iść w nieznany świat, tem mniej lękał się teraz wycieczki bez pieniędzy. Wszakże zdobyłem sobie już jaką taką wiedzę, myślał, zatem z jej pomocą potrafię zarobić na własne utrzymanie, potrafię obok tego wzbogacić umysł szerszą nauką.

Pożegnał zatem swoich przyjaciół i dobrodziejów i z ich błogosławieństwem, z małym węzełkiem na plecach poszedł w świat.

Po kilku latach pobytu zagranicą, powrócił młodzieńcem uczonym, jakich podówczas było mało. Powrócił, niosąc na plecach duży ciężki węzełek. Miał w nim drogie skarby: rzadkie rękopisy, które nabył zagranicą.

Wkrótce po powrocie uczony młodzieniec zdobył sobie w Jagiellońskiej Akademji stopień naukowy i został profesorem tejże akademji, czyli mistrzem, tak bowiem podówczas nazywano profesorów.

Młody profesor, którego nazywano Grzegorzem z Sanoka (nazwa ta przeszła do potomności) rozpoczął niebawem wykłady w Jagiellońskiej Akademji.

Wykłady Grzegorza z Sanoka były jasnym światłem dla umysłów uczącej się młodzieży. Wykłady te zjednały wkrótce młodemu mistrzowi taką sławę, że na nie schodzili się nie tylko żacy, ale mężowie poważni, najwyżsi dostojnicy państwa, bo nawet kanclerz *) Jagiellońskiej

*) Kanclerzem, t. j. opiekunem Jagiellońskiej Akademji, bywa zawsze biskup krakowski.

szkoły, mąż stojący u steru państwa, biskup Zbigniew Oleśnicki.

Obok poważnego dostojnika kościoła i korony, Zbigniewa Oleśnickiego, stawał młodzieniaszek liczący zaledwie lat ośmnaście. Stawał i słuchał z takim zajęciem mądrych nauk Grzegorza z Sanoka, że młody mistrz zauważyć musiał niezwykle pilnego i uważnego słuchacza, tem więcej, że twarz młodzieńca zdobiło szlachetne czoło, od którego były niepospolite zdolności. Grzegorz z Sanoka spoglądając na zastuchanego młodzieńca, przypomniał sobie swoje lata dziecięce, kiedy to zapatrzonej w twarz staro bakałarza, słuchając starca, zapominał o świecie całym. Nic też dziwnego, że mistrz Grzegorz z Sanoka ciekawym był, kto jest ów młodzieniec z orszaku Zbigniewa Oleśnickiego? Zapytał też razu pewnego o niego kogoś ze swych znajomych. — Młodzieniec ów, odpowiedział zapytany, jest to Jan Długosz, sekretarz biskupa Zbyszka. Nic dziwnego, że waszych niepospolitych wykładów słucha z takim zajęciem, bo dla niego nauka, to jak woda dla ryby, jak jasne słońce dla stworzenia boskiego. A biedaczysko dla chleba musiał opuścić Jagiellońską szkołę. Ojciec jego, dzielny rycerz, odznaczył się w bitwie pod Grunwaldem, dziś jest starostą w Korczynie, ma on jednakże prócz Jana, dziesięciu synów, to też nie mógł najstarszemu dopomagać Chłopak, skończywszy lat 17, musiał opuścić przybytek nauki — musiał, chociaż serce ścisnęło mu się bolem. Lecz darmo, nie chciał być ciężarem ojcu i przeszkodą w kształceniu się młodszym braciom, tem bardziej, że stryj jego Bartłomiej Długosz, proboszcz z Kłobudzka, wystarał mu się o dobre miejsce u biskupa Zbyszka. Tam w kancelarji biskupiej młodzienia-

szek przejdzie także dobrą szkołę. W kancelarji tej bowiem ważą się przecie sprawy Rzeczypospolitej.

Biskup sam mędrzec i myśliciel, na pokojach jego bywają też mędrzy i uczeni. Ot i chłopak z taką głową, w takim otoczeniu, wypoleruje umysł swój nauką lepiej, niż w murach szkolnych. Pozna świat i ludzi, a nabytą wiedzę zużytkuje na pożytek drugich.

— Niechajże mu Bóg w tej pracy błogosławi*) — odparł profesor.

Razu pewnego, gdy Grzegorz z Sanoka siedział w małym pokoiku nad jakąś księgą, zapukano do drzwi. Dworzanin wojewody Jana z Tarnowa stanął przed uczonym mężem, prosząc go, aby zechciał odwiedzić pana wojewodę w jego dworcu.

Grzegorz z Sanoka stawił się nazajutrz u wojewody. Wojewoda przyjął z wielką uprzejmością uczonego męża, a po chwili rzekł:

— Mam do was mistrzu wielką prośbę. Oto abyście zechcieli przyjąć u mnie urząd nauczyciela moich chłopaków. Nauczając i wychowując dzieci moje, które aby choć trochę podobne były do was mistrzu — mówił wojewoda — nie zabraknie wam czasu do ślęczenia nad książkami, które ponoś są dla was najmiłszymi towarzyszami.

Grzegorz z Sanoka przyjął urząd nauczyciela wojewodziców: Jana Amora, Jana Gratusa i Rafała. Dla nowych obowiązków musiał porzucić urząd profesora w Jagiellońskiej szkole.

*) Bóg pobłogosławił. Jan Długosz znakomity historyk jest po dziś dzień chlubą narodu polskiego.

Pacholęta nieśmiało spoglądały na swego nauczyciela, którego im ojciec szanować przykazał.

Grzegorz z Sanoka umiał nieśmiały ku sobie przyciągnąć, umiał naukę miłą uczynić, to też chłopięta pogarnęły się ku niemu ochoczo. Ochoczo przykładali się do nauki, a po nauce następowały rozmaite wesołe rozrywki: robienie bronią, jeżdżenie na koniu i najmielszą ze wszystkich, odwiedziny królewiczów Władysława i Kazimierza, synów sędziwego Władysława Jagiełły.

Król Jagiełło, jakkolwiek już podeszły wiekiem, prawie nieustannie był w drodze, dla rozstrzygania spraw różnorodnych, to też bywał rzadkim gościem na zamku w Krakowie. Zato królowa Zofja mieszkała tu stale z królewiczami.

Gdy Grzegorz z Sanoka po raz pierwszy poszedł z uczniami swymi na zamek, przyjęto go w dolnej sali. Tu znajdowali się królewicze z królową matką i dwoma nauczycielami Piotrem Ryterskim i księdzem Wincentym Kotem, mężem uczonym, który podobnie jak Grzegorz z Sanoka, porzucił urząd mistrza w akademii Jagiellońskiej, aby stać się mistrzem królewiczów. Wincenty Kot kształcił umysł królewiczów, zaś Piotr Ryterski uczył pacholęta królewskie sztuki rycerskiej i towarzyszył im na łowy. Gdy Grzegorz z Sanoka ukazał się z uczniami swymi we drzwiach sali zamkowej, królewicze z głośnym radośnym okrzykiem rzucili się na powitanie ulubionych rówieśników.

Wkrótce też bawili się wszyscy wesoło.

Tymczasem królowa matka i Wincenty Kot przypatrywali się ciekawie nowemu nauczycielowi wojewodzców, słynącemu wielką uczonością.

Nauczyciel wojewodzców zjednał sobie wkrótce poszanowanie na dworze królewskim. A wszyscy mieli dobrą sposobność poznać dokładnie uczonego Grzegorza z Sanoka, bywał bowiem na zamku z wojewodzicami codziennym gościem.

Podczas letnich dni, jeżeli królewicze z gośćmi swymi nie jechali na łowy, to zabawiali się na dziedzińcach zamkowych. Razu pewnego, gdy wyhasali się do woli i zmęczone nogi odmówiły posłuszeństwa małym zbytnikom, siedli dla wypoczynku blisko „smoczej jamy“.

Z chłopcami znajdował się nieodstępny Grzegorz z Sanoka, którego kochał serdecznie wojewodzice i królewicze, umiał bowiem urząd nauczyciela pogodzić z urzędem towarzysza zabaw. Podczas nauki był poważnym, uczonym nauczycielem, a podczas zabawy, bawił się, jak gdyby był rówieśnikiem chłopców.

Chłopcy też płacili mistrzowi swemu miłością, szcunkiem i zaufaniem. Gdy czasem rozprawiając ze sobą, zgodzić się na jedno nie mogli, gdy mały mowca nie mógł znaleźć dość wymownych wyrazów, aby przekonać przeciwnika, wtedy dla rozstrzygnięcia sporu odnosił się do mistrza Grzegorza, a on potrafił natychmiast pogodzić zwaśnionych.

Czas jakiś chłopcy w milczeniu przypatrywali się „smoczej jamie“, naraz jeden z nich odezwał się:

— Szkoda, że niema teraz w „smoczej jamie“ smoka.

Wszyscy chłopcy z podziwem spojrzeli na mówiącego, a królewicz Kazimierz zapytał:

— A na cóż tobie potrzeba smoka?

— Zabiłbym go — odpowiedział zapytany. — Zabiłbym go i byłbym sławny jak Krakus. Wprawdzie na-

raziłbym się na niebezpieczeństwo, ale dla zasługi i dla sławy, warto przecie nadstawić karku.

Grzegorz z Sanoka przysłuchiwał się dotychczas w milczeniu rozmowie chłopców, a teraz rzekł:

— Ależ smoków jest dosyć, to też niejeden, lecz wszyscy, skoro macie ochotę, możecie walczyć z potworami.

Oczy chłopców zwróciły się równocześnie na mówiącego, wszyscy chcieli wyczytać z twarzy mistrza: żartuje li, czy mówi prawdę? Ale w ciemnych oczach mistrza nie było ni śladu żartu, to też zdziwienie chłopców spotęgowało się jeszcze bardziej, zdziwienie i ciekawość widniały w oczach pacholących. Mistrz zaś mówił:

— Potworne smoki, będące plagą gorszą od egipskiej, dręczyły naród nasz i dręczą po dziś dzień.

— A czy sądzicie, że jeden Krakus zamordował smoka?

Zdziwienie chłopców rosnęło, żaden bowiem nie mógł sobie przypomnieć drugiego smoka i drugiego bohatera, który pokonał potwora. Wiedzieli jedynie o smoku wawelskim i o Krakusie.

Grzegorz z Sanoka, nie chcąc dłużej trzymać chłopców w niepewności, mówił:

— A czy to Mieczysław I z pomocą Dąbrówki nie zabił smoka pogaństwem zwanego? Czyż zaprowadzeniem nauki Chrystusowej nie zasłużył się narodowi? Czyż Bolesław Chrobry i Krzywosty nie walczyli ze smokami sługłowemi, co mówię, tysiącglowemi, czyhającemi na krew naszą, pragnącemi połknąć naród cały. Czyż Władysław Łokietek nie walczył życie całe ze smokiem wewnętrznej niezgody, wojny bratniej domowej, któraby była niechybnie

zgubiła miłą naszą ojczyznę gdyby nie dzielne ramię małego, iście żelaznego Łokietka, który wkońcu krwią swoją zlepił ojczyznę, poćwiartowaną przez okrutnego smoka niezgody. Czyż Kazimierz Wielki, król chłopków, nie pokonał smoka ciemnoty, zakładając akademię, która niby gorejąca pochodnia przyświeca nauką narodowi. Czyż nie walczył król chłopków ze smokiem zawiści między stanami? Czyż świętobliwa pani, królowa Jadwiga, nie pokonała smoka niezgody między dwoma sąsiednimi ludami, łącząc węzłem braterstwa Litwinów z Polakami? A czyż miłościwie nam panujący król Władysław Jagiełło nie pokonał pod Grunwaldem okrutnego smoka, który przez wieki chleptał krew polską i litewską?

— I dla was zatem pozostanie smok niejeden. Zdradzieccy krzyżacy, pogańscy Tatarowie i Turcy, czyż to nie olbrzymie smoki, czyhające na nasz naród?

Chłopcy słuchali w milczeniu słów mistrza, a on tak prawił dalej:

— A jeżeli śpieszno wam do walki ze smokami, możecie ją rozpocząć natychmiast. Otaczają was bowiem smoki rozliczne, czyhające na waszą zgubę, które przecież pokonać może każde dziecko.

— Każde dziecko, pokonując pokusy do złego, pokonując lenistwo, nieposłuszeństwo, wystrzegając się kłamstwa, walcząc z wszelakimi nałogami, zabija ohydne smoki i odnosi chwalebne zwycięstwo. O zwycięstwach tych wprawdzie nie będą pisały księgi, ale zato zapisze je anioł boży w niebie, a Bóg postawi je na równi z czynami starszych, o których piszą w księgach.

W taki to sposób największy mędrzec polski swego czasu rzucał ziarna zdrowej, zacnej myśli w umysły swych

wychowanków. W główkach chłopięcych, ze słów postyszanych roily się potem myśli rozumne, szlachetne, które, niby skrzydła, wiodły ich wysoko ku myśli bożej.

* * *

Podczas gdy królewicze żyli swobodnie na krakowskim zamku, król Jagiełło, zachorowawszy wskutek zaziębnienia się, umarł w Gródku 31 maja 1434 r.

Królewicze zostali sierotami.

Królowa wdowa zaniepokoiła się o przyszłość pacholąt swoich, bo jakkolwiek król Jagiełło zjednał sobie serca większej części narodu, to przecież znaleźli się panowie, którzy sprzeciwiali się temu, aby którego z synów obrać królem, a sprzeciwiali się dlatego, że królewicze byli dziećmi jeszcze, starszy Władysław miał bowiem dopiero lat dziesięć.

Ale znalazły się wymowne usta, które przemawiały za sierotami do narodu. Biskup Zbigniew Oleśnicki na zjeździe przypomniał narodowi zasługi zmarłego króla, przypomniał, że połączeniem Litwy z Polską uczynił ojczyznę naszą potężną.

A czyż się godzi, aby ci, dla których Jagiełło był dobrodziejem, stali się krzywdzicielami jego sierót.

Naród nie chciał pokrzywdzić królewskich pacholąt i zgodził się, aby starszego Władysława ukoronować królem.

Koronację naznaczono na dzień 25 lipca.

Kraków zaroił się tłumami przyjezdnych. Na uroczystość koronacyjną zjechali się książęta mazowieccy, posłowie wielkiego księcia litewskiego, posłowie wojewody

mołdawskiego, zjechały tłumy panów i szlachty. Podczas gdy w mieście i na zamku wrzało od przygotowań koronacyjnych, do przyszłego króla dziecka cisnęło się mnóstwo ludzi, winszując mu i radując się jego dostojenstwem.

Ale Władysław nie był dumny, nie cieszył się na uroczystości koronacyjne. Gdy mu o jego zaszczytach prawiono, odpowiadał:

— Nie zasłużyłem sobie na to dostojenstwo. Żebym chociaż miał takie zasługi, jak Bolesław Krzywousty, który, jako chłopak dziewięcioletni, walczył z wrogami ojczyzny.

Cieszyć się po dziecinnemu nie mógł królewski dzieciak, bo nie przeboleł jeszcze śmierci ojca.

Nadszedł dzień naznaczony na koronację.

Po drodze, zaścielonej różnobarwnem suknem, prowadzono królewicza Władysława, przybranego w szaty koronacyjne, z zamku do kościoła.

Królewski dzieciak, otoczony dostojnikami państwa, szedł poważnie do świątyni, gdy wreszcie usiadł na królewskim tronie i spojrzał na krzyżackie chorągwie, zdobyte przez ojca pod Grunwaldem, gdy spojrzał na grobowce wielkich swoich poprzednich królów: Łokietka i Kazimierza, gdy oko jego spoczęło na trumnie męczennika św. Stanisława, to na twarzyczce dziecięcia odbiło się wzruszenie ogromne, a małe usteczka ukoronowanego króla szeptały gorącą modlitwę do Boga o pomoc w dźwiganu ciężkich obowiązków, włożonych na wątłe ramiona dziecka.

— Aniele, strózu mój! Święci patronowie! Ojciec wszechmogący! Prowadźcie Wy mnie po ścieżkach Bolesławów i Kazimierzów, prowadźcie ku sławie i potędze ojczyzny mojej, ku chwale Bożej.

Podczas gdy arcybiskup gnieźnieński namaszczał Władysława na króla, gdy wkładał koronę na głowę drżącemu wzruszeniem dzieciakowi, liczna garstka rówieśników króla dziecka spoglądała wesoło i radośnie na małego króla w koronie. Radość z powodu niezwykle uroczystości nie dopuszczała do młodzieńskich główek poważnych myśli, które krążyły po głowie młodego króla.

Nareszcie huczne uroczystości koronacyjne minęły. Na zamku powrócił dawny porządek. Ster państwa pozostał, jak za życia Jagiełły, w żelaznych dłoniach biskupa Oleśnickiego, a mały król uczył się lub bawił po dawnemu. Ponieważ nie mógł wyruszyć na prawdziwą wojnę, do której rwało się serce królewskie, bawił się najchętniej w wojnę. Gdy na sali zamkowej zebrało się kilkunastu rówieśników, synów pierwszych dostojników państwa, mały król szykował ich do wypraw wojennych przeciwko zdraźliwym krzyżakom lub pogańskim Tatarom.

W rycerskiej zbroi, w hełmie, ozdobionym piórami, dźwięcznym głosem dowodził rówieśnikami.

Raz wśród ruchliwej gromadki zrobił się gwar wielki, głuszący rozkazy króla wodza. Ktoś widocznie ośmielił się sprzeciwić rozkazom, stąd powstało zamieszanie.

Naraz ozwało się głosów kilkanaście:

— Spytajmy mistrza Grzegorza.

Mistrz Grzegorz stał we framudze okna, spoglądając wdał na łany falujące zbożem, na poważnie szumiące topole, zdające się wsłuchiwać w szmer płynącej powolnie Wisły.

Z pośród gwarliwej i ruchliwej gromadki wysunął się szybko król Władysław, a stojąc w pełnym rynsztunku wojennym przed Grzegorzem z Sanoka, mówił żywo:

— Mistrzu: Obrano mnie wodzem, lecz Każko powiada, że jako królewicz nie będzie słuchał wodza. Powiedz mistrzu, wszakże wodza słuchać muszą wszyscy?

— Wszyscy bez wyjątku — odpowiedział zapytany — tem bardziej, jeżeli wodzem jest brat starszy, król.

— Król! Król! — mówił pogardliwie królewicz Kazimierz, wysunawszy się z grona rówieśników. — Co mi tam za król! — mówił dalej, odymając wzgardliwie wargi — król, za którego rządzą inni, król, któremu rozkazuje królowa matka i biskup Zbyszek.

Chłopcy ze zgrozą przysłuchiwali się zuchwałej mowie królewicza Kazimierza, kochali bowiem serdecznie dobrego Władysława, który nigdy nie dał im uczuć swego dostojęństwa. Chłopcy patrzyli na małego króla z szacunkiem, jako na pomazańca Bożego, to też zgorszyli się lekceważeniem, jakie okazał brat młodszy starszemu, z którym nawet poważni mężowie obchodzą się z czcią przynależną królowi.

Patrzyli też ciekawie na króla Władysława, co poczynnie z zuchwałym bratem.

A mogli patrzeć wprost na twarz swego małego króla, bo zdjął przed chwilą hełm z głowy. Lecz na twarzy Władysława nie było ni cienia gniewu lub obrazy, widać było tylko smutek, smutek też brzmiał w jego głosie, gdy wyrzekł te słowa:

— Prawdę rzekł Każko, królem jestem z nazwy tylko.

— Jest to istotnie prawdą — rzekł Grzegorz z Sanoka. — Ale niema w tem winy króla Władysława. Owszem, należy mu się uznanie, że ulega woli tych, którzy, bogatsi od niego doświadczeniem, kierują państwem do czasu, nim król Władysław sam będzie mógł objąć ster rządów.

Na smutnej przed chwilą twarzy małego króla ukazał się błysk radości, wdzięcznem okiem spoglądał na swego obrońcę.

Twarz królewicza Kazimierza, przed chwilą nadęta pogardą, wyrażała teraz zawstydenie. Oblał ją rumieniec gorący, bo chociaż uparty Kazimierz niechętnie zmieniał swoje zdanie, jednakże słowom mistrza wierzył na ślepo. Zawsze gdy samowolny malec widział Władysława godzącego się na to, co chciała matka lub biskup, myślał sobie: „O! gdybym ja był królem, musieliby słuchać mojej woli“.

Słowa Grzegorza z Sanoka przekonały królewicza Kazimierza, że nie miał słuszności, przekonały go, że Władysław, będąc dzieckiem, nie zna się na rządach państwa, to też pełniąc wolę doświadczonych mężów, zachowywał się rozsądnie. Rozważywszy rzecz całą, zawstydził się królewicz Kazimierz słów obraźliwych, wypowiedzianych bez namysłu.

Przez chwilę stał tak zawstydzony ze spuszczonej oczami, nagle poskoczył ku Władysławowi, a objawszy szyć brata, powiedział:

— Nie gniewaj się na mnie, przyrzekam, że odtąd słuchać będę mego rozumnego brata.

Krół Władysław nie gniewał się, to też za chwilę chłopcy bawili się znowu w najlepsze i od czasu do czasu słyhać było rozkazy wydawane przez króla wodza.

W dwunastym roku życia król Władysław III pojechał na wielką uroczystość do Lwowa.

Oto mały król miał odebrać hołd od wojewodów mołdawskich Stefana i Eljasza.

Mołdawianie, z obawy przed Turkami, oddawali się dobrowolnie pod opiekę Polski i składali hołd jej królom.

We Lwowie złożył osobiście wojewoda Eljasz hołd Władysławowi, zaś wojewoda Stefan przez posły.

Na znak poddaństwa przyrzekł wojewoda daninę, składającą się z 200 koni, 400 wołów i 40 sztuk jedwabnych materij tureckich.

Po lwowskich uroczystościach powrócił król Władysław do Krakowa. Grzegorz z Sanoka był obecnie nieodstępny towarzysz małego króla. Królowa matka uprosiła bowiem wojewodę Tarnowskiego, aby zwolnił mistrza Grzegorza od obowiązków nauczyciela wojewodzieców, pragnęła bowiem, aby mąż światły stanął u boku małego króla, aby Władysław, przez nieustanne obcowanie z mędrce, rozwijał się ku chwale Bożej i ku pożytkowi kraju.

Grzegorz z Sanoka zamieszkał zatem na zamku, nie rozłączył się przecież całkowicie ze swymi dawnymi uczniami, wojewodzie bowiem byli codziennymi gośćmi na pokojach królewskich.

Jakkolwiek Grzegorz z Sanoka porzucił katedrę w Jagiellońskiej Akademji, nie przestał pracować naukowo. W noc późną paliła się lampka w pokoju myśliciela, zagłębianego w wielkich rękopisach. Mistrze szkoły Jagiellońskiej udawali się do Grzegorza z Sanoka dla wyświecenia zawitych kwestyj naukowych. Nikt bowiem nie potrafił lepiej nad niego wyświecić zawite ustępy ksiąg starych; nikt nie władał tak łaciną, jak słynny Grzegorz z Sanoka.

Ale Grzegorz z Sanoka cieszył się nie tylko rozgłosną sławą między uczonymi, znali go, kochali i wielbili także maluczcy, do których przemawiał z ambony.

Grzegorz z Sanoka był bowiem duchownym, a święcenia kapłańskie wziął we Włoszech.

Do Włoch wysłał go Zbigniew Oleśnicki w ważnych sprawach.

Podróż ta daleka oderwała Grzegorza z Sanoka od boku króla Władysława. Król rozstawał się z przykrością z ukochanym mistrzem. Żegnając się z nim powiedział: „Bez ciebie jestem, jak próżny kubek bez pełnego dzbanu. Skąd ja do próżnego należę, gdy ciebie od siebie puszcze?”

KORONA ŚWIĘTEGO SZCZEPANA

Pacholęta krwi Jagiellońskiej, rosnące niby orlęta w prastarym zamku na Wawelu, otoczone troskliwą opieką królowej matki, otoczone mężami najznamienitszymi, wyrastały powoli z dzieciństwa.

Władysława piętnastoletniego uznano pełnoletnim, sam już teraz miał objąć rządy państwa.

Jagiellońskie pacholęta zwracały na się uwagę nie tylko Polaków i Litwinów, lecz obce narody do zacnego Jagiellońskiego gniazda szły szukać królów.

Oto na zamku krakowskim stanęło poselstwo czeskie, ofiarujące koronę czeską królewiczowi Kazimierzowi. Nie chcieli bowiem Czesi mieć królem Alberta, cesarza niemieckiego, który im się narzucał gwałtem. Nim na krakowskim zamku namyślono się czy przyjąć czeską koronę, cesarz Albert wjechał do Pragi i koronował się na króla czeskiego.

Głowę cesarską zdobiły teraz trzy korony: czeska, węgierska i niemiecka. Albert, pomimo że był panem trzech królestw, nie mógł pokonać potężnego wroga chrze-

ścijaństwa, Turków, którzy zadali ciężką klęskę wojskom cesarskim pod Smederewem. Klęska ta stała się tak silnym ciosem dla Alberta, że nie przeżył jej długo. Umarł nagle w jesieni 1439 r.

Węgry, którym niemieckie panowanie uprzykrzyło się oddawna, nie zważając na wdowę i sieroty po nieboszczyku Albercie, wysyłają znowu poselstwo do Krakowa, prosząc, aby Władysław, król polski, przyjął koronę węgierską.

Serce królowej matki rośnie z radości na widok przybywających poselstw, składających u nóg ukochanych jej synów najwyższe dostojeństwa — korony.

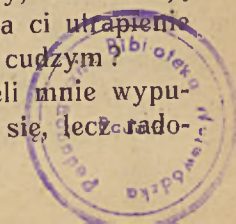
Lecz w sercach pacholąt królewskich nie było chciwości, to też piętnastoletni król Władysław nie ucieszył się wcale ofiarowaną mu koroną węgierską. Przekonamy się o tem najlepiej, gdy się przysłuchamy rozmowie króla z Grzegorzem z Sanoka.

Wieczorem dnia każdego, przed udaniem się na spoczynek, Grzegorz z Sanoka przychodził do sypialni królewskiej, aby razem z Władysławem odmówić wieczorne pacierze. Owóż dnia pewnego, gdy Grzegorz wszedł do sypialni młodego króla, on, wyciągając ku niemu obie ręce, rzekł:

— Mistrzu mój drogi, jestem taki utrapiony!

— Utraponiony? — mówił głosem zdziwionym Grzegorz z Sanoka — utrapiony? Czyż powodem utrapienia jest to, że kochają ciebie królu swoi i obcy, że składają u nóg twoich korony? Czy może sprawia ci utrapienie to, że naród nie chce króla swego ustąpić cudzym?

— O, gdyby wszyscy swoi nie chcieli mnie wypuścić z Polski, to dusza moja nie trapiłaby się, lecz rado-



wała. Ale kiedy właśnie ci, co władzę najwyższą w rękach mają, pchają mnie gwałtem do Węgier, pcha królowa matka, pcha biskup Zbyszek. Czyż, przywykły do spełniania ich rozkazów, potrafię się sprzeciwić? A ja tej korony węgierskiej nie chcę. Po co mi korony cudzej, kiedy mam swoją. Każą brać mi koronę węgierską, a ona należy się sierotom po zmarłym Albercie. Ja nie chcę być krzywdzicielem wdowy i sieroty. Po co mam iść do obcego kraju, do obcych ludzi, kiedy w kraju własnym jest do zrobienia tak wiele. Mistrzu, dlaczego milczysz, skoro przed tobą duszę zbolełą otwieram.

— Słucham ciebie, królu, słucham i przyznać ci muszę, że masz słuszość. Mówi przez ciebie sprawiedliwość, mówi miłość chrześcijańska, niepragnąca dobra cudzego, niepragnąca cudzej krzywdy. Ale wszakci i Węgrowie krzywdzić sierót nie chcą, wszakci oni chcą, abyś ty, królu, zaślubił wdowę po Albercie, chcą, abyś został ojcem dla sierót.

Wstrząsnął się na te słowa Władysław i żywo odpowiedział:

— Tak chcą Węgrowie, pomimo, że królowa wdowa tego nie chce, a i dla mnie wstrętny jest ten związek.

— Węgrowie zresztą sprawę królowej i sierót po niemiłym cesarzu — mówił dalej Grzegorz z Sanoka — uważają za rzecz drugorzędną wobec dobra Węgier. Węgrom zagraża wielkie niebezpieczeństwo ze strony tureckiej i dlatego pragną mieć za pana męża, a nie kobietę lub dziecko. Potrzebny im jest sojusz z Polakami, ślą też do ciebie błagalne prośby o przyjęcie korony.

— Tak, tak — mówił z rozdrażnieniem Władysław — dla Węgrów sprawa wdowy i sierót może być podrzędną,

lecz nie dla mego sumienia. A skoro potrzebny im sojusz z nami, toć go im nie odmówimy, możemy im dać pomoc przeciwko poganom.

— Postąp, królu, tak, jak ci sumienie rozkazuje. Ja uczucia twoje tylko uszanować muszę, bo dusza moja raduje się twoją zachością.

— Och! gdyby to Zbyszek i matka moja podobnie jak ty, mistrzu, przyznali mi słuszość! Ach, gdyby nie pchali mię gwałtem na Węgry, skończyłyby się moje utrapienia — rzekł król, wzdychnąc.

— Dziś całą tę sprawę oddajmy w ręce Boga — rzekł Grzegorz z Sanoka, klękając i zabierając się do wieczornej modlitwy. Obok niego ukląkł szlachetny młodzieniaszek i wkrótce obaj zatopili w rozmowie z Bogiem. Młodzieniec prosił Ojca niebieskiego o pomoc, a Grzegorz z Sanoka modlił się za swoim ukochanym królem, którego kochał miłością ojcowską, nazywając go w myśli dzieckiem duszy swojej.

Nazajutrz po nabożeństwie posłowie węgierscy zażądali posłuchania u króla.

Przyjął ich Władysław III na tronie w purpurze i koronie na głowie. Posłowie złożeni z dostojników kościoła i najpierwszych panów węgierskich, błagali króla, aby przyjął koronę węgierską, a gdy Władysław wzbraniał się, padli przed młodocianym królem na kolana i z podniesionymi, jak do modlitwy rękami, błagali o zmiłowanie nad narodem węgierskim, na który czyhają Turcy.

Władysław ujrzawszy u nóg swoich mężów poważnych, zadrżał ze wzruszenia, zerwał się z tronu, łzy popłynęły z oczów młodziutkiego króla.

Dobrze mówi przysłowie, że „pokora przebija niebiosą“, usunęła ona opór króla Władysława. Wzruszony, rozrzucony nie miał siły opierać się dłużej, to też przyjął ofiarowaną mu koronę, mówiąc:

— Nie chcę ja być opornym woli Bożej, przyjmuję węgierską koronę nie z pychy grzesznej, lecz skoro mężowie poważni uważają, że przyjęła przezemnie korona ma zapewnić szczęście Węgrom i Polakom, niechże się już stanie po woli waszej. Ja z mojej strony nie zapomnę, że nie na to tylko wola Boża daje króla narodom, aby im rozkazywał, lecz aby kwitnęło dobro narodów, aby utrzymując pokój i wymierzając sprawiedliwość, zapewnił narodowi byt błogi.

Odpowiedź królewska ucieszyła bardzo panów węgierskich, ucieszyła królową matkę i Zbigniewa Oleśnickiego, oni bowiem najbardziej pragnęli, aby korona węgierska spoczęła na głowie Władysława. Nie wszyscy jednak w Polsce cieszyli się z postanowienia królewskiego. Mówili oni: „A czy to słychane rzeczy, aby dziedzica tej ziemi, króla własnego, ustępować cudzym narodom?“

Poważny Jan z Tęczyna, dowiedziawszy się, że król Władysław przyjął koronę węgierską, rzekł do Zbigniewa Oleśnickiego:

— Stało się po waszej myśli, pasterzu, lecz pomnijcie na słowa moje, bogdajbyście kiedyś nie żałowali tego, żeście najdroższą gałązkę Jagiellońskiego szczepu, na której rosnąć i krzewić się była powinna, z ziemi wyrwali.

Po owem pamiętnem posłuchaniu rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu królewskiego. A przygotowania one odbywały się nietylko na zamku królewskim, lecz w całym kraju. Co przedniejsze rycerstwo, co przedniejsi

panowie, wybierali się, aby odprowadzić ukochanego króla do Węgier. Nawet biskup Zbigniew Oleśnicki postanowił towarzyszyć królowi.

Wśród gwaru i zamieszania, jakie wywołał wyjazd królewski, nadeszła wiadomość z Litwy, że zamordowano tam okrutnego księcia Zygmunta. Miejsce jego miał zająć młodszy brat króla, Kazimierz. Dla niego także należało szykować orszak okazały, mający odprowadzić królewicza do Wilna.

Król przed wyjazdem pozostawił rządy państwa w rękach: Jana z Czyżewa, kasztelana krakowskiego, Wojciecha Malskiego, wojewody łęczyckiego, Czesława z Kurozwęk, kasztelana wiślickiego i Teodora Buczackiego, a sam w towarzystwie najprzedniejszych panów, z orszakiem złożonym z 4000 rycerstwa, wyruszył do Węgier. Kazimierz zaś z książętami mazowieckimi, z kasztelanem Dobiesławem z Sienna i Janem ze Szczekocina, z orszakiem 2000 rycerstwa wyruszył do Wilna.

Król Władysław, pomimo, że towarzyszyli mu najmiłsi i najdosłojniejsi panowie, opuszczał Polskę ze ściśniętym sercem. Darmo wesołością swoją starali się rozewnać go ukochani jego rówieśnicy Tarnowscy i Szamotulscy, darmo Grzegorz z Sanoka usiłował spędzić chmurę z czoła swego ukochanego króla, prawiąc mu o wielkiem powołaniu, jakie Bóg na niego zesłał.

Władysław był ciągle smutny. — O gdyby można zawrócić! O, gdyby można pozostać do śmierci w miłej ojczyźnie! — takie westchnienia wyrwały się z piersi młodzieńca.

Tymczasem wspaniały orszak królewski oddalał się coraz dalej i dalej od ojczyzny.

Zaledwie król przybył do Budy dnia 21 maja 1440 r., aliści stanęło przed nim poselstwo z Bośni od Jerzego Brankowicza, despoty serbskiego. Posłowie wyrażali radość chrześcijańskich Słowian nad Dunajem z tego powodu, że mają w Węgrzech króla wspólnego z nimi rodu i języka. Słabe państewka słowiańskie, nie mogące się oprzeć potędze sąsiada Turczyna, radowały się, widząc, że potężne państwa chrześcijańskie jednoczą się, aby zetrzeć pychę pogańską.

Radośne powitanie Węgrów i posłów państw chrześcijańskich nie rozpędziło chmury z czoła młodzieńczego króla, które miano przyozdobić drugą koroną.

Powodem smutku Władysława była wiadomość, że sześciotygodniowego syna Albrechta, urodzonego po śmierci ojca i dlatego Pogrobkiem zwanego, ukoronowano na króla. Królowa bowiem miała także zwolenników między panami węgierskimi, którzy też urządzili koronację dziecka. Nie było zatem korony potrzebnej do koronacji Władysława na króla węgierskiego. Rozsierdzeni Węgrzy postanowili gwałtem odebrać koronę.

Gwałtem jednakże sprzeciwił się Władysław, powiedział stanowczo, że nie włoży na głowę korony, zdobytej wśród rozlewu krwi bratniej. Węgrzy spostrzegłszy stanowczość, jakiej nie spodziewali się w młodzianaszku, nie myśleli więcej o gwałtach, postanowili użyć do koronacji korony św. Szczepana.

Korona św. Szczepana była dla Węgrów najdroższą relikwią, ją więc zdjęli z głowy świętego, aby nią uwiecznić skroń młodzianaszka.

Z wielką okazałością, wśród radosnych okrzyków, odbyła się koronacja Władysława III w Białymgradzie. Jak

zwyczaj węgierski nakazywał, podniesiono Władysława na rękach i okrzyknięto królem.

Gdy po koronacji Władysław III usiadł na podwyższonym tronie w staroświeckich szatach królów węgierskich, w koronie św. Szczepana na głowie, na twarzy młodzieńca odbijały się coraz to nowe wzruszenia.

— Czyż jestem godzien nosić koronę króla apostoła? króla, którego zaliczono w poczet świętych. Czyż barki moje udźwigną włożony na nie ciężar?

— Ojcze niebieski! pomagaj, wspieraj niegodnego sługę — szeptały usta ukoronowanego młodzieńca.

Podczas gdy Władysław biegł modlitwą przed tron Boga, zgromadzeni w kościele spoglądali na króla, którego młodzieńcze natchnione oblicze miało wyraz niezemski. Złota korona na głowie młodzieńca, mieniająca się od promieni słonecznych, wciskających się do kościoła szerokimi oknami, wydawała się aureolą, zdobiącą głowy świętych pańskich.

To też obecnym gięły się kolana na widok natchnionego młodzieńca, a z ust biegła modlitwa, jak do świętego.

Zwróconych do króla w postaciach modlitewnych, dostrzegł Grzegorz z Sanoka. Spojrzał też z rozrzuwaniem na ukochanego pana i szepnął:

— Wygląda iście jak święty. Jak święty męczennik — dodał ciszej, wzdychając; bowiem na twarzy Władysława III obok natchnienia i wzruszenia widniał ból, widniało strapienie.

Po koronacji czekały młodego króla nowe wzruszenia. Zaprowadzono go do grobów Giejzy i Adelajdy, rodziców św. Szczepana, którego korona spoczywała w tej chwili na głowie Władysława. Ukoronowana głowa mło-

dzieńca ugięła się kornie przed trumną Adelajdy, matki króla apostoła. Ona także rzuciwszy polską ojczyznę, w której niedawno za sprawą brata swego Mieczysława I stała się chrześcijanką, przyszła między pogan na Węgry i jako małżonka tu panującego księcia Giejzy, poganina, potrafiła go nakłonić do chrześcijaństwa, potrafiła nową wiarę wprowadzić do przybranej ojczyzny, potrafiła wychować syna Szczepana na dzielnego i zanego męża, który podniósł znaczenie Węgier, był pierwszym królem, a zarazem apostołem Węgier. Religję chrześcijańską wprowadzoną przez Adelajdę i Giejzę, zaszczylił król Szczepan głęboko w sercach swoich poddanych, zaco też kościół policzył go w poczet świętych.

Król ze szczepu Jagiellońskiego stał zadumany nad trumną Adelajdy, będącej gałązką piastowskiego rodu. Stał i dumiał nad grobowcami dawno zmarłych. Otoczyły go duchy tych, którzy przed wiekami żyli i trudzili się ku pożytkowi bliźnich i ku chwale Bożej.

Lecz ceremonie koronacyjne nie pozwalały długo dumać młodemu królowi. Poprowadzono go do kościoła św. Marcina. Król wyszedłszy na wieżę, dobytym mieczem robił w powietrzu cięcia na cztery strony świata, na znak, iż gotów bronić państwa od wszelkiej napaści.

Później odprawił według starego węgierskiego zwyczaju pierwszy sąd.

Po skończonych ceremonjach koronacyjnych Zbigniew Oleśnicki tak przemówił do Władysława:

— Bóg ci dał potęgę! Dwakroć namaszczone skroń twoją! Stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szczerbi miecz pogański. Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

— Amen — odpowiedział Władysław III.

Gdy wkońcu król znalazł się w swojej sypialni i ujrzał tam Grzegorza z Sanoka, wyciągnął ku niemu ręce, mówiąc:

— Mistrzu mój, mistrzu! gdybyś mógł wiedzieć, jakie myśli przepływały dziś po mojej głowie! Z kim ja dziś obcowałem? Święci i wielcy schodzili ku mnie i wskazywali mi drogę.

— Niech ci Bóg na niej błogostawi, królu mój — szeptał wzruszonym głosem Grzegorz z Sanoka.

Późno w noc toczyła się poufna rozmowa między królem a Grzegorzem, którego król uważał za najlepszego przyjaciela.

Rozmowa kończyła się zawsze modlitwą.

Po koronacji Władysława III nie ustały domowe niesnaski, stronnictwo królowej i stronnictwo Władysława, staczały ze sobą krwawe boje. Król Władysław pragnął szczęścia swoich poddanych, dla ich dobra wytoczyłby sobie był ostatnią krwi kroplę. To też waśń domowa bolała młodego króla i z tego powodu robił panom węgierskim wyrzuty w ten sens:

— Nie na wczasy lub rozkosze przybyłem do was. Zaiste, spodziewałem się walczyć, ale z nieprzyjacielem chrześcijaństwa, a nie z braćmi waszymi.

Wreszcie łaskawość i dobroć króla potrafiła zjednać niechętnych. Nawet zawzięta nieprzyjaciółka króla Władysława, królowa wdowa z nim się pojednała, przez co też uspokoiły się na Węgrzech wewnętrzne zamieszki.

TURECKIE POSELSTWO

Dwa narody chrześcijańskie połączone przez włożenie dwóch koron królewskich na głowę Władysława III przedstawiały potęgę, z którą liczyć się musiał nawet taki władca, jakim był Amurat II, sułtan turecki, tem bardziej, że obok króla młokosa, o którym myślał z pogardą wszechwładny pan Turcji, stał dzielny wojownik, Jan Hunjady, którego Turcy nazywali psem wściekłym, za to, że zadał niejedną klęskę poganom.

Amurat II zważywszy zmiany, jakie zaszły w świecie chrześcijańskim przez koronację Władysława III, postanowił przed rozpoczęciem wojny z niewiernymi (tak nazywali Turcy wszystkich, którzy nie wyznawali wiary mahometańskiej) posłać do Budy poselstwo, pod pozorem zawarcia pokoju, w rzeczy zaś na przeszept, sułtan bowiem chciał znać dokładnie siły swoich przeciwników. Amurat II postanowił wysłać do Węgier poselstwo bardzo okazałe, aby na pierwszy rzut oka świadczyło o potędze władcy Turcji.

Przypatrzymy się temu okazałemu poselstwu, które przez Turcję i Węgry zdążyło ku Budzie, zadziwiając tłumy Węgrów, rozdziawiających usta na ogromny i wspinały orszak turecki.

Przodem biegli laufry, głośnym krzykiem opowiadali o wielkim pośle, będącym pieczętarszem sułtana, za laufami jechali trębacze, trąbienie i wrzask laufrów zdaleka oznajmiały o potędze władcy Turcji.

Za trębaczami postępowało sześć lektyk, w których znajdowali się posłowie sułtana. Wielki pieczętarsz, paszowie i inni dygnitarze, za lektykami prowadzono dwanaście

osiadłanych i kapami ponakrywanych koni, dalej dwa wielbłądy, niosące na grzbietach wspaniałe baldachimy, pod którymi, niby na wieży, siedzieli dostojnicy Amurata II. Za wielbłędami postępowało kilkunastu jeźdźców zbrojnych. Olbrzymi orszak zakończyła dziesięć wielbłądów i kilkanaście objuczonych mułów.

Na granicy węgierskiej ogromny orszak turecki powiększył szwadron węgierski, który miał eskortować poselstwo sułtana. Pod eskortą szwadronu węgierskiego posłowie sułtana przybyli bez przygody do stolicy Węgier, Budy. W osobnym domu, strzeżonym przez Węgrów, rozgościli się członkowie poselstwa. Odpocząwszy po trudach, Turcy wybrali się nazajutrz na uroczyste posłuchanie na zamek.

W oznaczonej godzinie rozwarła się brama domu, w którym umieszczono Turków, strażę węgierską rozstąpiły się, a z bramy wybiegli najpierw laufry. Mieli na sobie białe z długimi a szerokimi rękawami koszule i białe ledwie za kolana sięgające spodnie, przepasane pasami czerwonymi, od których węzły z boków zwisały, biegli oni boso, z odkrytymi głowami. W prawych rękach trzymali laski bambusowe, a w lewych duże chustki. Wywijając laskami i chustkami, biegli i krzyczeli.

Tuż za laufami ukazali się trębacze na białych koniach, w jaskrawych ubraniach, w wisiorach i świecidlach.

W rękach trzymali niezmiernie długie trąby, przyozdobione czerwonymi wstęgami, naszywanymi złotem i długą bogatą frendzlą. Poza trębaczami postępował orszak konny, za nim ukazali się na koniach dostojnicy tureccy. Na czele jechał wielki pieczętarsz w bogatym futrze, pokrytym amarantową materją, bogato złotem szytą,

z pod futra wydobywał się łańcuch złoty, zdobiący szyję wielkiego pieczętarza, łańcuch utkany drogiemi kamieniami. Głowę wielkiego pośła nakrywał kołpak, sadzony brylantami, z pośrodku których wynurzał się półksiężyc, a ponad nim kołysało się czaple pióro.

Równie bogato strojny był koń wielkiego pieczętarza. Inni panowie wystąpili także bogato i strojnije.

Za paszami prowadzono dwa konie w rzędach kosztownych i dwa muły, objuczone darami sułtana.

Orszak zamykał oddział konnicy.

Wśród przeraźliwego krzyku laurów, wśród głośniego trąbienia trębaczy, posuwali się Turcy powoli ku zamkowi. Powoli, bo tłumy gapiącego się ludu utrudniały pochód.

Upał był ogromny, to też dostojni paszowie, nieszczęśliwe ofiary etykiety, która wymagała, aby w taką uroczystość pomimo upału, występować we futrze, pocili się i sapali, nadymając się dla dodania sobie powagi.

Pochód zbliżał się ku zamkowi, zbudowanemu na wzgórzu, nad wspaniale płynącym Dunajem.

Gdy pochód stanął u drzwi zamkowych, rozstąpili się halabardnicy, stojący tu na warcie. Na ich głowach połyskiwały się hełmy złociste, a okrywały ich kirysy łuszczkowe.

Drzwi sali tronowej rozwarły się. Sala przedstawiała widok malowniczy i uroczysty. Podobną była do kaplicy. Miała wysokie wąskie okna, sufit sklepiiony, a ściany ozdobione tarczami herbowemi, rzeźbami, malowidłami i sztandarami. W głębi na podniesieniu umieszczony był tron wspaniały. Ponad nim wznosiła się ogromna korona, u stóp tronu rozciągał się bogaty dywan, a po obu bo-

kach tronu stały stołki obite czerwono, za stołkami ustawione były ławy.

Ławy i stołki stanowiły jedyne umeblowanie sali.

Na tronie siedział młodzieniec ujmującej postaci, w koronie i w szkarłatnym, gronostajami podbitym płaszczu, w jednej ręce trzymał berło, w drugiej jabłko złote z krzyżem na wierzchu.

Po prawej stronie Władysława siedział duchowny w kardynalskim stroju, to Julian Cezarini, po lewej mąż rycerskiej postawy, to Julian Hunjady, hetman, książę Siedmiogrodu.

Dalej w półkole zajęli miejsce dostojnicy świeccy i duchowni.

Na twarzach rycerstwa malowała się powaga, a stroje bogate dorównywały przepychem strojom tureckim, różniły się tylko od nich krojem.

W orszaku Władysława znajdował się także despota serbski, Jerzy Brankowicz, który przed Turkami schronił się u króla węgierskiego.

Wielki poseł sułtana wszedł najpierw, a złożywszy ukłon, zbliżył się do tronu, za posłem parami weszli do sali wszyscy członkowie poselstwa.

Gdy król Władysław skinieniem ręki dał znać, wielki pieczętarz począł przemawiać po turecku, przemowę tłumaczył tłumacz na język włoski.

W długiej barwnej przemowie, wychwalał poseł wielkość, rozum i potęgę padyszacha, który, pomimo potęgi, miłuje pokój i dlatego ten mocarz nad mocarze śle sługę swego wiernego jako pośła do sąsiada swego z różdżką oliwną.

Na przemówienie wielkiego pieczętarza odpowiedział od króla kanclerz węgierski, poczem wszyscy członkowie poselstwa usiedli, a wielki pieczętarz zabrał powtórnie głos, w następujący sposób:

— Padyszach, pan mój, mocarz nad mocarze i mędrzec nad mędrce, w mądrości swojej postanowił dać jego królewskiej mości węgierskiej, sąsiadowi swemu, dowód życzliwości i dlatego posyła mu w upominku dwa żrebce, nie mające co do piękności, siły i szybkości w biegu równych sobie, okryte rzędami, których bogactwo podziwiać będą narody w wieki potomne. Wraz ze żrebcami, ofiaruje padyszach królowi dwa muły, objuczone suknem drogim i materjami jedwabnemi. Życzeniem padyszacha jest, ażeby jego królewska mość kazała sobie z tych materij uszyć szaty wedle upodobania, a to w tym celu, aby, szaty te odziewając, królewska mość przypominała sobie o wielkiej dla niego życzliwości padyszacha. Oby upominki te stały się zadatkami i rękojmiami przyjaźni stałej i wieczystej.

Na to przemówienie odpowiedział stosownie od tronu kanclerz w imieniu króla i zapytał o zdrowie i powodzenie jego sułtańskiej mości, na co wielki poseł odpowiedział:

— Padyszach nasz, któremu aby Ałlach życia jak najdłuższego i pomyślności wszelkiej uczynił, zdrów jest. Zdrowie na wspaniałem obliczu kwitnie mu, jak róża stulistna i brzmi w jego głosie potężniejszym niż ryk lwa w pustyni. Zdrowszym szczupak, silniejszym nad niego wół być nie może. Ponieważ zaś jeszcze i o powodzenie królewska mość pytasz, więc słuchaj:

— Kraje, berłu naszego padyszacha podległe, tak są obszerne, iż orzeł lecący, czy to ze wschodu na zachód, czy z północy na południe, zmęczy się i od granicy do

granicy nie doleci. W granicach tych są góry, doliny, płaszczyny, pustynie, rzeki, jeziora, morza, grody, miasta, wsie, w których mieszkają narody rozmaite, a zliczyć ich niesposób. Wszystkie te narody zanoszą do Ałlacha błagania ustawiczne o zdrowie i pomyślność naszego padyszacha, któremu składają dziesięcinę i płacą dań z ochotą jak największą. Stąd też gromadzą się u niego bogactwa, które oczy olśniewają. Złoto trzyma on w zasiekach, srebro i miedź w słogach, brylanty i kamienie drogie w skrzyniach ogromnych.

— W stajniach jego setki żrebców najpiękniejszych przy żłobach stoi i rży, przeżuwać obrok czyszczony. Służą mu wielcy wezyrowie, paszowie, beje, rycerze, wojownicy, mędrce, którzy tylko o tem myślą, ażeby myśl jego odgadnąć. Dlatego padyszachowi naszemu dzieje się doskonale, powodzenie trzyma się go stale w wojnie i pokoju i biada temu, co przeciwko niemu, wybrańcowi Ałlacha, oręż się podnieść ośmieli. Głowa takiego zuchwalca w proch pada *).

Nastąpiła potem odpowiedź od tronu, poczem król, skinąwszy głową na pożegnanie wielkiemu pieczętarzowi, opuścił salę tronową, a po jego odejściu wyszli także posłowie tureccy z licznym dworem.

Przy wsiadaniu zaszła niespodziewana scena, oto trzech ludzi z orszaku poselskiego zaaresztowano. Na zapytanie wielkiego pieczętarza, co to znaczy, odpowiadano mu, że ci ludzie złapani zostali na szpiegostwie i dlatego ich zaaresztowano.

*) Przemówienie posła powtórzone dosłownie z powieści Jeza „Rycerz chrześcijański“.

Rzecz ta zaniepokoiła wielce wielkiego pieczętarza, bo między zaaresztowanymi znajdował się Skanderberg, ulubieniec padyszacha, niezrównany wojownik, wsławiony zwycięstwami. Skanderberg, to oko w głowie padyszacha i Węgrzy przyaresztowali takiego dostojnika.

Zepsuło to humor wielkiemu pieczętarzowi.

Tymczasem aresztowanych wprowadzono w głąb zamku i osadzono we więzieniu każdego z osobna.

Skanderberga zaprowadzono do baszty pałacowej za zamkiem.

Aresztowani przez Węgrów Turcy doznawali uczuć nie do pozazdroszczenia. Przyczyną tych niemiłych uczuć była ta okoliczność, że wstępującym na ziemię węgierską Turkom zapowiedziano, iż gdyby któregośkolwiek pochwyciono na szpiegostwie, czeka go kara śmierci na szubienicy. Drżeli zatem uwięzieni, drżał wielki pieczętarz o życie Skanderberga, ulubieńca padyszacha. Padyszach bowiem, którego wielki pieczętarz tak wychwalał, był panem wszechwładnym, okrutnym, od jego woli i złego humoru zależało życie poddanych. Najwyżsi dostojnicy drżeli, aby nie narazić się padyszachowi, który karał poddanych śmiercią często okrutną, bo skazanego kazał wbijać na pal. O swoją też głowę zadrżał wielki pieczętarz w chwili, gdy dowiedział się, że między aresztowanymi znajduje się Skanderberg, oko w głowie padyszacha.

Jak bardzo przeraziło wielkiego pośła aresztowanie Skanderberga świadczy to, iż powróciwszy do domostwa, dostał lekkiego ataku apoplektycznego.

W NIEWOLI

Podczas gdy wielki pieczętarz padyszacha jęczy i wyrzeka, zaglądnijmy, co się dzieje ze Skanderbergiem?

Wprowadzono go do więzienia na baszcie zamkowej. Więzienie miało kształt okrągły, płyta kamienna zastępowała podłogę. Światło niedostateczne wciskało się tutaj przez wysoko umieszczone, wąskie okienka, mocno zakratowane. W kamienną ścianę białe były dwa wielkie haki, na których wisiały łańcuchy z klamrami, przeznaczone do krępowania rąk, nóg i pasa więźnia.

Nie było tu widać sprzętu żadnego, jeno garść słomy w kącie była przeznaczoną na odpoczynek dla więźnia. Nie było nawet dzbanka z wodą, ni chleba czarnego. Skanderberg, zamknięty w ciasnym więzieniu, gniewny był i wzburzony. Jednakże gniewne uniesienie minęło wkrótce i może sądzicie, że miejsce jego zajęła trwoga przed śmiercią? O, nie, wcale! Żeby zrozumieć, dlaczego Skanderberg nie obawiał się śmierci, dlaczego uspokoił się wkrótce, musimy iść w ślad za myślami młodego rycerza, krążącemi po jego głowie, podobnie, jak on krąży szerokimi krokami po ciasnym więzieniu.

Myślą wrócił więzień w czasy bardzo odległe, cofnął się bowiem o lat dwadzieścia, do dzieciństwa swego, do domu rodzinnego. A umiłowany przez więźnia dom rodzinny, umiłowana ojczyzna, nie była Turcją, tak jak dzisiejsze jego nazwisko nie było jego własnem, tylko nadane mu przez padyszacha.

Ziemią rodzinną więźnia naszego była Albanja, a imię jego prawdziwe: Jerzy Kastriot.

Jerzy Kastriota do lat dziewięciu chował się pod okiem ukochanej matki, przy boku rozumnego ojca, księcia albańskiego. Nauki zaś pobierał razem z trzema starszymi braćmi od cnotliwego kapłana, ojca Pawła. Ojciec Paweł prawił chłopczynie o cnotach chrześcijańskich; z czynów ojcowskich, więcej jak ze słów, uczył się obowiązków względem bliźnich i ojczyzny; matka zaś opowiadała chłopczynie, że Bóg przeznaczył go do wielkich czynów, co oznajmił jej w śnie proroczym w chwili, gdy dziecina ujrzała światłoienne.

W takim otoczeniu wzrastało pacholę. Aż oto, gdy skończyło lat dziewięć, zagroziło ojczyźnie jego wielkie niebezpieczeństwo od potężnego wroga, od Turków, którzy, usadowiwszy się w Europie, postanowili pod panowanie swoje podbić świat cały. Uległy im najpierw małe, z Turcją graniczące, słowiańskie państewka, los podobny zagrażał także Albanji, graniczącej z zawojowaną przez Turków Serbją. Potęga turecka przedstawiała się groźnie, to też książę Albanji, Jan Kastriota, wobec niebezpieczeństwa nie chciał brać odpowiedzialności na siebie, więc wezwał książąt, wodzów i przedniejszych rycerzy albańskich, aby naradzić się z nimi nad sposobami zabezpieczenia małej krainy od potężnego wroga.

A niebezpieczeństwo okazało się bliższe niż mniemał książę Albanji, bo oto wróg ów z olbrzymiem wojskiem nadciągnął na granice Albanji i rozłożył niezmierny obóz, okiem nieprzejrzany.

Wieść owa, niby piorun z jasnego nieba, spadła na książąt, wodzów i rycerzy albańskich, goszczących u księcia Jana Kastrioty. Mały Jerzy widział, jak wieść o wojskach

tureckich, stojących na granicy Albanji pod wodzą wielkiego wezyra, przeraziła wszystkich.

Czyż siły nasze podolają potędze tureckiej? Czyż kraik maleńki potrafi oprzeć się wrogom niezwyciężonym dotąd?

Czyż Albańczycy, siedzący w górach niedostępnych, nie umiejący wojować bronią nową: „topami“ (tak nazywano armaty), nie mający tej piekielnej broni, potrafią obronić ukochaną ojczyznę? Ach, nie podolają oprzeć się niezmiernej potędze. Czeka ich niewola u okrutnych pogan. Niewola stokroć srozsza od śmierci. Przedniejsi mężowie albańscy byli w rozpacz.

Pośród zrozpaczonych książąt, wodzów i rycerzy stanął ojciec Paweł z obliczem natchnionem, niby u świętego i począł w przerażonych wlewać męstwo. „Rozpaczacie — mówił — jak gdybyście zapomnieli, że macie nad sobą Boga Ojca, który o swoich dzieciach nie zapomina. Z wiarą w Boga, z czystym sumieniem, z miłością do ziemi rodzinnej, gdy staniecie przeciwko przeciwnym siłom nieprzyjacielskim, zwyciężycie, jak zwyciężyło słowo Chrystusowe pogaństwo. Strzała rycerza chrześcijańskiego ugodzi w pagany i pokona ich. Zapomnieliście, że wyroki Boże przejawiają się w sposób niepojęty dla rozumu ludzkiego i prowadzą sprawy człowiecze drogami cudownymi, na której ludzkie są woli Bożej narzędziami“.

Mały Jerzy, słuchając natchnionych słów księdza, zapragnął być narzędziem Bożem, pragnął być tą strzałą rycerza chrześcijańskiego, przeszywającą pierś okrutnego poganina. Gdy to jednakże być nie mogło, zapragnął spojrzeć na tego wroga, który rzucił postrach na starszy-

znę albańską. A zdarzała się ku temu sposobność. Jan Kastriotę wysyłał właśnie na granicę ludzi z poleceniem, aby go zawiadamiali o zachowaniu się Turków.

Z ludźmi książęcymi chciał wyjechać malec, lecz mu wzbroniono. Zafrasował się, lecz myśl o potężnym wrogu nie dała spokoju dziecku. Gdyby to chociaż spojrzeć na tych niepokonanych wojowników, gdyby to zobaczyć tę nową ich broń, rozmyślał. Skoro Turcy wojować umieją tak doskonale, to należałoby się tej sztuki od nich nauczyć. Należałoby przekonać się, na czym polega ich niezwyciężona potęga. Myśli te nie pozwoliły usnąć dziecku. To też chłopczyzna zerwał się z pościeli, przyodziął i pobiegł ku niezbyt odległej granicy.

Świtało, gdy dobiegł do celu i złączył się z ludźmi, przysłanymi tu przez księcia, którzy z podziwem ujrzeli Jerzego. Nim jeszcze zapytano dzieciaka, co go tu sprowadza, powiedział rezolutnie:

— Przyszedłem przypatrzeć się wojskom tureckim.

Poczem począł badawczo śledzić obóz nieprzyjacielski. A było na co patrzeć!

Na granicy Albanji chodziły strażę tureckie, poza niemi ogromne topy z rozwartemi na Albanję paszczami połyskiwały do słońca. Naliczył ich Jerzy dwadzieścia. Wśród obozujących wojsk białe namioty tworzyły niby miasto nagle z ziemi wyrosłe. W pośrodku widniał namiot wielkiego wezyra, ozdobiony złotem i frendzlami i kutasami, ponad nim powiewał sztandar czerwony ze złotym półksiężcem.

Chłopczyzna spoglądał i spoglądał, rozważał, rozmyślał i robił tak trafne uwagi, że ludzie książęcy zdumiewali się, mówiąc jedni do drugich:

— Gada, jak stary! Jak doświadczony wojownik!

Podczas gdy Jerzy przypatrywał się Turkom, wódz ich, wielki wezyr Ibraim, rozpoczął układy z księciem Albanji. Układy owe podobne były do układów z człowiekiem obalonym na ziemię, któremu mocniejszy przeciwnik przykładą nóż do gardła. Nieprzejrzany obóz turecki ciężarem swoim przygniatał małą Albanję, zmuszoną do zgodzenia się na to, co dyktował wielki wezyr, wierny sługa padyszacha.

Wielki wezyr zapewnił Albanji pokój, zapewnił przyjazne sąsiedzkie stosunki z Turcją, jednakże jako rękojmię, że Albańczycy nie złamią pokoju, zażądał zakładników, którymi mieli być wszyscy czterej synowie księcia Kastrioty, a zatem i mały Jerzy, rozglądający się uważnie w obozie tureckim.

Albańczycy, nie mając siły do odparcia wroga, stojącego na karku, musieli przyjąć narzucone im warunki.

Księżę Kastriotę robił największą ofiarę dla ocalenia Albanji, oddając wrogom synów. Serce nieszczęśliwemu ojcu pękało z bólu, matka zalewała się potokami łez. Ale rady nie było. Gdyby księżę nie zgodził się na warunki, podyktowane przez wielkiego wezyra, wojska tureckie rzuciłyby się na bezbronnych w tej chwili Albańczyków i kraina oblałaby się potokami krwi.

Nie mógł zatem księżę nie przyjąć warunków. Prosił jedynie o to, aby mu Turcy oddali po czterech latach syna najstarszego, który obecnie liczył lat czternaście. „Jam stary — mówił księżę — więc chłopak najstarszy potrzebny mi będzie do pomocy w sprawowaniu rządów, z wiekiem bowiem zaczyna mi sił brakować“.

Warunek ów przyjął łaskawie wielki wezyr.

Poczem wypadło układu dopełnić. Żona księcia, łkając, przysposabiła synom wszystko do strasznej podróży.

Łzy matczyne gorące czuł po latach dwudziestu na twarzy młodzieniec, przechadzający się w tej chwili po ciasnem więzieniu. Lecz nie tylko łzy matczyne pozostały w jego pamięci, pamięta on niemą boleść ojca, odprowadzającego synów do obozu tureckiego. Pamięta, jak w chwili rozstania, gdy wielki wezyr, szanując boleść ojca, zostawił go samego razem z synami, ten ojciec, uklękawszy, w modlitwie gorącej oddawał dzieci swoje opiece Boskiej. Przypomnienie to wyciska młodzieńcowi łzy z oczu, bo wtedy widział ojca po raz ostatni, a nie zobaczy go już więcej, bo złamany nieszczęściami księżę Kastriota życia dokonał.

Wielki wezyr odstawił książęcych zakładników na dwór padyszacha.

Padyszach rozkazał synów księcia Albanji otoczyć przepychem, o jakim pojęcia nie mieli w domu rodzicielskim. Podawano im najwyborniejsze pokarmy, najwyższe łakocie, ubierano w szaty przepyszne, otoczono ich wygodami najwyższymi. Nie wyznaczano małym zakładnikom żadnych zajęć, nie przymuszano ich do pracy żadnej. Pod tym względem zostawiono chłopcom zupełną swobodę.

Dlaczego padyszach postąpił w taki sposób z albańskimi zakładnikami?

Dlaczego? Oto padyszach wiedział, że w zbytku i życiu nieczynnem książęta Albanji wyrosną na niedołęgów. Biedne dzieci! Znalazły się w pałacu padyszacha niby w bramie piekielnej, pchnięte tam ręką pogańską.

Chłopcy, wydarci przemocą z gniazda rodzinnego, z początku tęsknili, płakali, lecz powoli, powoli przywykli do zbytku i nieczynności. Nie wszyscy przecież przywykli! Wyjątek stanowił Jerzy.

Jerzy na dworze padyszacha nie zapomnił co powiadała mu matka o cudownem proroctwie. Pamiętał, że Bóg przeznaczył go do wielkich rzeczy. Czyż spełniłoby się proroctwo — myślał chłopczyna — gdybym popadł w grzech. A wszakci to Turcy popychają nas do grzechu, bo do lenistwa i obżarstwa. Jerzy pamiętał nauki ojca Pawła. O, pamiętał doskonale, że lenistwo i obżarstwo należą do siedmiu grzechów głównych.

Chłopczyna też, siadając do wykwintnego stołu, przedstawiającego pokusę nielada, wybierał z niego najprostsze pokarmy, a zaspokoiwszy głód i pragnienie, odchodził od stołu i szedł do wielkiej sali, aby tam strzelać z łuku do celu i wprawiać się w robieniu bronią.

Wstrzeźliwość Jerzego w jadł i napoju dostrzegła wkrótce stara niewiasta, która tu do pacholąt książęcych zaglądała. Niewiastę ową zwano Babą Rasą; a miała ona tu wielkie уваżanie, bo była dawną niańką padyszacha, cieszącą się łaską swego wychowawcy. Baba Rasa, dostrzegłszy w dziewięcioletnim księciu albańskim niepospolitą siłę ducha, szepnęła padyszachowi, aby Jerzego wychowywał inaczej niż braci. Padyszach przecież potrzebuje dzielnych ludzi — mówiła — a dzielnym człowiekiem będzie niezawodnie najmłodszy książę albański. Padyszach usłuchał niańki, której wielki rozum szanował i wkrótce też z pałacu Amurata II zniknęła Baba Rasa razem z Jerzym. Zniknięcie Jerzego było tajemnicą dla mieszkańców seraju, było nawet tajemnicą dla pozostałych starszych dzieci.

Jerzy zaś, pod macierzyńską niemal opieką Baby Rasy, wzrastał na uboczu. Otoczono go nauczycielami, z którymi uczył się z wielkich ksiąg, otoczono go nauczycielami, którzy wprawiali dzieciaka w sztukę wojowniczą. Za napój dawano mu mleko tygrysicy, aby stał się krwiożerczym, jak tygrys. Takich okrutnych wojowników chciał wychować sobie padyszach.

Gdyby nie tęsknota za rodzicami i braćmi, za ziemią rodzinną, Jerzy mógłby był się czuć szczęśliwym.

Uczył się, pracował, nie potrzebował teraz nieustannie walczyć z pokusami, jak to było w seraju padyszacha. Nie zastawiano bowiem przed chłopczyzną nęcących łakoci. Jedno tylko bolało chłopczykę, że przestano mu mówić o Bogu chrześcijańskim, a za to kazano mu czcić Ałłacha.

Baba Rasa wprawdzie czasem wspomniała dzieciakowi Boga chrześcijańskiego, ale robiła to ostrożnie, oglądając się przytem bojaźliwie.

Jerzy, posłyszawszy po raz pierwszy Babę mówiącą o Bogu chrześcijan, zdziwił się bardzo, bo sądził, iż ona jest Turczynką. Później pomyślał rozumny dzieciak, że Baba musi być chrześcijanką, podobnie jak i on, lecz widać Turcy zmusili i ją także do oddawania czci Ałłachowi.

Jerzy rósł i rozwijał się na męża. Wyrósł na znakomitego wojownika-wodza, który wielokrotnie prowadził zwycięskie wojny z licznymi narodami, z którymi wojowali Turcy.

Z woli Amurata II nazywano Jerzego Skanderbergiem; z woli tego wszechwładnego pana Turcji przebywał najmłodszy książę albański najczęściej w azjatyckich posiadłościach tureckich.

Trzymano go jak najdalej od Albanji, padyszach bowiem chciał, aby Jerzy zapomniał o swojej ojczyźnie. Sądził, że z tak daleka nie dojdzie do wychowanka żadna wieść z ziemi rodzinnej. Zapewne nie byłyby doszły do młodego księcia wiadomości o ziemi rodzinnej, o rodzinie, gdyby nie Baba Rasa. Z początku i ona nigdy mu o braciach i o kraju rodzinnym nie mówiła, lecz gdy z dziecka wyrósł na męża, przynosiła mu wieści o domu i ojczyźnie, a były to wieści straszne.

Oto, gdy najstarszy syn księcia Kastrioty doszedł lat, w których według umowy miał powrócić do Albanji — powrócił. O tak, powrócił, padyszach bowiem umie dostrzymywać słowa. Odesłano ojcu trupa najstarszego syna. Chłopiec zginął od trucizny, zadanej mu ręką zdraździecką. Księżciu Kastriocie powiedziano, że umarł po ciężkiej chorobie i padyszach w wielkiej łaskawości odsyła dziecko rodzicom, aby spoczęło w rodzinnych grobach.

Ten sam los spotkał po latach kilku najpierw drugiego, a następnie i trzeciego brata.

Gdy zaś książę Kastriota, złamany wiekiem i zmartwieńiami nie mógł bronić Albanji, opanowali ją podstępnie Turcy.

Pomimo to wszystko padyszach obsypywał łaskami Skanderberga, nazywając go pieśczośliwie synkiem. Pieśczołami i łaskami obsypywał padyszach Jerzego, bo potrzebował dzielnego ramienia młodego Albańczyka, który, w mniemaniu padyszacha, musiał zapomnieć pochodzenia swego i pamiętać tylko dobrodziejstwa, które padyszach go obsypywał.

Jerzy jednakże pamiętał ojczyznę swoją uciemiężoną, pamiętał krzywdy rodziny swojej i swoją własną i czekał sposobnej chwili, ażeby odrzucić łaski padyszacha, które

młodzieńca piekły, niby rozpalone żelazo, czekał chwili, aby wyswobodzić ojczyznę swoją i myślał właśnie, znalazłszy się w więzieniu, czy chwila ta nie nadeszła teraz? Wiedział bowiem, że dzieje Albanji i smutna historia jego rodu znana jest Węgrom. Opowiadała ją Węgrom Baba Rasa, Serbka z pochodzenia, a wzięta niegdyś przez Turków do niewoli. Baba Rasa z umysłu wychowała Jerzego na dzielnego męża, aby ten kiedyś stał się oswobodzicielem ludów słowiańskich, zagarniętych przez Turków.

Jerzy zatem, krążąc w ciasnym więzieniu w Budzie, domyślał się, że go żadna krzywda od Węgrów nie spotka, dlatego był spokojny.

BŁOGA CHWILA

Pogrążony w myślach więzień nie spostrzegł, że od czasu jego aresztowania upłynęło godzin kilka. W więzieniu zrobiło się już całkiem ciemno. Widocznie wieczór zapadł.

Z głębokiego zamyślenia zbudził Jerzego szelest jakiś za drzwiami, lecz nie za drzwiami, którymi go tu wpuszczono, lecz za drugimi w przeciwległej ścianie.

Zardzewiałe rygle skrzypnęły, drzwi się rozwarły i ukazał się w nich duchowny, trzymający w rękach zapalony kaganek.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitał więźnia kapłan, w którym poznajemy dobrego znajomego, Grzegorza z Sanoka.

Więzień nie umiał na chrześcijańskie powitanie odpowiedzieć, więc po chwili rzekł:

— Bądź pozdrowiony ojcze!

— Pójdź za mną — rzekł znowu Grzegorz z Sanoka.

Jerzy wyszedł. Ksiądz zasunął rygle i poszedł przodem przez długie, wąskie a ciemne korytarze, wreszcie wprowadził Jerzego do pokoju przyzwoicie urządzonego. Na stole był zastawiony posiłek, na który Grzegorz z Sanoka zaprosił więźnia. Jerzy od rana nic w ustach nie miał, to też ochoczo zabrał się do posiłku, a podczas gdy więzień zaspakajał głód, Grzegorz z Sanoka usiadłszy opodal, tak do niego przemówił:

— Ten oto pokój przygotowano dla waszej wysokości. Król i Jan Hunjady chcieli się z wami porozumieć. Nie było sposobu innego; aby nie zwrócić uwagi Turków, uwięziono waszą wysokość i dla niepoznaki także jeszcze dwóch innych ludzi. Ponieważ wielki pieczętarz zachorował, więc nim ozdrowieje, będziemy mieli czas zabrać bliższą znajomość.

Jerzy, słuchając księdza, kończył posiłek. Wkrótce odsunął od siebie misę i wstał.

— Chodźmy! — rzekł Grzegorz z Sanoka — król i hetman czekają na nas.

Po tych słowach ksiądz ujął w rękę kaganek i poprowadził swego towarzysza do drugiego obszernego pokoju.

Oto mieszkanie moje — rzekł stając w pośrodku izby — będziemy sąsiadowali ze sobą.

Jerzy rozglądnął się po pokoju, było tu schludnie, lecz bardzo skromnie. Drewniane łóżko, zastane pościelą, stało w jednym kącie, dalej klęcznik, ponad którym wznosił się wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa i obraz Matki Bożej, przed którym płonęła lampka.

Na drugiej ścianie widać było półkę z wielkimi księgami; książek wiele rozłożonych leżało także na drugim stole.

Jerzy, rozglądając się po pokoju, odgadł przybytek uczonego.

— Oddajecie się ojczyźnie? — rzekł.

— Próbuję dary Boże obracać na pożytek ludzki — odpowiedział zapytany; poczem ruszył przodem.

Jerzy przykląkł przed ukrzyżowanym Chrystusem, a przeżegnawszy się, poszedł za przewodnikiem.

Szli znowu przez długie ciemne korytarze, następnie weszli do jednej, drugiej, a wkońcu trzeciej izby, ta wreszcie była oświetlona, ściany jej zdobił ryzsztunek wojenny. Na środku znajdował się duży stół, przy którym siedział mąż poważny, z przyszywaną brodą, z marsem na wyniosłym czole i dumą w rozumnych oczach. Był to Jan Hunyady. Po pokoju chodził Władysław III.

Gdy drzwi się rozwarły, król zatrzymał się. Grzegorz z Sanoka złożył przed nim głęboki ukłon, tak samo powitał króla Jerzy. Król, siadając przy stole, zaprosił swoich towarzyszy, aby usiedli do poufnej, przyjacielskiej rozmowy.

Rozpoczęła się rozmowa poufna, w której chodziło o wyszukanie sposobu na pogięcie bisurmanów.

Król i helman liczyli na Jerzego, liczyli, że zechce wyrwać się z rąk tureckich, że zechce wyswobodzić Albanję; przez co wznieci zamieszanie w szeregach tureckich, zamieszanie, ułatwiające chrześcijanom pokonanie potężnego wroga. I nie zawiedli się. Jerzy powiedział: „Ile w duszy mojej jest woli, w sercu odwagi, w ramionach mocy, a w żyłach krwi, wszystko to poświęcę na oswobodzenie ojczyzny mojej, stając do walki z poganami w obronie chrześcijaństwa“.

Przy tych słowach oczy Jerzego świeciły zapalem dla świętej sprawy.

To też radzi byli, usłyszawszy słowa Jerzego: król młodzieniaszek rwący się do czynu, Jan Hunyady szczęśliwy pogromca Turków i uczony Grzegorz z Sanoka.

Po pomyślnym wstępie potoczyła się między czterema mężami rozmowa ważna i długa. Długie musiały być obrady, bo dotyczyły się sprawy ważnej a trudnej. A tworzyli piękny obraz naradzający się w sali rycerskiej czterech mężowie, których imiona zapisały się chlubnie na kartach dziejów ludzkości. Byli to prawdziwie wielcy ludzie.

Wszyscy czterej usiłowali zdolności swoje zużytkować na pożytek ludzi, na chwałę Bożą, dla triumfu chrześcijaństwa. Byli to ludzie natchnieni duchem Bożym.

Po skończonej rozmowie, Grzegorz z Sanoka rzekł:

— Chodźmy! Na czas więzienia wysokości waszej, jestem jego stróżem.

— Tak — rzekł Władysław III — aniołem stróżem.

Gdy Grzegorz z Sanoka wzbraniał się od przyjęcia nadanej mu przez króla nazwy, Władysław, przerywając mu mowę, rzekł:

— Nie odwołuję tego, co powiedziałem, ojciec wielbny, będziecie dla waszego więźnia aniołem stróżem. O pomóżcie mu wydostać się z niewoli piekielnej.

Jerzy i Grzegorz z Sanoka wyszli w ciemne korytarze, pożegnawszy ukłonem młodego króla. Grzegorz z Sanoka, iście jak anioł stróż, ujął księcia Albanji za rękę, aby w ciemnościach nie pobłądził.

Ze światłem nie mogli chodzić przez korytarz, światło bowiem mogło być zdradzić układy, które do czasu musiały pozostać tajemnicą.

Gdy obaj towarzysze znaleźli się w mieszkaniu Grzegorza z Sanoka, wtedy zapytał ksiądz swego więźnia:

— Czy zechcesz teraz wasza wysokość udać się do siebie dla wypoczynku?

— Jeżeli pozwolicie mi zostać tutaj ojciec wielbny, to jeszcze do siebie nie pójdę. Po dzisiejszych wydarzeniach, po rozmowie z wami, zacni ludzie, znajduję się w dziwnym stanie. Dusza moja potrzebuje pokrzepienia i po nie do was się zwracam. Przez lat dwadzieścia musiałem ukrywać się z uczuciami, z myślami swemi, musiałem być sam sędzią czynów swoich i mam teraz wątpliwości rozmaite. Czy pozwolisz mi ojciec wielbny, aby zamknięta dusza moja rozwarła się przed tobą?

— Jestem do usług waszej wysokości — odpowiedział Grzegorz z Sanoka, zapraszając wzruszonego do głębi Jerzego, aby usiadł.

Gdy usiedli, Jerzy jął opowiadać księdzu przygody swoje, rozpoczynając od chwili, gdy Turcy rozłożyli obóz okiem nieprzejrzanym na granicach Albanji.

Wtedy jako dzieciak dziewięcioletni zapragnąłem pokonać wrogów. Wierzyłem w sny prorocze matki mojej, wierzyłem słowom ojca Pawła, że Bóg wyroki swoje spełnia w sposób niepojęty dla rozumu ludzkiego i prowadzi sprawy człowiecze drogami cudownymi, na których ludzie są narzędziami woli Bożej. Za takie narzędzie uważałem niegdyś siebie. Dziś nie wiem, czy jestem godzien być narzędziem woli Bożej. Czy nie zawiniłem wobec Boga podbojami i zwycięstwami memi na korzyść Turków. Zdrada, której mam się dopuścić względem wrogów moich, względem padyszacha, który mię wychował, jest mi także wstrętną.

Grzegorz z Sanoka słuchał mówiącego uważnie, nie przerywając, a gdy ten skończył, rzekł:

— Padyszach wprawdzie obsypał wysokość waszą dobrodziejstwami i łaskami swemi, ale wydzierając ciebie rodzinie, ojczyźnie i kościołowi, popełnił zbrodnię o pomstę do nieba wołającą. A łaskami swemi obsypał wysokość waszą, w jakim celu? Oto, aby ramię wasze dzielne obrócić przeciwko chrześcijaństwu, przeciwko ziomkom i rodzinie własnej. Uległeś przemocy. I tego Bóg ci za grzech nie policzy. Grzechem nie może być powrót na łono kościoła, rodziny i ojczyzny.

Długo jeszcze rozmawiali, gdy wreszcie późno w noc rozłączyli się. Jerzy był uspokojony i pokrzepiony, nie poprzestał przecież na tem pokrzepieniu, korzystając z tego, że znalazł się wśród chrześcijan, zapragnął prawdziwie chrześcijańskiego pokrzepienia duszy — spowiedzi. Odbył ją przed Grzegorzem z Sanoka, w jego pokoju. Po spowiedzi Grzegorz z Sanoka wyszedł. Jerzemu ukazał odchodząc klęcznik, mówiąc:

— Tu możesz swobodnie w samotności i skupieniu ducha wznieść się myślą do Tego, co kocha i przebacza.

Jerzy korzył się przed tronem Boga.

Po godzinnej nieobecności powrócił kapłan i zapytał swego penitenta, czy nie miałby ochoty wysłuchać mszy świętej?

— Ojciec duchowny — zawołał uradowany — nie słuchałem jej lat dwadzieścia.

— Chodźmy więc.

Po chwili znaleźli się w kaplicy zamkowej. Była ona całkiem pusta, tylko w ławkach plecami do drzwi zwrócona znajdowała się jakaś postać ludzka. Jerzy usiadł

w ławce, wskazanej mu przez Grzegorza z Sanoka, który niebawem ukazał się przed ołtarzem.

Jerzy doznawał uczuć niewysłowienie błogich, uspokojony w sumieniu swoim, pokrzepiony na duchu, modlił się gorąco do Boga. Słuchając mszy świętej, zdawało mu się, że jest znowu w ojczyźnie swojej ukochanej, że sługa Boży przy ołtarzu, to ojciec Paweł. Jakie głębokie musiały być nauki tego zacnego kapłana, świadczy to, że Jerzy, wepchany między pogany jako dziewięcioletnie dziecko, nie zginął moralnie. Były w dziecku prawdy święte, zasiane ręką zacnego starca, a padły one na urodzajną niwę. Ziarn Bożych nie zdołały przytłumić chwasty pogańskie, siane przez lat dwadzieścia.

Jerzy wśród mszy ukląkł na stopniach ołtarza, aby przyjąć ciało i krew Chrystusa Pana; uklękawszy, spostrzegł koło siebie postać drugą, w której poznał króla.

Osoba królewska nie przeszkodziła Jerzemu w skupieniu ducha, dosłuchał mszy świętej, a w modlitwie zatonał tak głęboko, że nie dostrzegł, iż msza święta skończyła się już dawno. Bóg wie, jak długo byłby pozostał w tym stanie ducha, gdyby nie Grzegorz z Sanoka, który położywszy rękę na ramieniu zamodlonego, wezwał do powrotu.

Grzegorz z Sanoka, spoglądając na pokutnika, uśmiechnął się, bo przypomniały mu się słowa króla Władysława, wypowiedziane w chwili, gdy obaj odchodzili po poufnej rozmowie z królem i Hunyadym.

Król natenczas powiedział: „Dopomóż wielebność wasza temu usiłującemu się wydobyć z niewoli piekielnej“.

Wypełnić polecenie królewskie było rzeczą nader miłą i łatwą. To też gdy obaj znowu znaleźli się w mieszkaniu Grzegorza z Sanoka, on, zwracając się do Jerzego, rzekł:

— Oby posiłek ten wzmocnił cię w wędrowce, jaką masz odbyć. Czuwaj jeno nad sobą i miej ufność w Bogu.

— A ja ci ojczyźnie wielebny z głębi serca dziękuję — mówił Jerzy wzruszony, a po chwili namysłu rzekł: powiedz królowi, że wspólne przyjęcie komunji św. uważam dla siebie za związanie się z nim pobratymstwem na całe życie. Niech na mnie liczy. Ramię moje do niego należy. Powiedz mu to ojczyźnie wielebny — mówił to tonem proszącym.

— Dobrze, dobrze — mówił wesoło zacny kapłan — teraz zaś, posiliwszy duszę, trzeba posilić ciało.

Przy tych słowach zasiedli do śniadania.

Rozmowa potoczyła się swobodnie. Jerzy podziwiał Grzegorza z Sanoka, przyrównując go do pięknie i rozumnie napisanej żywej księgi. Dzień rozpoczęty w takim podniesieniu ducha upłynął Jerzemu przyjemnie, w dodatku spotkała go niespodzianka wielka. Oto próg izby przestąpiła Baba Rasa. Wyciągnęła ku niemu drżące ramiona, mówiąc z rozrzewnieniem: Synku mój!

— Babo! — zawołał głosem radosnym Jerzy i przygarnął się do wzruszonej kobiety, jak do matki.

Baba Rasa przyniosła Jerzemu miłe i ważne wiadomości z domu rodzinnego, z Albanji. Czekała tam jeno chwili sposobnej, aby się pozbyć Turków. Twoja rzecz synku, chwilę tę przyśpieszyć — mówiła pieszczotliwie.

Hetman Jan Hunyady odwiedzał także Jerzego i miał z nim długą poufną rozmowę.

Jerzy był tak szczęśliwy, że byłby pragnął, aby jego pozorne więzienie trwało jak najdłużej.

Jednakże chwile szczęścia mijają szybko. Węgrzy nie mogli więźniów tureckich trzymać w nieskończoność. Wielki pieczętarz padyszacha wyzdrowiał niebawem i podczas gdy Jerzy zażywał chwil błogich, toczono rokowania o pokój. Posłuchanie bowiem w sali tronowej było tylko paradną uroczystością.

Rokowania skończyły się tem, że pokoju nie podpisano. Poselstwo tureckie miało powracać, należało zatem uwolnić więźniów. Przeprowadzono śledztwo z dwoma więźniami tureckimi, wreszcie uznano, że są niewinni, poczem też wypuszczono ich na wolność. Zawiadomił o tem Jerzego Grzegorz z Sanoka. Wysokość waszą do więzienia odprowadzę, skąd was wypuszczą, abyście się połączyli z resztą członków poselstwa. Dadzą wam znać, gdy nadejdzie pora, zakończył.

Niebawem drzwi się uchyliły i stanął w nich Władysław III.

— Pora już — mówił z pośpiechem. — Wpadam, aby ci mości księżę albański powiedzieć, że do pobratymstwa z tobą przystaję. Myślałem o tem, kiedym obok ciebie komunję św. przyjmował. Pobratymcyśmy rzekł i rękę mu podał — i oby pobratymstwo nasze było początkiem związku chrześcijańskiego, oby było początkiem kochania takiego pomiędzy pobratymcami, jakie Chrystus Pan nasz nakazał pomiędzy bliźnimi. Obyśmy dawali przykład cnoty, czci i sprawiedliwości. Tak nam Boże w Trójcy świętej jedyny dopomóż!

W słowach młodego króla drgał zapal, który się udzielił Jerzemu.

— Tak nam Boże dopomóż! — zawołał.

Grzegorz z Sanoka podniósł nad nimi ręce i wymawiał słowa błogosławieństwa.

— Ale pora już — zawołał król.

— Ojciec wielebny prowadź go na wieżę i zamknij.

Po chwili Jerzy znajdował się w swoim więzieniu, ksiądz pożegnał więźnia słowami:

— Niech cię Bóg prowadzi.

Zaledwie Jerzy spoczął na słomie, gdy drzwi otworzono i wyprowadzono go z więzienia, na dziedzińcu połączył się z dwoma współwięźniami. Wkrótce znaleźli się w domostwie zajmowanem przez poselstwo tureckie.

Wielki pieczętarz i wielki poseł padyszacha witął Skanderberga objawami radości, ubolewał, że więziono i poniewierano ulubieńca padyszacha. Rzucił przekleństwa na Węgrów.

Z przekleństwem na ustach, z pogrózkami zemsty, opuszczali Turcy ziemię węgierską.

CHORAŻY KOŚCIOŁA

Układy pokojowe spełzły na niczem. Ojciec święty a z nim państwa chrześcijańskie nie życzyły sobie pokoju z poganami, owszem chcieli raz poskromić groźnego wroga. Ojciec święty wezwał państwa chrześcijańskie do wojny krzyżowej. Wszystkie państwa przyrzekły iść za tem wezwaniem. Najgorliwiej przecież krzątano się na Węgrzech. Kilkakrotny pogromca Turków Hunyady, zbierał ochoczo rycerstwo przeciwko poganom.

Do walki w obronie krzyża rwał się król młodzieniaszek, zagrzewany do niej przez legata papieskiego Juljana Cesariniego. Dzięki gorącemu pragnieniu walki

w obronie krzyża trzech mężów: króla Władysława, wodza Hunyadego i kardynała Cesariniego, zebrały się najpierw na wojnę krzyżową wojska polskie i węgierskie. Król Władysław, przypiąwszy krzyż do zbroi, ruszył do boju z poganami na czele dwudziestu tysięcy rycerstwa, razem z Hunyadym, prowadzącym dwadzieścia pięć tysięcy Węgrów.

Już 22 lipca 1443 roku przeprawili się obaj wodzowie z wojskami przez Dunaj i staczali zwycięskie potyczki z małemi oddziałami tureckimi. Zwycięski pochód trwał do 3 listopada, w dniu tym stanęły wojska chrześcijańskie naprzeciw olbrzymiego wojska tureckiego, będącego pod wodzą samego padyszacha Amurata II.

Lecz potężny padyszach, stojący na czele nieprzeliczonych szeregów wojsk, szeregów kilkakrotnie silniejszych od wojsk chrześcijańskich, mający na czele korpusu rezerwowego tak dzielnego wodza, jak Skanderberg, nie był przecie zadowolony w chwili, gdy się dowiedział, że wojska chrześcijańskie, prowadzone przez króla młodzieniaszka, stanęły naprzeciwko jego okiem nieprzejrzanego obozu.

Jakiż ma powód do niezadowolenia potężny władca Turcji?

O! Powód jest ważny, nader ważny. Oto większa część ogromnej armii padyszacha jest dziś do niczego. Niezdolna do bitwy po forsownych marszach i nocach bezsennych.

Konie i ludzie tak pomęczeni, że nie słyszą komendy przełożonych. Jedni śpią siedząc na koniach, inni pospadali na ziemię i śpią u nóg swoich wierzchowców.

Lecz dlaczego padyszach, będący znakomitym wodzem, pomęczył forsownemi marszami swoich ludzi?

Dlaczego? Oto doniesiono mu błędnie, że chrześcijanie ciągną do Turcji przez Bułgarię, w tę też stronę Amurat II posłał swoje wojska. Tymczasem Władysław podążał nie przez Bułgarię, lecz przez Serbję. Musiały wojska tureckie zawracać z drogi i teraz oto, zmęczone śmiertelnie, stoją senne, przedzielone od wojsk chrześcijańskich dwoma rzekami: Morawą i Niszawą.

Zaledwie złote promienie słońca przedarły się przez gęstą mgłę, zastaniającą wojska nieprzyjacielskie, aliści wojska chrześcijańskie natarły na senne szeregi tureckie. Zgiełk bojowy rozbudził wprawdzie tureckich żołnierzy i zmusił do obrony; obrona ta przecie była niedołężną i dzielni wojownicy polscy i węgierscy odnoszą wszędzie zwycięstwa.

Z najrozmaitszych stron okiem nieprzejrzanego obozu tureckiego zbierają się posłańcy do namiotu padyszacha z niepomyślnemi wiadomościami o poniesionych klęskach. Amurat II nieprzyzwyczajony do porażki, rzuca się gniewnie, ale nie rozpacza, ma on jeszcze przecie korpus rezerwowy, pod wodzą niezwyciężonego Skanderberga; do niego zatem śle z rozkazem, aby uderzył na pomęczone, a nie-liczne wojska chrześcijańskie.

Lecz Skanderberg nie śpieszy ze spełnieniem rozkazu padyszacha, czem doprowadza go do wściekłości.

Śle Amurat drugiego posłańca, nagląc do pośpiechu, lecz nim nowy poseł wyruszył, nadbiegł pierwszy ze złowrogą wieścią: Że Skaderberga niema na stanowisku. Od kilku godzin bowiem na czele swojej wiernej drużyny, złożonej z Albańczyków opuścił obóz turecki.

Skanderberg nie zapomniał, że jest Jerzym Kastriotą, księciem pokrzywdzonej przez Turków Albanji i oto teraz

opuścił nienawistne szeregi tureckie, aby z jarzma pogańskiego oswobodzić ziemię rodzinną.

Na wieść ową wściekał się Amurat II, lecz złość jego była bezsilną. Złością i nienawiścią nie mógł pokonać wojska polskiego i węgierskiego, które odniosło dnia tego świetne zwycięstwo nad poganami. Nie skończyło się jednak na klęsce listopadowej, oprócz pomniejszych porażek, ponieśli Turcy ogromną klęskę 24 grudnia w wąwozie zlatyckim. Padło tu pod ciosami polskiego i węgierskiego rycerstwa trzydzieści tysięcy Turków.

Poległo mnóstwo wezyrów i bejów, pojmano w niewolę wielu Turków, a między innymi zięcia sułtana.

Po owem świetnem zwycięstwie musiał powracać król bohater na Węgry, bo ciężka zima nie pozwalała na dłuższe przewleknięcie wojny. Zwycięstwa odniesione nad poganami okupiono znaczną stratą ludzi, jedni legli w boju, inni wymarli z niewygód wojennych, wśród ciężkiej zimy Posiłki zaś, przyobiecane przez państwa chrześcijańskie, nie nadciągnęły.

Powracał zatem Władysław poprzedzany sławą, która gruchnęła po całej Europie.

Chorażym kościoła nazwano zwycięskiego króla.

Gdy król zwycięzca na czele bohaterskiego wojska zbliżył się do stolicy Węgier, powitało bohatera duchowieństwo idące na czele ludu, a powitało pieśnią nabożną, jak prawdziwych rycerzy Chrystusowych. Król młodzieniaszek spojrzawszy na cisnący się do stóp jego naród, wśród którego znajdowali się duchowni i świeccy dostojnicy, wyczytał na obliczach garnących się tłumów cześć niewysłowioną. Wzruszony król zsiadł z konia, mówiąc

drżącym głosem: „Nie ja zwyciężyłem, lecz Bóg, nie mnie zatem czyńcie dziękczynienia, tylko Bogu“.

Król bohater nie był dumny swoim powodzeniem, oto pieszo, razem ze swoim ludem podążył do domu Bożego, aby podziękować Bogu za powodzenie oręża, podniesionego w obronie krzyża. Ów pokorny król młodzieńiec podążający pieszo i boso razem z ludem do kościoła, wydał się większym jeszcze bohaterem. Pokora uczyniła go droższym jeszcze narodowi.

Król bohater zapominający o swoich zasługach, nie zapomniat przecież o wstawionych na wojnie rycerzach polskich i węgierskich. Nie zapomniat wynagrodzić walecznych, a ku wiecznej pamięci mężnych rycerzy, rozkazał powiesić w kościele ich tarcze herbowe. Zawieszono dwa-naście tarcz herbowych polskich i dwanaście węgierskich.

Tarcze owe zdobią odąd przybytek Boży i przechowują dla potomnych sławę rycerzy, którzy odznaczyli się w pamiętnej wojnie z Turkami 1443 r.

Po dniu pięknym, w którym naród oddawał cześć i serce swe królowi, a król za owe dary składał dziękczynienia Bogu, nadszedł wieczór. Król wreszcie znalazł się w swoim pokoju, jedynie w towarzystwie Grzegorza z Sannoka. Wierny przyjaciel królewski, zwracając się do bohatera młodzieńca, rzekł:

— Piękny dzień przeżyłeś wasza miłość, piękny wzruszający i to w zaraniu życia. Na dzień taki inne głowy ukoronowane czekać musiały lata długie, inne nie doczekały go nigdy.

— Dzień dzisiejszy uczynił ciebie królu w oczach narodu, w oczach chrześcijaństwa większym, niż na polu walki, bo pokora podnosi jeszcze twoje zasługi. A ileż to

czynów dobrych, czynów wielkich popsuła pycha, która daleką jest od serca twego królu.

— Wielebność wasza — mówił król żartobliwie — byłeś mi dotąd prawdziwym przyjacielem, źle powiadam, byłeś dla mnie dobrym aniołem, a od dziś chcesz mi być dworakiem? chcesz mi pochlebiać?

Jakkolwiek król słowom swoim chciał nadać ton żartobliwy, czuć było w nich rozrzewnienie wielkie, jakim wezbrała pierś młodzieńca.

— Boże uchowaj mnie od pochlebstwa! — bronił się Grzegorz z Sanoka. — To co powiedziałem panu memu, jest mojem najgłębszem przekonaniem.

— Szanuję w tobie królu ducha bohaterskiego, ale czczę i uwielbiam twoją pokorę, broniącą cię od pychy i dumy.

— Ależ z czego mam się pysznić, z czego wynosić? Czyż z tego, że poszczęściło się orężowi naszemu?

— Dzięki niech będą za to Bogu, cześć rycerstwu polskiemu i węgierskiemu. Ja pracy mojej nie uważam za ukończoną, póki potęgi pogańskiej nie złamiemy. Zadałszy im cios bardzo dotkliwy, ale cios ten nie zachwiał jeszcze potęgi tureckiej, pozostanie ona i nadal postrachem chrześcijaństwa. Nie chwalże mnie wielebność wasza zawczasu, bo gotówbym się wzbić w pychę, a ta przeszkodziłaby mi do skończenia rozpoczętego dzieła.

— Niech Bóg błogosławi ci królu na drodze twojej — rzekł wzruszony kapłan.

— Niech Bóg błogosławi, a dobrzy ludzie pomagają — rzekł Władysław III, klękając do wieczornej modlitwy.

NOWA NA TURKÓW WYPRAWA

Wkrótce po odniesionych zwycięstwach nad Turkami, stanęło przed królem bohaterem poselstwo wysłane przez Amurata II. Posłowie prosili, a raczej błagali o pokój. Lecz tym razem nie silili się na wychwalanie potęgi swego pana. Czuli, że byłaby to czcza gadanina, zbyt cenna w chwili ciężkiej, zbyt cenna w chwili, gdzie szło Turkom o uzyskanie pokoju i rozejmu dziesięcioletniego.

Posel padyszacha dobierał słów wymownych, aby uzyskać jak najłagodniejsze warunki pokoju, aby wydobyć z niewoli zięcia Amurata II. Przywykłym do rozkazywania Turkom nie było rzeczą łatwą upokorzyć się aż do prośby, aż do błagania. Po raz pierwszy chrześcijanie dyktowali im warunki. A jakkolwiek podyktowane warunki były ciężkie, musieli je przyjąć.

Turcy zmuszeni byli zgodzić się na wyswobodzenie z pod swego panowania zawojowanych państw słowiańskich, musieli zgodzić się na oswobodzenie Wołoszczyzny. Jedna tylko Bułgarja miała pozostać w ich rękach. Zięć Amurata II uzyskał wolność za cenę 70.000 czerwonych złotych.

W Szegedynie dnia 12 lipca 1444 r. zaprzysiężono pokój i rozejm dziesięcioletni. Król Władysław przysięgał na ewangelję, Turcy na Alkoran.

Jakże musiał być szczęśliwy król Władysław, odniósłszy tak świetny triumf nad poganami. Był tak szczęśliwy, niestety szczęście jego trwało bardzo krótko. Już w kilka dni po zawarciu pokoju, z pałacem obliczem, z wyrazem pognebnienia wszedł Władysław III do sypialni swojej, w której oczekiwał go Grzegorz z Sanoka, kape-

lan i spowiednik królewski. Od pierwszego rzutu oka kapłan dostrzegł, że król znajduje się w niezwykłym stanie ducha. To też zapytał go z niepokojem.

— Co wam jest, miłościwy panie?

— Co mi jest — rzekł Władysław, siadając na krześle — nie wiem — mówił powoli — czuję wielkie zmęczenie, radbym odpocząć, a spokoju nigdzie zaznać nie mogę. Dusza moja jest w rozterce. Toczę ze samym sobą bój, bój sroższy niż z poganinem Turkiem. Krzyczą na mnie dwa głosy, każdy wzywa mnie w inną drogę. A ja nie mogę dostrzec, którą iść powinienem. Ale jak tu wybierać, jak zwyciężyć? gdy się walczyć ma z potężnymi przeciwnikami, bo z ojcem świętym i legatem kardynałem Cesarinim.

— Przestraszasz mnie, miłościwy królu, ale zlituj się, mów o co chodzi.

— O co chodzi? — wybuchnął Władysław. — Chodzi o złamanie przysięgi!

— O złamanie przysięgi? Czyż może mnie słuch myli? — zawołał żywo Grzegorz z Sanoka. — Któż to i kogo chce nakłonić do tak ciężkiego grzechu?

Wzdrygnął się król, usłyszawszy ostatnie słowa księdza, wymówione ze zgrozą.

— Mnie każą łamać przysięgę, chcą wmówić we mnie, że przysięga wobec pogan nie obowiązuje, ale sumienie moje w to uwierzyć nie może i krzyczy we mnie: że krzywoprzysięzca to grzesznik, to zbrodniarz. Czyż mam ten głos sumienia stłumić, zagłuszyć? — pytał Władysław wzburzony do głębi, stając przed swym po-wiernikiem.

— Nigdy, przenigdy! — odparł bez namysłu spowiednik królewski. — Zawsze i wszędzie należy iść za

głosem sumienia, wtedy miłościwy panie ustąpi wzburzenie, które wam pokoju nie daje.

— Ach! żebyście wiedzieli ojczcie wielbny, — skarżył się Władysław — w jakim stanie jest dusza moja, w jakiej rozterce; ja już straciłem poczucie, gdzie jest prawda. Nie wiem, czy ten głos sumienia, który słyszę, prawdą jest, czy też ten głos drugi, który mi sprawy chrześcijaństwa każe stawiać ponad wszystko. Ale ja prawie bezładu, bez związku, nie tłumaczę się jasno, darujcie, ale nie mogę pozbierać myśli.

— Uspokójcie się przedewszystkiem miłościwy królu — rzekł Grzegorz z Sanoka, głosem, w którym brzmiało współczucie, ujął przytem króla jak dziecko za rękę, jak dziecko malutkie poprowadził do otwartego okna, zapraszając go, by usiadł. — Odetchnijcie świeżem powietrzem — mówił łagodnym głosem Grzegorz z Sanoka — uspokoście się, a potem powiecie dokładnie o co chodzi.

— Ja się uspokoić nie potrafię — rzekł złamanym głosem król — chyba wy ojczcie wielbny dokażecie tego. Ot widzicie, poselstwa od wszystkich państw chrześcijańskich zjechały na dwór mój.

— Wiem o tem — rzekł z goryczą Grzegorz z Sanoka — lepiej byłoby, żeby panujący, zamiast śłać dziś poselstwa, przysłali byli miłości waszej posiłki, jak to niegdyś przyrzekli.

Król poruszył ręką niecierpliwie, potem rzekł:

— Przyrzekają przysłać teraz.

— Teraz? w samą porę — mówił z niezwykłą sobie gwałtownością kapłan — w samą porę, gdy rozejm dzie-sięcioletni zaprzysiężony.

— Otóż ojciec święty i kardynał Cesarini powiadają — mówił król — że rozejm bez upoważnienia papieskiego nieważny, że złamanie przysięgi danej poganom nie jest grzechem.

— Grzechem jest — zawołał żywo Grzegorz z Sanoka — grzechem jest nie dotrzymać słowa, a tym cięższym złamać przysięgę. Nie godzi się uczciwemu człowiekowi łamać przysięgi, nie godzi się bez względu, czy ją dał poganom, czy chrześcijanom.

— Tak mówi mi głos sumienia — rzekł król Władysław, wzdychając.

— Za głosem tym idź, głosu tego słuchaj, miłościwy panie! — W mowie królewskiego spowiednika nie rozkaz brzmiał, lecz prośba.

Władysław odpowiedział westchnieniem tylko.

Milczenie zapanowało w komnacie, po chwili przebrał je spowiednik królewski, zapraszając pana swego do odmówienia wieczornych pacierzy. Władysław chwiejnym krokiem przeszedł komnatę, ukląkł obok Grzegorza z Sanoka i złamanym głosem powtarzał słowa modlitwy za kapłanem.

Młodzi czytelnicy zapewne się zdziwią, że król Władysław idący zawsze drogą prostą, drogą prawdy, dziś na tej drodze pobił. Nie mógł tej drogi prostej i jasnej znaleźć sam i potrzebował dopiero przewodnika. Nie dziwcie się jednakże królowi młodzieńcowi, jakże nie miał się zachwiać, skoro złożyły się okoliczności tak, że go z tej drogi ciągnęły w inną stronę.

Już po zawartej ugodzie z Turkami ojciec święty nadesłał Władysławowi miecz i kołpak poświęcony, przesłał wyrazy podziękowań dla „najwierniejszego obrońcy ko-

ścioła“, ale zarazem oświadczył, że układy z Turkami nie miały wagi żadnej, były bowiem robione bez upoważnienia Rzymu. Ojciec święty pragnął złamania potęgi pogańskiej, to też zawarty rozejm nie mógł mu się podobać. Wiedział bowiem, że czas uzyskany wystarczy Turkom na odzyskanie sił. A nie było wątpliwości, że wzmocniwszy się, uderzą znowu na chrześcijan.

Zawarty pokój nie podobał się także państwu chrześcijańskiemu, które wysłało poselstwa na dwór króla Władysława.

Poselstwa zjechały liczne i świetne. Z Wenecji, Burkundji, Medjolanu, Anglii, Francji i Hiszpanji. Przybyło także poselstwo od Jana Paleologa, cesarza wschodu, nazywał on króla Władysława „głową i tarczą chrześcijaństwa“.

Świetne poselstwa z całego świata chrześcijańskiego chyliły karnie głowy przed królem, nazwanym „tarczą chrześcijaństwa i chorążym kościoła“. Wszystkie błagały, aby stanął na czele rycerstwa chrześcijańskiego i poprowadził je na pogan.

— Trzeba korzystać z chwili pomyślnej — mówili posłowie — z chwili osłabienia potęgi tureckiej. Nie trzeba dać im czasu, aby odzyskali siły dawne. Cały świat chrześcijański chwyci za broń, bylebyś nas, miłościwy królu, wiodł na pogan. Wspólnymi siłami złamiemy potęgę turecką.

Czyż dziwić się można, że nadzieja niezawodnego pokonania pogan była silną pokusą dla króla i że król zachwiał się, gdy legat papieski usiłował go przekonać, iż umowa z Turkami bez upoważnienia ojca świętego nie ma znaczenia, iż przysięga, dana poganom, nie obowiązuje.

Jak mógł tak twierdzić wystaniec ojca świętego? zapytacie. Kardynał Cesarini pragnął dobra kościoła, dobra chrześcijaństwa, a dobro to można było osiąść jedynie wojną, więc do wojny też przynaglał Władysława, pogromcę Turków. Poza tem kardynał Cesarini szedł za obyczajem wieku. Obyczaj ów pozwalał na złamanie przysięgi danej poganom.

Grzegorz z Sanoka miał duszę przeczystą, był niepospolitym mężem swego czasu, szlachetnością umysłu wyższym był nad obyczaj wieku, to też nauki Chrystusowe rozumiał lepiej, niż ówczesne społeczeństwo. Nie mógł też zgadzać się, nie mógł podzielać błędnego i grzesznego zapatrywania. Zapatrywania mistrza swego podzielał Władysław III. Ale młodym był, to też zachwiał się w przekonaniach swoich, w chwili, gdy mu wymowne usta kardynała Cesariniego mówiły co innego, niż własne sumienie.

Upłynęło dni kilka od opisanej wam rozmowy Grzegorza z Sanoka z królem Władysławem. Młody król przechadzał się żywo po komnacie, gdy rozwarły się szeroko podwoje i okazał się w nich Grzegorz z Sanoka; był mocno wzruszony, postąpił szybko kroków kilka, a stojąc przed Władysławem, zapytał:

— Możeż to być, co powiadają, czem napełniony jest dwór cały, że wy, miłośnicy panie, wybieracie się na wojnę z Turkami?

— Prawdę powiedzieli wielebności waszej — odpowiedział spokojnie Władysław.

Grzegorz z Sanoka pobałdł nagle, nogi mu zadrżały, zakrył twarz rękami i odpowiedział królowi głośnem łkaniem.

Łzy te poruszyły do głębi Władysława, przybliżył się też szybko do łkającego, położył rękę na jego ramieniu i rzekł głosem proszącym:

— Ojcze! Wielebność wasza! nie rozdzierajcie mi serca.

— Czyż mogę zapanować nad bolem, jaki szarpie serce moje? Czyż mogę być spokojnym, gdy pomyślę, że ty królu, dziecię ducha mego, ty, którego ukochałem ponad wszystkich, jesteś krzywo...

— Ojcze! — zawołał żywo król Władysław — dosyć, nie kończcie!

— Posłuchaj mnie wielebność wasza. Nie jestem krzywoprzysięzcą, bo przysięga obowiązywałaby mnie wtedy, gdyby Turcy dopełnili wszystkich warunków pokoju. Oni tymczasem trzymają dotąd ludzi swoich w grodach, które nam oddać mieli. Serbja jęczy jeszcze pod panowaniem pogańskim. Nie dotrzymali Turcy warunków ugody, zatem niema ugody. Nie dotrzymując warunków, zerwali pokój. Mnie od przysięgi rozgrzeszył kardynał Cesarini. Ja już złożyłem przysięgę drugą, oto: że nie schowam broni, aż legnę lub pokonam niewiernych.

Grzegorz z Sanoka w milczeniu słuchał słów królewskich, postać jego wyrażała wielkie przygnębienie, dostrzegł to synowskiem okiem król Władysław, bo powiedział:

— Wielebność wasza jesteś chory, a ja pozwoliłem, abyście stali, siadajcie, proszę, chcę bowiem opowiedzieć wam wszystko.

Gdy Grzegorz z Sanoka usiadł, Władysław III rad widocznie ze spowiednika swego, jął mówić z wielkiem ożywieniem:

— Rzeczy tak się składają, że zwyciężymy niezawodnie. Państwa chrześcijańskie obiecują nadesłać tym razem potężne posiłki lądowe i morskie. Trzeba korzystać z pomyślnej chwili, a pomyślniejszej chyba nie doczekamy. Amurat II, upokorzony klęską, złożył rządy w ręce młodego, niedoświadczonego sułtana. Turcy zajęci są teraz wojną w Azji, zatem mają w Turcji europejskiej niewielkie wojska. Gdy Turcy uporają się w Azji, to nie będą zważać na zawarte przymierze, tylko rozpoczną wojnę z nami. Jerzy Kastriota, pobratymiec mój, przyrzekł mi także posiłki. Paleolog do wojny gotów. Floty greckie i włoskie czuwać będą, aby wojska tureckie z Azji nie dostały się do Europy. Cóż, wielebność wasza, milczysz? Czy nie pochwalacie zamysłów moich?

— Rozmyślałam nad słowami waszemi, miłościwy królu. Rozmyślałam, co poczynać będziecie, gdy Turcy, ociągający się jeszcze z dotrzymaniem warunków pokoju, warunków owych dopełnią? Co poczynać będziecie, gdy wam znowu państwa chrześcijańskie posiłków nie nadesła? Gdybym obietnicom wierzyć mógł — mówił zgnębionym głosem kapłan — gdybym wierzyć mógł, to powiedziałbym: „Niech Bóg błogosławi zamysłom twoim, królu“. Ale obawiam się, że ciebie, królu, w bój pchną, a obiecanych posiłków nie nadesła. Za Jerzego Kastriotę ręczyłbym jedynie. Ten niezawodnie słowa danego dotrzyma.

WARNA

Król Władysław nie podzielał obaw Grzegorza z Sannoka, to też gdy kardynał Cesarini uspokoił sumienie królewskie, zajął się gorączkowo przygotowaniami do no-

wej wyprawy na Turków. Ale jakoś nie darzyło się z przygotowaniem do nowej wyprawy. Gdy kardynał Cesarini odsunął pierwszą zaporę, a taką były skrupuły królewskie, aliści nadarzyła się druga. Zaporą bardzo poważną, bardzo dla króla przykrą, było poselstwo polskie.

Naród wzywał swego pana do Polski, bo działo się tam źle w nieobecności króla. To też ociągającego się króla Władysława, posłowie polscy na klęczkach wzywali do powrotu.

Król Władysław, do łez wzruszony, prośbie musiał odmówić, jakkolwiek pojmował potrzebę powrotu do kraju. To też przyrzekł powrócić natychmiast po ukończeniu wojny z Turkami. Sprawy bowiem wiary i obronę chrześcijaństwa stawiał szlachetny król ponad wszystko.

Przygotowania do wojny robiono gorączkowo, śpiesznie, to też wkrótce, bo 20 września 1444 r., ruszył król z Szegedyna na czele wojska na nową wyprawę. Przed wyjazdem zasmucił się nasz bohater bardzo, bo nadeszły wieści, że Turcy dopełnili ostatnich warunków pokoju. Kardynał Cesarini wpływem swoim na młodego króla sprawił, że wiadomość ta nie odwiodła go od przedsięwziętej wyprawy. Przypomniat młodzieńcowi przysięgę świętą, „że nie schowa broni, aż legnie, lub niewiernych pokona“.

Wojska królewskie przekroczyły Dunaj pod Orszową. Ciągnęły następnie przez Widdyń i Nikopolis, przez równiny bułgarskie.

Bułgarję bowiem chciał Władysław wyswobodzić z rąk pogan. Tu także miały połączyć się wojska chrześcijańskie z królem Władysławem. Nim to nastąpiło, król na czele walecznych Węgrów i Polaków staczał pomyślne

potyczki z Turkami. Zdobywał grody, wypędzał z nich Turków i oswobadzał z niewoli tureckiej chrześcijan. Wojskom królewskim błogosławili oswobodzeni.

Z pomiędzy panujących, którzy przyrzekli Władysławowi posiłki na wojnę, stawił się pierwszy Draguła, wojewoda wołoski, wiodąc cztery tysiące ochotników.

Draguła, obaczywszy wojska królewskie, których było do dwudziestu tysięcy, aż chwycił się za głowę ze zdziwienia, iż król z garstką taką porywa się na potężnych pogan. Padyszach, gdy wychodzi na łowy — mówił Draguła — więcej ma ludzi.

I my ich mieć więcej będziemy — mówili rycerze królewscy — wszakże nadciągnęliście wy, miłośnicy panie, z posiłkami, więc nadciągną i inni; nadciągną wszyscy, którzy posiłki przyrzekli.

Nie nadciągali jednak. Zamiast posiłków, nadciągały wieści niepomyślne. Brankowicz, despota serbski, pierwszy odmówił posiłków. Wymawiając się zdradziecko, że nie chce łamać danego słowa, że nie chce być krzywoprzysięzcą. Ale nie dosyć na tem, że Brankowicz zdradził, lecz w dodatku nie przepuścił przez kraje swoje Jerzego Kastriotę, księcia Albanji, ciągnącego z wojskami swemi, w celu posiłkowania króla Władysława. Ale nie koniec na tych złych wieściach. Oto nadeszły nowe, gorsze jeszcze: floty genueńskie i weneckie, które strzec miały brzegów przed Turkami, przywiozły na swoich statkach czterdzieści tysięcy wojska tureckiego, biorąc od pogan okupu dukata za każdego żołnierza. Dla złota zdradzili sprzymierzeńcy króla, walczącego jedynie dla sprawy świętej. A i inne przyrzeczone posiłki nie przybywały.

Tymczasem wojska tureckie przybliżały się do garstki rycerzy krzyżowych, rozłożonych pod Warną na szerokiej równinie. Nad wojskiem tureckiem objął dowództwo Amurat II, który na odgłos wojny z Węgrami, ponownie ster państwa ujął w swe ręce. Z garstką chrześcijan miało się potykać sto tysięcy Turków.

W przeddzień bitwy, dnia 9 listopada, niewesoło było w namiocie królewskim. Króla nękał wrzód, który zrobił mu się na lewem udzie, nękał gorszy wrzód, bo niepokój o wynik jutrzejszej bitwy, wobec tak nierównych sił. Na leżącego króla, wydającego rozkazy, patrzył smutnymi oczami Grzegorz z Sanoka, nieodstępny towarzysz swego ukochanego pana. Z żalością wielką spoglądał kapłan na młodzieńca, zajętego ostatecznymi przygotowaniami do bitwy.

Jutro! jutro! co ono przyniesie? — myślał z goryczą Grzegorz z Sanoka. — Gdzież te obiecane posiłki? o to garść naszych pójdzie na pastwę pogaństwu. Cóż dziwnego, że w ciężkich okolicznościach smutne myśli zasępiły oblicze zacnego kapłana.

Zajaśniał pamiętny dzień 10 listopada 1444 r.

Równo ze świtem rozpoczęła się krwawa, zażarta walka. Turcy z gwałtownością wielką natarli na prawe skrzydło wojsk chrześcijańskich. Na czele prawego skrzydła stał kardynał Cesarini, który nie tylko słowem, lecz osobistym udziałem zachęcał rycerzy do boju. Ponad kardynałem powiewała wielka chorągiew węgierska.

Pod gwałtownym naciskiem pogan zachwiało się prawe skrzydło wojsk chrześcijańskich. Na pomoc cofającym się nadbiegli z wojskiem rezerwowem: biskup wa-

radziński i polski wódz Bobrzycki, wsławiony już przy zdobywaniu grodów w Bułgarji.

Dzielnie popisały się posiłki, dzięki tymże prawe skrzydło odnosi przewagę nad Turkami. Przewaga, niestety, drogo okupiona, bo śmiercią i ranami najwaleczniejszych.

Bobrzycki poległ w gorącym boju. A co się dzieje z królem?

Oto pośrodku doliny dowodzi nad wiernym polskim i węgierskim żołnierzem, wiedzie swoich na bój krwawy, siejąc postrach i klęskę wśród szyków nieprzyjacielskich. Walka bez wytchnienia trwała dzień cały, już zdziesiątkowane wojska tureckie z przerażeniem ustępują z pola walki, nie mogąc wytrzymać natarczywości chrześcijańskich wojowników. Jeden z najznajomniejszych wodzów tureckich, Kuradza, poległ z rąk króla bohatera.

Chrześcijanie, aczkolwiek licznie słabsi, odnieśli zwycięstwo.

Król Władysław nie czuje przecież zmęczenia, to też wiedzie swoich do dalszego boju.

Jakkolwiek znaczna część wojska tureckiego pobita, a nawet sam sułtan zwracał konia do ucieczki, to przecież mają Turcy rezerwowe wojska, które dziś jeszcze nie były w boju, do nich należeli janczarowie. Janczarowie zajmowali obronne stanowisko, opasani ostrokołem, zakryci tarczami wbitemi w ziemię.

Przed okopem wbili wysoką dzidę, na której zawiesili traktat pokoju zaprzysiężony przez Władysława, jako oczywisty dowód krzywoprzysięstwa.

Ku janczarom zwrócił się król Władysław ze zwyciężskimi wojskami. Nie zważając na rady Hunyadego, odciągającego króla od dalszego boju.

Władysław jednak pamiętał na daną przysięgę, że nie złoży broni, dopóki nie zwycięży lub zginie. Pamięta ją doskonale. Pamięta także, że dostał rozgrzeszenie za złamanie przysięgi danej poganom. Pamięta, że przysięgi, jaką złożył powtórnie, łamać mu nie wolno, to też, nie zważając na rady ostrożnego wodza, rzekł:

— Nie mojej to krwi uchodzić z pola, zginę raczej, aniżelibym miał skrócić sławę przodków moich ucieczką i opuszczeniem rycerstwa mojego.

Z temi słowami rzuca się król bohater na zastępy janczarów, te łamią się pozornie, a raczej rozstępują dobrowolnie i otaczają króla, odcinając go podstępnie od reszty rycerstwa.

Odciętego a broniącego się bohatera obalają z koniem w przekop i pozbawionego ratunku, mordują. Janczar Kodza-Chazer odcina głowę okrutnie zamordowanemu królowi i, nabiwszy ją na proporzec, podnosi w górę.

Na ten widok rozległ się okrzyk radości z piersi dzikich pogan, okrzyk podobny do ryku dzikich zwierząt. Jakże nie mieli wyć radośnie, skoro pokonali najwierniejszego obrońcę kościoła, obrońcę i oswobodziciela południowych Słowian.

Widok głowy króla Władysława na proporcu tureckim wprowadził w szaloną radość pogan, a w serca rycerzy chrześcijańskich wlał żal, ból i trwogę. Przed chwilą okryci chwałą, uchodzą z pola walki w popłochu i nieładzie.

Rozchodzą się z jednej strony szalone okrzyki radości, z drugiej jęki konających, szczęk broni i tętnoty koni. Ziemia zdawała się jęczeć pod ciężarem uciekających rycerzy.

Wśród owego strasznego wiru stał mąż nieruchomy, niby skamieniały z wielkiego bólu. On nie słyszał ni ryku dzikiego pogan, nie widział strasznego popłochu w szeregach chrześcijańskich. On widział tylko głowę swego ukochanego króla na proporcu tureckim.

— Święty męczennik — jęknął Grzegorz z Sanoka, wodząc oczami za tą ukochaną, szlachetną głową młodzieńca, która wzniesiona na proporcu, obnoszona wśród radosnych okrzyków, ukazywała się to tu, to tam. — Wszystko poświęcił dla sprawy świętej — myślał spowiednik królewski. — Nikczemnicy pchnęli cię w bój krwawy i opuścili w chwili najcięższej. Święty męczennik — szeptał Grzegorz z Sanoka z siniałemi i drżącemi ustami i przypomniawszy sobie tę samą głowę młodzieniaszka, ozdobioną koroną św. Szczepana, która już wtedy, niby w przeczuciu, wydawała mu się głową męczennika.

— Wydarli cię z ziemi rodzinnej, oderwali od serc kochających i pchnęli ku przepaści. Królu, ukochanie moje! zabłysłeś tu na ziemi niby jasny promień z nieba, ale cię chmura pogańska zakryła nim stanąłeś w całym blasku twej pięknej duszy. Nie masz ciebie jasny promieniu z nieba, przepadłeś przez pogan. Przez pogan! Czyż przez pogan tylko? Czyż nie zdradzili cię wszyscy, co z ogromnemi wojskami przyrzekli tobie posiłki? Posiłkowali pięknie. Jedni nie stawili się wcale, inni nikczemnicy, zamiast bronić przystępu, za dukata od głowy tureckiej przewieźli na twoją zgubę 40.000 pogan.

Grzegorz z Sanoka dumając, stał nieruchomie, pogrążony w niemej rozpacz. W rozpacz zapomniawszy ratować życia swego. Znalazł się przecież ktoś, co zatroszczył się o wielkiego męża. Hunyady wśród strasznego

kłęski, wśród popłochu i zamieszania, przypomniawszy sobie Grzegorza z Sanoka, przypomniawszy i kazał go ludziom swoim odszukać i ratować. Zginął król nasz i pan, myślał wódz węgierski, ratujmyż mędrca, który wysokością swych myśli króluje nad nami.

Ludzie Hunyadego odszukali Grzegorza z Sanoka i zabrali go ze sobą. Grzegorz z Sanoka był jak nieprzytomny, nie odpowiadał na zapytania. Nic nie wiedział nad to, że Władysław zginął. W uszach brzmiały mu słowa Jana z Tęczyna, wyrzeczone do Zbigniewa Oleśnickiego, w chwili, gdy król Władysław zdecydował się na przyjęcie korony węgierskiej: „Bogdajbyście kiedyś nie żałowali tego, żeście gałązkę Jagiellońskiego szczepu, najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali“.

Och! tę najdroższą gałązkę ścięła straszliwa kosa.

Podczas gdy po okrutnej śmierci Władysława, nazywanego Warneńczykiem, polscy i węgierscy wojownicy w pośpiechu opuszczali miejsce, gdzie przez śmierć królewską ponieśli klęskę — dzicz pogańska, wśród radosnych, dzikich okrzyków, wzniosła ogromny słup w miejscu, w którym zginął Władysław Warneńczyk.

Głowę króla bohatera przechowywali Turcy w mieście i zawieźli ją do Brussy, stolicy swojej w Azji. Tu obnosili ją po mieście, wśród radosnych okrzyków.

Rówieśnicy królewscy, Tarnowscy i Zawiszowie, którzy niegdyś dzielili zabawy z królem dzieckiem, dziś podzielili z nim trudy wojenne i śmierć, zginęli śmiercią bohaterską. Prócz Tarnowskich, padł na polach Warny kwiat polskiej młodzieży. Tu także zginął ten, co najgoręcej nastawał na wojnę z Turkami, kardynał Cesarini.

Upłynęły lata nim Grzegorz z Sanoka uspokoił się po stracie ukochanego Władysława Warneńczyka. Uspokojenie znalazł w pracy naukowej, w pracy około dobra dla drugih.

Nieszczęśliwa matka króla Władysława pamiętała o zasługach Grzegorza z Sanoka, za jej wpływem mąż uczony dostał arcybiskupstwo lwowskie, na którym dożył sędziwego wieku. Lecz, niestety, prace naukowe Grzegorza z Sanoka zaginęły w czasach ciągłych wojen i pożarów. Pamięć o nich zachowała się dzięki uczonemu Kalimachowi, który napisał żywot Grzegorza z Sanoka i w nim wspomina dzieła pisane przez znakomitego uczonego, który w dzieciństwie o głodzie i chłodzie zdobywał wiedzę.

MARAŚ I JAŚ SOBIESCY
W JAGIELLONSKIEJ SZKOLE

PRZEPOWIEDNIA

Nim zadzwoniono na ranną mszę w kościele św. Anny w Krakowie, już na progu domu Bożego zebrała się liczna gromadka ubogich. Modląc się głośno, spoglądali często w głąb ulicy, jak gdyby wyczekiwali na kogoś. Po chwili dziadek siwowłosa, zwracając się do towarzyszy, powiedział:

— O! idą już, idą!

— A juści prawda — potwierdziła jedna z babek, a wznosząc w górę ręce, jak do modlitwy, głosem serdecznego rozrzewnienia powiedziała:

— A niechże was Bóg ma w swojej opiece, serdeczne panięta!

— Chowajcie się na chwałę Bożą i pociechę rodziców! — wtórowała inna babka.

— A niech was święci Pańscy wspierają — szeptały usta żebracze.

Ci, dla których maluczcy u progu świątyni stali błogostawieństwa, nie słyszeli wyrazów płynących z wdzięcznych serc, nie widzieli jak na ich widok pogodniały pomarszczone twarze starców i staruszek.

Nie mogli widzieć, bo byli daleko od kościoła; szli ulicą, tworząc orszak pokaźny, zwracający na siebie uwagę.

Ludzie przechodzący mówili półgłosem do siebie:

— Wojewodzice ruscy ze swoim dworem idą na ranną mszę do św. Anny.

— Czeladka to Boża, dzień rozpoczyna od modlitwy i dobrych uczynków — mówił inny przechodzień.

Jaki taki stawał i spoglądał za idącymi.

Z samego przodu szedł człek w wieku poważnym, mając obok siebie Marasia i Jasia, wojewodzców Sobieskich. Maraś, starszy, szedł po prawej, Jaś, młodszy, po lewej stronie. Mąż poważny zastępował chłopcom w mieście opiekę rodzicielską.

Był to pan Orchowski, dworzanin od lat 30 wojewody Jakóba Sobieskiego, ojca pacholąt.

Pacholęta były niezwyklej urody, na twarzy starszego malowała się dziwna powaga, niezwykajna u chłopca dwunastoletniego, zaś rumiana twarzyczka młodszego jaśniała dobrocią serdeczną i pogodą.

Za wojewodzicami szło czterech wyrostków, którzy razem z nimi pobierali nauki, a w chwilach wolnych zabawiali się wesoło z paniętami. Trzej starsi, byli to synowie ubogiej szachty, czwarty był Francuz, dodany wojewodzicom do towarzystwa dlatego, że umiał po turecku. Chłopcy, bawiąc się z rówieśnikiem, uczyli się języka ówczesnych wrogów naszej ojczyzny.

Orszak zamykało dwóch dojrzałych mężów, pełniących przy wojewodzicach urząd domowych nauczycieli.

Orszak wszedł do kościoła, a zaledwie zajął miejsce przy jednym ołtarzu, ukazał się ksiądz ze mszą świętą. Na cały rok mieli wojewodzice zakupioną mszę, której też słuchali co rana. Wszyscy modlili się nabożnie. Najgorliwiej przecie modlił się Jaś, całej mszy wysłuchał na

klęczkach, a pogodna jego twarzyczka stawała się podczas modlitwy poważną nad wiek, albo malowała się na niej rzewność wielka.

Po mszy cały orszak w tym samym porządku wyszedł z kościoła.

U bramy zatrzymał się jeden z wyrostków, aby rozdać jałmużnę między ubogich, dla których dostarczał groszy p. Orchowski. Wyrostek, rozdawszy codzienną jałmużnę, połączył się z towarzyszami. Chłopcy poszli na naukę do Jagiellońskiego kolegjum*), zaś pan Orchowski z dwoma nauczycielami weszli do jednego z domów przy ulicy św. Anny.

Był to dom, raczej gospoda, tak nazywano podówczas mieszkanie wynajęte w cudzym domu, w którym zamieszkali Maraś i Jaś na czas nauki w Krakowie razem z licznym dworem.

Jakób i Teofila Sobiescy, rodzice poznanych przez nas pacholąt, wysyłając Marasia i Jasia do szkół, życzyli sobie, aby dwór ich dzieci był świetny i okazały, „godny stanu, w jakim Pan Bóg chciał mieć ich synów“.

Dwór wojewodzców, okazały na owe czasy, mieścił się w całym domu wynajętym przy ulicy św. Anny.

Dom dzielił się na dwie strony, w każdej znajdowało się po dwie izby. Jedną stronę domu urządzono dla wojewodzców, drugą dla ich dworu. Większą izbę ozdobiono obiciami, przywiezionymi z Żółkwi. Izba ta przeznaczona była do jadań i nauki, obok znajdowała się

*) Przy Jagiellońskim uniwersytecie były kursa przygotowawcze, w których młodzież sposobila się do słuchania wykładów uniwersyteckich. Na te kursa uczęszczali Sobiescy, nim rozpoczęli naukę uniwersytecką.

druga, w której wojewodzice sypiali razem z panem Orchowskim.

Gdy pan Orchowski powrócił z kościoła do domu, zjawił się zaraz kucharz, któremu pan Orchowski dysponował obiad, uporawszy się z kucharzem, zawołał kreden-cerza, aby mu na dzień cały wydać rozkazy.

Po godzinie jedenastej gwaro zrobiło się w gospo-dzie wojewodzców. Sześciu chłopaków powracało ze szkoły. Naprzód szli Maraś i Jaś, a za nimi postępowało czterech chłopców, niosąc za paniętami książki.

Studenci już na ulicy rozprawiali z wielkiem oży-wieniem, mianowicie też mały Francuzik poruszał się niespokojnie, byłby rad wyłamać się z pod obowiązują-cego porządku, w jakim mieli wracać ze szkoły do domu. Musiał jednak powstrzymać się, bo powstrzymywali się wszyscy, póki nie weszli do domu.

Pod dachem nie obowiązywał już tak ścisły rygor, to też chłopcy, przywitawszy pana Orchowskiego i nauczy-cieli, zaczęli gwarzyć między sobą wesoło. Francuzik wyrwawszy się naprzód, zwrócił się do pana Orchow-skiego, a wskazując Jasia, powiedział:

— Oto przyszedł król!

— Ot w głowie waści zawsze pusty koncept — od-rzekł pan Orchowski.

— To nie koncept Francuzika, — bronił chłopca któryś z wyrostków.

— Jeśli nie jego koncept, to czyż? — pytał Or-chowski.

— Ksiądz profesor Dąbrowski przepowiedział Jasiowi koronę — odpowiedział Maraś.

— Co! co! — zapytał zdumiony pan Orchowski, niepewny czy dobrze słyszał.

Poważny Maraś poweselał, spostrzegłszy, jakie silne wrażenie sprawiły słowa jego, to też uśmiechając się, po-wtórzył:

— Ksiądz profesor Dąbrowski przepowiedział Jasiowi koronę.

— Jakże to było? — pytał pan Orchowski, nie mo-gąc ukryć swego podziwu.

Obaj nauczyciele zbliżyli się także do Marasia, który jął opowiadać w następujący sposób:

— Gdyśmy ukończyli lekcje i wstali z ławek, aby odmówić pacierz, ksiądz profesor Dąbrowski, który miał z nami lekcję, stracił przypadkiem swój biret. Nasi kole-dzy w śmiech, ot puste głowy, śmiać się bowiem nie było zczego. Jaś podskoczył, podniósł biret, a poda-jąc go księdzu Dąbrowskiemu, ucałował rękę szanownego profesora. Ksiądz Dąbrowski nakreślił krzyż nad pochy-loną głową Jasia i uroczystym głosem powiedział: „Nim umrę, zobaczę koronę królewską na twojej głowie, Bóg bowiem nagradza dzieci szanujące starszych“. Na te słowa zamilkli nasi koledzy, wszyscy rozchodzili się pod wrażeniem słów proroczych. Niemałe one i na nas zro-biły wrażenie, to też spieszno nam było powracać do domu, spieszno, aby waszmościom ową przygodę opowie-dzieć.

Gdy Maraś skończył opowiadanie, w pokoju zaległa na chwilę cisza, którą przerwał Francuzik, poskoczywszy, pochylił się kornie do stóp Jasia i przemówił z udaną powagą:

— Najjaśniejszy królu!

— Daj pokój żartom — rzekł Jaś, usuwając się od pochylonego figlarza. — Ja korony królewskiej nie pragnę, a jeżeli któremu z nas korona sądzona, to chyba Marasiowi.

— Człowiek rozsądny nie powinien myśleć o rzeczach niemożliwych — odrzekł Maraś. To też nie warto zawracać sobie głowy koroną, lepiej dążyć do tego, co osiągnąć jest w naszej mocy. Ja też marzę we śnie i na jawie, bym kiedyś dorównał memu bohaterskiemu pradziadowi, Stanisławowi Żółkiewskiemu. Jeżeli Bóg użyczy mi zdrowia, to może marzenia moje się spełnią.

Po tych słowach zadumał się Maraś, a Jaś zawołał żywo:

— Nim z buławą hetmańską, lub koroną królewską zaczniemy służyć Rzeczypospolitej, chodźmy do ogrodu, bośmy się w szkole nasiedzieli i namozolili dosyć.

— Chodźmy! chodźmy! — zawołali wszyscy.

Niebawem wybiegli. Do opróżnionego pokoju dolatywały głosy wesoło bawiących się pacholąt lub nawoływanie pana Zdarowskiego, nauczyciela języków francuskiego i niemieckiego, który razem z chłopcami do ogrodu wyszedł.

Po odejściu chłopców, milczący dotąd pan Orchowski, odezwał się do pana Rożenkiewicza, drugiego nauczyciela wojewodzciców.

— A co waszmość myślisz o tej przepowiedni? Mnie ona klinem do głowy się wbiła.

— Fortuna kołem się toczy! — odpowiedział pan Rożenkiewicz.

— W naszej miłej Rzeczypospolitej mamy tron elekcyjny. A wszakże Sobiescy należą do pierwszych dostoj-

ników w koronie. To też nie byłaby to wielka osobliwość, gdyby Jaś, z pomiędzy pierwszych, stał się najpierwszy w koronie. Chłopcu jednakże tego mówić się nie godzi, niech nie wzrasta z myślą o koronie.

— A broń mnie panie Boże żebym o tem myślał! — bronił się pan Orchowski. — Jakkolwiek Jaś jest serdecznie dobre chłopię, że nic go chyba zepsuć nie potrafi, przecież blask korony tak jest potężny, że mógłby oślepić starego, a nie dopiero dzieciaka. Chłopcu zatem o koronie mówić nie będziemy, ale gdy o tem pomiędzy sobą pomówimy, to panięciu naszemu nie zaszkodzi.

— Owszem, owszem pomóc może — rzekł pan Rożenkiewicz. — Trzeba bowiem chłopcem tak pokierować, aby stał się godnym przepowiedzianego dostojęństwa.

— Czy z naszego Jasia będzie król? Bóg to raczy wiedzieć; ale widzi mi się, że wyrośnie z niego człowiek niepospolity, bo to i zacne i myślące i mądre. Jak zacznie uczenie prawić, to zdawałoby się, że mędrzec jaki. Nie ujmuję ja Marasiowi, broń mnie Boże! mądry jest i szlachetny, ale już nie taki mileński jak Jaś. Pamięta on o swoim pierwszeństwie i otacza się powagą, której od niego żądają rodzice.

— Wszakże to gdym z Żółkwi wyjeżdżał, nakazał mi pan wojewoda, abym dokładał usilności, iżby Jaś Marasia szanował, a Maraś Jasia miłował. Jaś kochanie i miłuje i szanuje Marasia. A uważałeś waszność, że on siebie ma za mniej godnego od Marasia, bo gdy mowa była o koronie, powiedział: „Jeżeli komu korona sądzona, to chyba nie mnie, tylko Marasiowi“. Jaś mój, to uosobiona pokora. Rodzice pierwotnego Marasia uważają za przyszłą głowę rodu, na niego ojciec ma ciągle zwróconą

baczną uwagę. Matka miłuje go więcej niż Jasia. Tymczasem Jasiowi właśnie znaczy się los niezwykajny. Ot np. dzisiejsza przepowiednia, a nie jest ona jedynym znakiem wróżebnym. Byłem ja w zamku oleskim wtedy, gdy Jaś na świat przyszedł. Szalała podówczas burza taka, że wyrwała z korzeniami stare drzewa, a huk piorunów ogłuszył kilku dworzan w zamku oleskim. Wtedy zaraz prorokowano, że chłopca nowonarodzonego czekają w przyszłości niezwykle losy, a i drugie zdarzenie podczas chrztu Jasia zdawało się potwierdzać wróżbę. Oto w kaplicy oleskiej, po chrzcie świętym, położono maleństwo uwinęte w białe rąbki na ogromnym marmurowym stole, który w tejże chwili pękł na dwoje, jak gdyby legły na nim cetnary. Oj! już ja powiadam, że nasz Jaś zaważy kiedyś wiele w losach naszej Rzeczypospolitej, a nawet sława jego, widzi mi się, przejdzie daleko poza granice naszej ojczyzny.

Dla pana Orchowskiego rozmowa o Jasiu była przedmiotem niewyczerpanym, to też byłby gawędził dalej, gdyby nie to, że ozwał się dzwon u św. Anny, głosząc południe.

Na głos dzwonu pan Orchowski, przeżegnawszy się, odmawiał półgłosem Anioł pański.

W tejże chwili służba poczęła do stołu nakrywać. Nim podano wagę nadszedł ks. wikary z kościoła św. Anny. Ten sam, którego mszy słuchali wojewodzice rano, a który razem z nimi codzień zasiadał do obiadu i wieczerzy. Zawołano chłopców. Ci powitawszy duchownego, odmówili za nim krótką modlitwę i usiedli razem ze starszymi do stołu. Obiad składał się z kilku potraw smacznych i pożywnych. Pan wojewoda bowiem zalecił, aby wikt był „skromny, ale nie ladajaki“.

Przy obiedzie zabawiano się poważną rozmową.

Wkrótce po obiedzie ksiądz odszedł, a wojewodzice zasiedli do nauki, najpierw z panem Rozenkiewiczem, aby z jego pomocą przygotować się do lekcyj szkolnych; potem zaś z panem Zdarowskim przerobić język francuski i niemiecki.

Nad nauką zeszedł czas aż do wieczerzy samej. Wkrótce po wieczerzy ksiądz ukląkł do modlitwy wieczornej przed ukrzyżowanym Chrystusem, a za księdzem wojewodzice z całym swoim dworem. We wspólnej modlitwie brali udział wszyscy bez wyjątku. Nie brakowało tu nawet nikogo ze służby.

Ksiądz modlił się głośno, reszta po cichu.

Modlitwa wieczorna zakończyła się litanją, którą wszyscy głośno odmówili.

Po modlitwie ksiądz odszedł do domu, a domownicy udali się na spoczynek. Większa część odeszła na drugą stronę. Pozostał tylko pan Orchowski z wojewodzącami i Francuzem, na którego dziś wypadła kolej spania w pierwszej izbie. Co noc bowiem, pokolei, jeden z wyrostków sypiał w drugiej izbie obok wojewodzców. Nim pan Orchowski spać się położył, wszedł do pokoju stróż nocny z kluczem od bramy, klucz bowiem przez noc leżał w schowaniu u pana Orchowskiego.

Jasiowi i Francuzowi widocznie spać się nie chciało, bo zamiast udać się na spoczynek, płatali rozmaite figle, nie bronił im zrazu pan Orchowski, bo przy zabawie rozmawiali po turecku, gdy jednakże figle trwały zbyt długo, zawołał surowo:

— Dosyć już tego pogańskiego szwargotu! Idźcie spać!

Francuzik miał jeszcze ochotę broić, jednakże Jaś posłuszny natychmiast figlów zaprzestał i przeżegnawszy się, legł na posłaniu. Pan Orchowski nie potrzebował nigdy używać środków surowych wobec wojewodzców, byli bowiem posłuszni. Francuzik jednakże nie zawsze słuchał, to też wobec niego stawał się pan Orchowski surowym, z obawy, aby się „nie rozłotrował“.

DZIEŃ ŚWIĄTECZNY

W dniu świąteczne lub rekreacyjne, wojewodzice przepędzali czas w odmienny sposób.

Nazajutrz przypadała właśnie niedziela.

Maraś i Jaś przyodziali się skromnie, a i dwór ich wystąpił świątecznie. Po śniadaniu orszak cały w znanym nam już porządku udał się do kościoła na Piasek*), aby tu pomodlić się przed cudownym obrazem Najświętszej Panny. Pan wojewoda zalecił bowiem, aby jego synowie bywali w święta kolejno w rozmaitych kościołach krakowskich. Mianowicie kazał im modlić się u grobu św. Jacka lub św. Stanisława, kazał także uczęszczać na Skalkę, gdzie św. Stanisław zginął śmiercią męczeńską.

Dziś udano się do pobliskiego kościoła na Piasku, aby po nabożeństwie jak najprędzej powrócić do domu. Spieszono się z powrotem dlatego, że wojewodzice spodziewali się gości na obiad, trzeba było pośpieszyć, aby przybyłych powitać w swoich progach. W dniu świąteczne przyjmowano zawsze gości także z rozkazu Jakóba Sobieskiego.

*) Tak nazywa się jedno przedmieście w Krakowie.

Najczęstszymi gośćmi wojewodzców bywali profesorowie Jagiellońskiej szkoły.

Dziś oczekiwano dwóch szanownych gości: pierwszym był ksiądz Opatowicz, dawny nauczyciel pana wojewody, dziś doradca jego synów.

Pan wojewoda, przypominając się pamięci księdza Opatowicza, posłał mu w upominku srebrną pozłocistą konewkę.

Drugim gościem był pan podstarości krakowski Jazyna, dawny przyjaciel pana wojewody. Jakób Sobieski, posyłając synów do Krakowa na naukę, polecił pacholęta swoje łasce dawnych przyjaciół, którzy też często nawiedzali lub przyjmowali u siebie wojewodzców.

Dziś zatem, jako w dzień świąteczny, dwór wojewodzców powiększony szanownymi gośćmi, zasiadł do obiadu. Przy obiedzie toczyła się poważna rozmowa o sprawach kraju, o miłościwym królu, Władysławie IV i jego małżonce, Cecylji Renacie. Panięta, słuchając poważnej rozmowy, zaznajamiali się ze sprawami kraju i poznawali jego potrzeby.

W dniu powszednie chłopcy mieszały się do rozmowy starszych, dziś z uszanowaniem słuchali tylko rozmowy i jedynie odpowiadali na zapytania.

Wkrótce po obiedzie ksiądz Opatowicz odszedł, pan podstarości pozostał i razem ze wszystkimi wyszedł do ogrodu.

Było tu milej niż pod dachem. Pod rozłożystą jabłonią na drewnianej ławeczce, przy prostym stole, zasiadł pan podstarości razem z panem Orchowskim i Rożenkwiczem, pan Zdarowski zaś z wojewodzicami zabawiał się w strzelanie z łuku. Była to ulubiona zabawa chłopców.

Zaledwie towarzystwo zabawiło się przez chwilę w ogrodzie, aliści zjawił się kredencierz z tacą, na której przyniósł dzban wina i kubki.

Postawiwszy tace na stole pod jabłonią, zapowiedział Marasiowi i Jasiowi nowych gości. Gośćmi byli: wojewodzie sieradzki i chorąży Sieniawski, koledzy naszych pacholąt. Maraś i Jaś wyszli naprzeciw nich aż do bramy i z powagą wprowadzili ich do ogrodu.

Po chwili nadeszło jeszcze kilku kolegów szkolnych, to też w miarę zwiększającego się grona, zwiększała się i wesołość pacholąt, wesołość wybuchająca nieustannie srebrzystym śmiechem i gwarem. Celny strzał wywoływał objawy wesołości, zręcznego strzelca obsypywano oklaskami i wiewatami.

Śród głosów chłopięcych słyszeć było komendę pana Zdarowskiego, który, aczkolwiek nie dziecko, bawił się równie wesoło, jak chłopcy.

Któryś z chłopców strzelił jakoś niezręcznie, bo jego strzała pomknęła w przeciwną stronę, nieopodal siedzących pod jabłonią. Jaś równie szybko jak strzała podążył za nią; powracającego ze strzałą w ręce zagadnął pan Jarzyna:

— Ależ Jaś szczęśliwy, bo ma miłych gości!

— A lubisz strzelać z łuku?

— O lubię bardzo — odpowiedział zdyszany chłopiec.

— Milsze to, niż ślęczenie nad książką — mówi z uśmiechem, spoglądając w oczy chłopcu pan Jarzyna.

— Zabawa jest miłą, lecz nauka pożyteczną — odpowiedział z powagą chłopiec.

— I Salomon nie mógłby powiedzieć mądrzej — odrzekł pan Jarzyna, gładząc przy tem chłopca po rozumnej głowie.

Jaś, „chodząca pokora“, jak nazywał go pan Orchow-ski, nie przyjął słów pochlebnych na swój rachunek, gdyż odpowiedział:

— Rodzic mój zawsze to nam powtarza.

— Święte słowa! Złote słowa! Szczęśliwe dziecko, mające takiego rodzica — prawił, kiwając głową, pan Jarzyna.

— Więc chcesz, mój Jasiu — mówił znowu po chwili — polerować rozum nauką i zaprawiać się podczas zabawy do boju?

— O! chciałbym być dzielnym wojownikiem! — zawołał z ożywieniem chłopiec.

— O! już to w każdym pacholęciu polskim jest ochota do wojaczki.

— Rozlew krwi serce krwawi — mówiło pacholę — ale trzeba o tem zapomnieć, gdy idzie o dobro Rzeczypospolitej, gdy idzie o obronę własnego pokrzywdzonego rodu.

— A jakichże to krzywd na wrogach chcesz dochodzić? — pytał pan Jarzyna, słuchający z wzrastającą przyjemnością słów pacholęcia.

— Jakich krzywd? — zawołał chłopiec z jaskrawym wzrokiem. — Śmierci pradziada, Stanisława Żółkiewskiego, dziada, Jana Żółkiewskiego i wuja, Stanisława Daniłowicza. Pradziad mój, hetman Stanisław Żółkiewski, zginął śmiercią bohatera na polach Cecory. Syn jego, a brat rodzony babki mojej z Żółkiewskich Daniłowiczowej, Jan Żółkiewski, umarł z ran otrzymanych także na polach Cecory. Po bezpotomnej przedwczesnej śmierci Jana Żółkiewskiego Żółkiew odziedziczyła babka moja Daniłowiczowa z Oleska. Matka zaś moja, z Daniłowiczów Sobieska, miała jedyne go brata Stanisława, który chcąc

pomścić obu Żółkiewskich, staczał nieustanne boje już to z Turkami, już to z hordami tatarskimi.

— Szcześnie w boju uczyniło go zuchwałym, to też uderzył raz na przeważne siły Tatarów, które pokonały dotąd niezwyciężonego bohatera. Wuja mego nie zabiło w boju, lecz wzięto do niewoli i zamordowano w sposób okrutny.

— Po śmierci mego wuja matka moja stała się dziewczką Żółkwi i Oleska. Z rodzinnego Złoczowa przeprowadzili się moi rodzice do Żółkwi. Bo Żółkiew jest drogą pamiątką po bohaterskim pradziadzie Stanisławie Żółkiewskim. On założył Żółkiew, zbudował tam zamek i kościół. W kościele żółkiewskim spoczywają zwłoki obu Żółkiewskich i Stanisława Daniłowicza.

Chłopiec opowiadał to wszystko jednym tchem, podczas opowiadania, policzki jego okrywały się rumieńcem, a w oczach błyszczały łzy. Pan podstarości, słuchając smutnej historii spoważniał i ze współczuciem patrzył na dzieciaka, czującego tak żywo klęski swego rodu.

Gdy Jaś wzruszony swoim opowiadaniem umilkł, pan Jarzyna podziwiał pamięć pacholęcia, znającego dokładnie historję swego rodu, pisaną krwią mężów, a łzami niewiast.

— Słyszałem ją tyle razy z ust matki — odpowiedział chłopiec. — Nim wyjechaliśmy do Krakowa, matka prowadziła nas często do grobów w żółkiewskim kościele i tam opowiadała smutne dzieje.

— Matka powiada, że z odziedziczonymi po przodkach grodami odziedziczyliśmy obowiązek służenia krwią Rzeczypospolitej, odziedziczyliśmy także obowiązek pomśzczenia śmierci pradziada, dziada i wuja.

— Rodzic nasz każe nam pilnie przykładać się do nauki, bo powiada, że oręż kierowany rozumem, łatwiej pokona wroga, każe nam uczyć się nawet po turecku, gdyż mowa ta może nam się przyda, gdy staniemy do walki z Turczyńcem.

Nauki Teofili Sobieskiej, pochodzącej z rodu bohaterów, głęboko wryły się w serca jej synów, Marka i Jana Sobieskich. Jednakże tę mężną niewiastę, oplakującą dziada, wuja i brata, poległych z rąk dziczy tureckiej lub tatarskiej, czekał w niedalekiej przyszłości cios straszliwy; przyszło jej jeszcze opłakać najdroższą sercu istotę, pierworodnego Marka, który jako młodzieniec 23-letni poległ w boju z kozakami pod Batowem. Jana, który zwykle towarzyszył bratu w wyprawach wojennych, nie było pod Batowem, gdzie byłby zginął niechybnie, bo zginęli tam wszyscy, którzy wzięli udział w tej krwawej walce. Zginęło tam 9.000 polskiego rycerstwa.

Ciężka choroba przykuła naówczas Jana Sobieskiego do łóżka i uratowała młodzieńca, który później, służąc ojczyźnie i chrześcijaństwu, pomścił także śmierć swoich naddziadów.

Świetne zwycięstwa, najpierw hetmana, później króla Jana Sobieskiego, znane są z historii, to też ich na tem miejscu powtarzać nie będę. Powiem wam jeszcze, że ksiądz Dąbrowski, tak jak przepowiedział, ujrzał swego ucznia w koronie, którą ofiarował naród bohaterowi, służącemu krajowi krwią i mieniem.

Nim król Jan Sobieski wyruszył na pamiętną wyprawę wiedeńską, odbył potężną pielgrzymkę po wszystkich kościołach krakowskich. Wtedy także odwiedził chorego księdza Dąbrowskiego.

Ks. Dąbrowski przepowiedział królowi zwycięstwo, dodał jednakże: Ja już dnia tego nie dożyję. Przepowiednia ta sprawdziła się istotnie. Ksiądz Dąbrowski umarł bowiem w dzień odniesionego przez króla Jana zwycięstwa nad Turkami pod Wiedniem.

UROCZYSTOŚCI WIELKANOCNE W DAWNEJ POLSCE

POBOŻNE DIALOGI

Jeden z naszych autorów, K. Wł. Wójcicki, pisze: „Żadne ze świąt w ciągu roku z taką uroczystością i staraniem nie było obchodzone, jak Wielkanoc w dawnej Polsce: wraz z kościołem wszystkie stany brały udział w tym obchodzie“. Przypatrzmy się tym uroczystościom.

Nasz starożytny gród, Kraków, świadek tylu radosnych, wspaniałych, albo smutnych i ciężkich wydarzeń, pamięta także uroczystości kościelne Wielkotygodniowe, zwane w dawnych wiekach: pobożnemi dialogami. — „*Dialogi*“ odpowiadały przedstawieniom „*Jasełek*“ w czasie Bożego Narodzenia. Do najwspanialszych, o jakich przechowała się pamięć aż do naszych czasów, należał „*Dialog*“, zwany Dominikańskim, który odbył się roku 1533. Dialog ów rozpoczął się w kwietnią niedzielę, przedstawieniem wjazdu Zbawiciela, otoczonego tłumem pobożnych, niosących palmy w rękach i rzucających pod stopy tego, co przedstawiał Chrystusa, kwiaty i gałązki, które już porozwijała wiosna.

W obszernym, umyślnie zbudowanym budynku, zebrana nabożna ludność przypatrywała się „*Dialogom*“.

Prezd oczami widzów przesuwala się postać Zbawiciela, wśród rzeszy niezliczonej żołnierzy, uczniów i prześladowców.

Widziano Chrystusa, nauczającego w świątyni, albo wśród apostołów, podczas Wieczerzy Pańskiej — to znów modlącego się na górze Oliwnej, pojmanego, znieważonego, biczowanego, upadającego pod krzyżem, konającego wśród dwóch łotrów, wreszcie złożonego w grobie wykutym w skale! Dialog Dominikański, przedstawiający życie Zbawiciela, trwał cztery dni, od niedzieli palmowej aż do Wielkiej środy, a składał się ze stu przeszło scen.

Jakkolwiek Dialogi pobożne, urządzane w Krakowie w kościołach lub przy kościołach, ściągały tłumy pobożnych, jednak nie mógł na nie patrzeć kraj cały. A ponieważ zamiętanie w tego rodzaju obchodach miała ludność całego kraju, aby więc nabożnym życzeniom dogodzić, odprawiano Dialogi i po innych miastach, a nawet wioskach.

Podczas gdy ludność wioskowa zajęta była zwykłymi przygotowaniami, poprzedzającymi święta Wielkanocne, jawił się we wsi poślaniec, zapowiadający przybycie żaków, mających w wiosce urządzić Pobożny Dialog. Żakami nazywano młodzież szkolną. W owych czasach trafiali się nierzadko żacy pod wąsem; ci właśnie zajmowali się urządzeniem Dialogów po wsiach.

Gdy we wsi zjawiał się poślaniec, zapowiadający przybycie pożądanych gości, wieś radosna rozchodziła się w jednym okamgnieniu po wsi całej.

Ludność ożywała się niezwykłym ruchem. Niewiasty przygotowywały posłanie i pożywienie dla zapowiedzianych gości, parobcy i gospodarze zaprzęgali konie do wozów

i jechali ochoczo do lasu po choinę, mającą służyć do ozdoby miejsca, w którym miał być przedstawiony Dialog. Nawet dzieci nie pozostawały bezczynne: klaskając w dłonie i płasząc radośnie, biegły na pola, łąki, do gaju, zbierać wiosenne kwiaty, potrzebne do uświetnienia Dialogów.

Ksiądz proboszcz, przybrany w szaty kościelne, w towarzystwie organisty i kościelnego, niosącego wodę święconą i kropidło, wychodził na granice wioski na spotkanie przybywających.

Z księdzem łączył się pan ze dworu z domownikami; za tą gromadką, złożoną z dostojników wioskowych, szedł kto chciał — a chciał każdy, kto tylko miał czas i zdrowe nogi. Pokazna więc drużyna wysypywała się ze wsi na gościniec. Oczy wszystkich biegły wdał, a kto miał wzrok najlepszy i ujrzał pierwszy z zapowiedzianych gości, oznajmiał o nich radosnym wykrzykiem:

— Już ich widać!

Setki starych i młodych oczu zwracało się w tę stronę i wnet też spostrzegano z radością nadciągających gości. Jeżeli drużyna żaków zamożniejszą była, jechała na kilku wozach, jeżeli uboższa, to na wozie wieziono tylko przybory do Dialogów, a żacy postępowali przy nich pieszo.

Zamożnych, czy ubogich, przyjmowała ludność wioskowa szczerem sercem. Ksiądz proboszcz witał drużynę modlitwą i święconą wodą, wszyscy radosnymi okrzykami.

Po przywitaniu zabierano między siebie upragnionych gości; jedni szli na plebanję, drudzy do dworu, inni rozpraszali się po chatach wiejskich.

Posiliwszy się i odpocząwszy troszeczkę, zabierali się żacy do dzieła, przygotowując przedewszystkiem plac do przedstawienia dialogu; pomagali im parobcy i cała

wiejska dzieciarnia. Możecie sobie wyobrazić, jak to tam było gwaro, wesoło!

Gdy wszystko już było gotowe, rozpoczynał się Dialog Pobożny, który z prostotą przypominał wzruszonym słuchaczom religijne pamiątki tych dni, do których obchodu gotowali się wszyscy surowym bardzo postem i przystępowaniem do Sakramentów świętych. Nie potrzebuję wam mówić, że Dialogowi przypatrywali się wszyscy mieszkańcy wioski.

Zwykle rozpoczynał się Dialog od przemowy, którą wygłaszał jeden z młodszych żaków; oto krótki wyjątek z takiej przemowy:

„Z podania ojców starych i nauki,
„Będziem wyprawiać świątobliwe sztuki!
„Spokojnie, proszę tylko, wysłuchajcie
„I zdrowem okiem na ten Akt patrzajcie,
„Będzie muzyczka i piękne śpiewanie —
„A ty dopomóż racz, Wszechmocny Panie!”

Żacy rozpoczynali „świętobliwe sztuki“, wezwawszy pomocy Boskiej, czyż więc mogły źle wypaść? Bóg pomagał i szło wszystko składnie i ślicznie przy graniu i śpiewaniu.

Zebrana gromadka słuchała w nabożnym nastroju ducha i w uroczystej ciszy, rozpamiętując przesuwające się przed jej oczyma sceny Męki Pańskiej.

Zasłuchani i zapatrzeni byliby radzi słuchali i patrzyli aż do dnia sądnego, jednak żacy musieli kończyć „świętobliwe sztuki“, musieli pospiesznie składać swoje przybory, bo wszakże każda wioska chciała u siebie zobaczyć Dialogi. Więc chociaż się żacy spieszyli, to nie zdążyli objechać wszędzie w Wielkim Tygodniu i przed-

stawienia Dialogów odbywały się w dalszym ciągu podczas świąt, a nawet jeszcze przez parę tygodni po świętach.

Gdy się zdarzyło, że do wioski jakiej nie przyjechali żacy, wtedy ksiądz proboszcz z pomocą organisty sam urządzał Dialogi. Żaków zastępowali wtedy młodzi parobcy; napatrzyli się już nieraz Dialogom, to też je nieźle potrafili odegrać, ku wielkiemu zadowoleniu mieszkańców wioski.

Pobożne Dialogi utrzymały się zaledwie do końca XVII wieku. Duchowni sami zakazali Dialogów. Ci bowiem, którzy je przedstawiali, zaczęli nieraz dodawać, dla rozśmieszenia i zabawienia słuchaczy, rozmaite sceny, które nie miały związku z męką Chrystusa. Sceny bywały często rubaszne, a nierzadko gburowate i uwłaczały powadze Dialogów pobożnych.

Tak np. w czasie podobnego obchodu w Wielki tydzień w Żółtkwi, za czasów królewicza Konstantego Sobieskiego, uczestnicy takiej procesji popychali, szarpali i nawet podeptali dotkliwie mieszczanina, przedstawiającego Judasza. Nie można się zatem dziwić, że duchowieństwo zakazało obchodzenia Dialogów, gdy zamiast szerzyć nabożność, zaczęły dawać zgorszenie.

Przypatrzmy się uroczystościom Wielkanocnym, obchodzonym w Żółtkwi, na zamku królewicza Konstantego, syna króla Jana Sobieskiego. Po śmierci Jana III nie obrano na tron Polski żadnego z synów zaślubzonego króla, lecz cudzoziemca, Augusta Sasa. Synowie Sobieskiego tułali się po świecie, aż wreszcie najmłodszy, Konstanty, zamieszkał w rodzinnej Żółtkwi. Prowadził tu życie wystawne, jak świadczą wspaniałe uroczystości Wielkanocne, opisane przez Zofję Leszczyńską, która bawiła na dworze żony królewicza.

Na Wielkanoc roku 1725 zjechało do Żółkwi mnóstwo znakomitych i rzadkich gości, między innymi brat starszy królewicza, Jakób, nuncjusz papieski, kilku biskupów i pierwsi dostojnicy w kraju.

W Wielki Czwartek odbyło w kaplicy zamkowej poważne i uroczyste nabożeństwo, podczas którego po raz ostatni odezwały się dzwony, mające już zamilknąć do Wielkiej Niedzieli. Na nabożeństwie znajdowali się wszyscy dostojni goście i cały liczny dwór królewicza.

Po nabożeństwie przeszli wszyscy do obszernej, a wspaniałej sali, w której znajdowało się 12-tu starców-żebaków, przyodzianych ubogo ale chędogo: czekali oni na niezwykłą uroczystość obmywania nóg. Zwykle królewicz, naśladując Chrystusa, wykonywał osobiście tę pobożną posługę — dziś ustąpił swego przywileju dostojnemu gościowi, nuncjuszowi papieskiemu.

Po umyciu nóg, przeprowadzono starców do sali zwanej *złotą*, była bowiem bogato złocona; w tej sali zastawiono dla biedaków wspaniałą, choć postną, ucztę.

Przy uczcie usługiwała starcom sama królewiczowa ze swemi damami dworskimi, a wszystkie panie były do tej posługi bardzo wspaniale ubrane. Biednym starszkom smakowała słodka migdałowa zupa i potrawy z ryb, przyprawione w wykwintny sposób. Po uczcie, każdy ubogi miał prawo zabrać swoje nakrycie, w dodatku dostawał nowe ubranie i woreczek napęczniony 33 tynfami na pamiątkę, że tyleż lat miał Zbawiciel umierając na krzyżu. Obdarowani starcy, z błogosławieństwem na ustach, opuszczali zamek Żółkiewski.

Nazajutrz, t. j. w Wielki Piątek, wszyscy mieszkańcy zamku przebudzeni zostali ogłuszającym grzechotaniem

i piskiem przeraźliwym, którym rozlegał się dziedziniec zamkowy. To chłopcy miejscy, podług starego zwyczaju, przyszli w ten sposób oznajmić początek dnia żałoby, poświęconego pamiętce Męki Pańskiej. Możecie sobie wyobrazić, że chłopcy korzystając z pozwolenia grzechotania i gwizdania, nie żalowali rąk ani gardła; ogłuszająca wrzawa rozdzierała nielitościwie uszy mieszkańców miasteczka i zamku. Przebudzeni, przyodziewali pośpiesznie żałobne szaty i szli na nabożeństwo do kaplicy zamkowej. Po nabożeństwie oboje królewiczowstwo poprowadzili swych gości na balkon zamkowy, domownicy rzucili się do okien, wszyscy bowiem chcieli przypatrzeć się pamiątkowej uroczystości, będącej ostatnim zabytkiem „pobożnych Dialogów“. Obchód ten urządzali synowie mieszczan Żółkiewskich.

Wkrótce ujrzano liczną rzeszę ludzi śpiewających Gorzkie Żale; śpiewaniu wtórowały głośnie grzechotki. Rzesza, okrążywszy zamek dokoła, zbliżyła się w stronę zamkowego balkonu. I wtedy można było rozpoznać na czele pochodu postać odzianą płaszczem purpurowym, w cierniowej koronie i upadającą pod ciężarem krzyża — a wyobrażającą Chrystusa, w otoczeniu rzymskich żołnierzy. Tuż za Chrystusem szedł Piłat, zawstydzony i żałujący; dalej postępował Judasz, niosąc w rękach kieskę, w której było 30 srebrników. Owego to Judasza lud postępujący za nim poturbował wówczas, nawet wcale mocno: gdy bowiem zabrzęczał swoją kieską, a to przypomniato zgromadzonemu, że Judasz za pieniądze sprzedał krew Chrystusa, pełna żarliwości prostota otaczającego tłumu dała folgę swemu oburzeniu, nie umiając zachować właściwej miary. Na przedstawiciela zdrajcy posypały się

szlurchańce, nawet bardzo dotkliwe, szarpano go za włosy, połączano, wreszcie przewrócono go na ziemię i podeptano nogami. Małą osłodą za sińce były dla mieszczanina, przedstawiającego Judasza, nowe i świecące tynfy srebrne, które królewicz kazał mu wypłacić ze swej kasy w zamian za owe, którymi pobrzękiwał w pochodzie, a które były tylko szklane.

Po przejściu tej procesji, całe towarzystwo udało się do komnat zamkowych, gdzie u wstępu czekała z tacą w rękach, ubrana w bieli, młoda panienka i prosiła o jałmużnę dla ubogich, wstydzących się żebrać.

Jałmużna sypała się ze wszystkich stron tak szczerze, że nie uniosłaby jej nadobna kwestarka, gdyby nie przyszli jej w pomoc stojący za nią paziowie, którzy trzymali w pogotowiu aksamitne worki. Worki te napełniły się niebawem złotem i srebrem:

Sami królewicze, Konstanty i Jakób, dali po 200 dukatów; za przykładem tej szczodrości poszli wszyscy obecni. To też ubodzy w Żółkwi, dzięki kweście Wielkopiątkowej na zamku, nie zaznali w tym roku niedostatku i w modlitwie codziennej ślali dziękczynienia i prośby za bogaczy, którzy pamiętali, że obok nich są nędzarze.

Wieczorem dnia tego mieszkańcy zamku udali się do miasta dla odwiedzenia grobu Chrystusa w katedrze — wszyscy dostojnicy odbyli tę piełgrzymkę pieszo, tylko królewiczową niesiono w lektyce. Lektyka wybita była aksamitem ponsowym, a niosło ją czterech hajduków po węgiersku ubranych. Po obu stronach lektyki szli ówczesnym zwyczajem „*laufry*“; byli oni niebiesko ubrani, a w rękach mieli srebrne laski. Całe towarzystwo powró-

ciło do zamku dopiero późnym wieczorem; przy grobach bowiem śpiewano gorzkie żale, co długo potrwało.

Wielka Sobota przeszła także na uroczystościach kościelnych. Przez obydwie te dni zebrani goście nie zasiadali razem do wspólnego stołu; każdy spożywał tylko w swoim pokoju postny, skromny posiłek, a niektórzy wcale nic przez obydwie dni nie jedli. W sobotę przed Rezurekcją dworzanie zamkowi urządzili sobie figlarną zabawę.

Oto przy odgłosie wesołej muzyki i śpiewu wyniesiono na dużej srebrnej tacy brzydkiego, suchego śledzia i powieszono go na gałęzi jednej z lip, stojących przed zamkiem. Wieszaniu towarzyszyły śmieszne przemowy do śledzia i głośne wiwaty.

Obchód ten oznaczał radość z tego, że kończył się nareszcie długi post, który już wszystkim dokuczył. Zatem, kiedy panowanie śledzia już skończone, a więc precz z nim, na gałąź!

Po tej wesołej igraszce wnet zbliżała się znowu poważna część uroczystości wielkanocnych: Ledwo zamkowe zegary uderzyły północ, wszystkie dzwony w mieście odezwały się, oznajmiając głośno radość ze Zmartwychwstania Pańskiego. Dzwonom zawtórowały działa z fortecznych wałów, a wojsko nadworne i saskie uszykowało się na cmentarzu przed farami. Dostojni gospodarze i goście Żółkiewskiego zamku, wszyscy w strojach jasnych, godowych, udali się do fary, gdzie Nuncjusz zaśpiewał „Alleluja!“

Podczas procesji obaj królewicze sami prowadzili celebranta, a dygnitarze koronni i senatorowie nieśli nad nim baldachim.

Po nabożeństwie wszyscy wrócili do zamku, gdzie arcybiskup lwowski poświęcił wspaniałe i obfite Święcone. Wtedy królewiczowa wzięła z rąk nadwornego marszałka półmisek napełniony krajanem jajkiem i począwszy od królewicza, a skończywszy na kuchennym i kredensowym pachotku, dzieliła się niem ze wszystkimi. Nie zostali także pominięci starsi mieszczenie z Żółkwi, przełożeni cechów rzemieślniczych, sottysi i przedniejsi gospodarze, oraz oficjaliści z dóbr rodziny Sobieskich — jednym słowem wszyscy, których w tę uroczystą chwilę zgromadził gościnny dach książęcego zamku.

Możecie wyobrazić sobie, że obowiązek gospodyni w dniu Wielkanocnym na dworze w Żółkwi nie był łatwy! Spełniała go jednak królewiczowa z uprzejmą i pogodną gościnnością: każdego przy święconem jajku obdarowała serdecznem, a trafnie dobranem słowem i uśmiechem — pomimo, że była bardzo zmęczona surowym postem: ostatnie dwa dni bowiem „była — jak się to wówczas mówiło — z *suchotami*“, t. j. nie jadła nic zupełnie przez cały Wielki piątek i sobotę. To też po obdzieleniu się jajkiem, królewiczowa i królewicze wyszli odpocząć do swoich pokoi, goście zaś po ich odejściu zabawiali się wesoło.

Wszyscy starzy i młodzi, czy to wojewoda, czy szlachcic na zagrodzie, radzi byli po długim poście spotkać się z mięsiwem. Nie wyszło godziny, znikły ogromne sarnie i jelenie pieczenie, szynki z dzika i żubra, stopy szafranowych kołaczy, w dodatku kilka baryłek wina.

Uroczystości wielkanocne w Żółkwi zakończyły się balem, który odbył się w drugie święto po niesporach.

Wielka sala, „hetmańską“ zwana, obok niej sala złota i cztery inne najobszerniejsze w zamku, zdobne w wielkie lustra weneckie, zajaśniały tysiącami świec woskowych.

Zabawa rozpoczęła się koncertem, po koncercie odezwały się trąby i basy, skoczna muzyka nęciła do tańca.

Królewicz Jakób poważnie podał bratowej rękę, za nim puścił się królewicz Konstanty z panią krakowską, pan hetman Rzewuski z panią Poćiejową, książę wojewoda krakowski z księżną Radziwiłłową, poseł cesarski z panią wojewodziną Potocką, za nimi cały szereg panów i pań w wytwornych strojach, błyszczących od złota i diamentów.

Pięknyż bo też nasz polonez! niemasz drugiego tańca równającego się mu w powadze i godności. Jakże on wyglądał cudnie na wspaniałych Żółkiewskiego zamku komnatach! Sto par sunęło strumieniem po gładkiej i lśniącej posadzce, płynąc wężykowato, to w prawo to w lewo, zlekka, poważnie, a zgodnie, aż się dusza raduje.

Po poważnym polonezie tańczono inne rańniejsze tańce, w których jednak starsi udziału nie brali.

Miedzy gośćmi znajdował się nielubiany generał saski; gdy, podochociwszy sobie, zdrzemał się w jednej z bocznych komnat, pan Czechowski, najposotniejszy i najzwinniejszy z paziów, wsunął się na palcach za jego krzesło, ostrożnie, nie obudziwszy śpiącego, zdjął mu z głowy perukę, a na jej miejsce zasadził zgrzebny worek. Grzmot trąb i kotłów, jako sygnał do tańca, ocucił drzemiącego generała; wyprostował się, poprawił mundur na sobie i miarowo, jakby w marszu, mierzy do pani starościny i prosi ją z uśmiechem do tańca. Pani starościna,

wśród wesołego gwaru i śmiechu obecnych, prowadzi generała do lustra, który, ujrawszy na swej głowie strój niezwykle, w straszny wpadł gniew i wyszedł z sali, mrużąc niezrozumiale.

Dwór cały i goście za boki się trzymali od śmiechu, królewicz udawał zagniewanego; psotnego pazia kazał za karę na trzy dni zamknąć o chlebie i wodzie; gdy jednak znalazł się sam na sam z królewiczową, nie mogli oboje wstrzymać się od śmiechu.

Drobna ta przygoda świadczy tylko, jak u nas nie lubiano Sasów.

Z równą wspaniałością i uroczystością, jak w Żółkwi, obchodzone bywały zazwyczaj święta Wielkanocne po wszystkich wielkopańskich dworach.

II

ŚWIĘCONE W WIEKU XVI U IMCI PANA MIKOŁAJA CHROBERSKIEGO, MIESZCZANINA I RAJCY KRAKOWSKIEGO

Może wam się to nie spodoba, że was z zamku królewicza Jakóba Sobieskiego poprowadzę do domu mieszczkańskiego. Gdybym was zaprowadziła do mieszkania Imci pana Chroberskiego i nie powiedziała naprzód, że was do mieszczkańskiego domu prowadzę, to wszedłszy tam, nie domyślilibyście się tego, lecz sądzilibyście, że jesteście w domu wielkopańskim.

Ależ Imci pan Chroberski to nie ladajaki mieszczanin! Bywał on na pokojach królewskich, a u siebie przyjmował gości nielada, bo hetmana Tarnowskiego. Dworzanin pana hetmana, Mikołaj Pszonka, który razem ze swoim

panem był na święconem u pana Chroberskiego, opisał w liście do żony owe odwiedziny, a ja z listu tego korzystam i wyjmuję z niego kilka ustępów*).

„Sercem Najukochańsza Salusiu! — pisze pan Pszonka — a toż to nic nie widziałem, nic nie słyszałem podobnego w naszych stronach i dlatego chcę ci tę osobliwość opisać! Tu, w Krakowie, mieszczanin to pan taki, jak wojewoda! Wnijdiesz do jego komnaty, a to jakby do skarbcza. Na ścianach bogate obicia, szafy napelnione misami, kruzami, puharami srebrnemi, czarami, aże ślepią ci oczy. Sama gospodyni w zauszniach od rubinów, brylantów; perły na szyi jako groch największy, a tego nie parę, ale pięć, ośm sznurków, a jedna w drugą jak łaża. Suknia z najprzedniejszego jedwabiu. Mieszczanie bogaci ubierają się czarno. Oj! gdybyś wasze zobaczyła spinki. Spinki u szyi tych Krezusów, a toż to skarb nielada! Ano tożto oni handel prowadzą z połową świata, nie dziw, że to wiele niesie! A już czas wielki, abym waszeci opisał, com widział i pożywał na święconem u Imci pana Mikołaja Chroberskiego, rajcy, mieszczanina uczciwego, ba! i wiele tu znaczącego, bo nawet u Króla Jegomości nie csobliwość mu widzianym być. Zaprosił on tedy na święcone Imci pana Hetmana, naszego Pana, z nami, dworzany kilkoma. Jak się tedy msza święta w kościele Najświętszej Panny Marji skończyła, pojechał nasz Jaśnie Wielmożny w swojej karocy, a my za nim, na koniach, prosto przed dom Imci pana Chroberskiego na ulicę Bracką. Weszliśmy do wielkiej izby tuż przy

*) Szczegóły do święconego, wyjęte z listu Pszonki, znajdującego się w dziele Kaczkowskiego: „Kobieta w Polsce“.

boku pańskim. W progach pan Hetman, witany przez Imci panią Chroborską, przesłiczny zrobił jej afekt, a córę jej, rozkwitającą Imci pannę Agnieszkę, najmilej pocałował w czoło. Ano otwały się drugie drzwi dębowe, perłową macicą i hebanem wykładane, aż sam ja oczy zgubił! choć mi nie nowina bogactwa widzieć, ale że to było u mieszczanina, więc się tego nie spodziewałem.

Na środku stał stół okrągły, wielki, dębowy, żeby stu ludzi koło niego siadło i jadło. Obrus jeden, wielki. Było na nim, co tu powiadam, bom sobie każdą rzecz na pamięć brał. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspañalej, były mięsiwa wędzone. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt całutkich, kielbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru krokoszowego ciemnego, ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek, pomalowanych w przeróżne barwy, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu, w różową barwę wpadającą. Pomiedzy temi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwne, zabawne historie:

Poncjusz Piłat wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą wieprzowiny, więc to dla nich była taka krotochwila. Na środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej. Ale jabym za cały stół rad wziąć jemu oczy. A wszakoż to były dwa brylanty, jak laskowe orzechy, w czarnej oprawie. Były to pierścienie ukryte w masle, których tylko tyle widać było, ile potrzeba na okazanie oczu. Tego baranka, na którym wełna maślana nie do poznania była od prawdziwej, robiła sama Imci panna Agnieszka z rodzicem swoim.

Dalej tedy stały bańki srebrne wyłacane, z octem, oliwą i cztery kruże wielkie starego miodu na tacach srebrnych, wyłacanych, obstawionych czarami wyłacanemi. Dalej srebrne tódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał, a to wszystko smażone przez Imci pannę Agnieszkę na jesieni, bo ona podobna jest do pszczołki, co zawczasu opatruje się na wszelkie przygody. Stało też w gąsiorach, prawda szklanych, wino, ale te gąsiory stały w koszykach srebrnych wyłacanych, a główki miały śrubowane w zawój srebrny i szkło białe jak śnieg i gładkiej roboty. Pomijam inne drobniejsze rzeczy, już czas przystąpić do najważniejszych: do kołaczów, placków, jajeczników i Bóg spamięta ich miana, tych cudaczków rozmaitych, które okrążyły jeden najpoważniejszy kołacz. Kołacz ten był owalny, cyrcumferencji z ośm łokci, jeśli nie więcej, gruby na dwie piędzi, a jakżeśmy tylko weszli do izby, to nam zapachniał swojemi przyprawami. Po brzegach koło niego stały różne figurki: dwunastu apostołów, udani jak żywi! a wszystko z ciasta. W środku stał Zbawiciel nasz, Pan Jezus Chrystus, z chorągiewką, a nad nim unosił się anioł, na druciku u szabasnika srebrnego, nieznacznie w górę powieszony, zdawało się, jakby leciał po niebie, a z gęby wychodziły mu słowa: Alleluja!

Jeden placek miał w środku sadzawkę z białego miodu, w stawku pluskały się rybki, które łowili chłopcy na wędkę. Robota tego była bardzo sztuczna! Nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć u wielkich panów! Zaczęło się tedy, po zmówieniu zwyczajnych modłów, pożywanie daru Bożego.

Tyle słów listu pana Pszonki, odnoszących się do święconego w mieszczańskim domu.

U naszych naddziadów na święcone przybywali często goście nieproszeni: przybywał często wróg do wroga! Po spowiedzi wielkanocnej, po uroczystościach kościelnych, ludzie czuli się jakby odrodzeni: grzech i zawziętość nikły z serca. Zawzięły i dumny stawał się przebaczącym i pokornym, jawił się z serdecznym słowem na *święconem* w domu zaciętego wroga, a wróg stawał się uprzejmym gospodarzem. Przy jajku święconem zapominało dawnych uraz i unikano w przyszłości nowych. Zdarzało się wprawdzie czasem, że gdy niespodzianie gospodarz ujrzał u siebie swego zaciętego wroga, w pierwszej chwili twarz jego nabiegała gniewem, a usta już miały wymówić przykre wyrazy. Jednak między zwaśnionymi jawił się wtedy proboszcz miejscowy, a ukazując ukrzyżowanego Chrystusa, mówił: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“. Po tych słowach zazwyczaj zwaśnieni podawali sobie ręce, padali sobie w objęcia i dla miłości Ukrzyżowanego, a dziś Zmartwychwstałego Chrystusa, przebaczali sobie urazy.

Poznawszy obyczaje naszych dworów i miast, zkolei należy nam zajrzeć do chaty kmiecej.

Wieśniacy obchodzili Wielki tydzień z wielką pobożnością, a mieli także swoje właściwe uroczystości.

Gdy w Wielki Czwartek gospodarz i gospodyni powrócili z kościoła, obmywali nogi swojej czeladzi, poczem gosposia krzątała się rażno, aby dla swej czeladzi ugotować postną, ale smaczną i sutą wieczerzę. Oczywiście zwyczaj ten mogli obchodzić tylko zamożni kmiecie, ubożsi bowiem — sami poddani swoich panów — nie

mieli czeladzi. Podczas świąt Wielkanocnych nie ujrzymy w chacie wieśniaczej zbytku i wykwintu. U zamożniejszych zaledwie jawił się kołacz świąteczny, z grubej pszennej mąki z serem, jagłami lub makiem, większa obfitość mięsiwa, jaj i pisanek kilka — ubożsi zadowoleni byli, jeśli w te dni ciężkiego przednowku nie zaznali przynajmniej głodu! Przykra to taka dola! ciężko ją było znosić każdemu, a już najciężej młodzieży, która zawsze i wszędzie rada swobodzie i zabawie. To też młodź wiejska, pragnąc koniecznie poweselić się w dni świąteczne, a nie mogąc zastawiać sutych stołów dla miłych gości, umiała sobie przecież radzić tak, aby w te dni zabawić się w liczne gronie towarzyszy. Oto w niektórych okolicach naszego kraju młode dziewczęta we wsi wily w drugie święto Wielkiejnocy tak zwany „gaik“. Gaików, na podobieństwo rzeczywistego gaju, składał się z gałązek drzew i krzewów, okrytych drobnymi listkami lub srebrzystymi baziami, które już porozwijała młoda wiosna. Śród tych gałązek, naśladujących drzewa, zatykały dziewczęta pierwsze wiosenne kwiatki: stokrotkę, podbiał, sasanki, śnieżyce, a potem z tym swoim pstrym a wonnym gajem szły od dworu do dworu, od chaty do chaty, stawały gromadą u wrót, wysuwały naprzód swój pachnący gaik i śpiewały. Śpiewały o słonku, które „stopiwszy śniegi i lody, popędziło wody do morza — z wodą poszły wszystkie troski i biedy! Teraz złote promienie słoneczne, uporawszy się z jedną robotą, wezmą się do drugiej: będą rozwijać kwiaty i zboża, obdarzą ludzi plonem bogatym i nie braknie chleba nawet w najuboższej chacie“.

Wszędzie, gdzie się zjawiały dziewczęta z gajem i pieśnią, witano je radośnie i serdecznie.

Radowały się oczy młodą wiosenną zielenią *gaju*, uśmiechały się wszystkim obietnice bogatych plonów, to też gosposie wynosiły zwiastunkom wiosny i lepszej doli spory kawał kołacza, jaj kilka i mięsiwo.

Dziewczęta, obdarowane szczodrze, składały razem te wszystkie zapasy, gromadziły się wieczorem w jednym miejscu i zapraszały do siebie mieszkańców wioski, miały już bowiem *święcone* na poczęstunek.

Bawiono się też raźnie i wesoło!

W innych okolicach kraju naszego nie dziewczęta, lecz parobcy i chłopaki szli z pieśnią od chaty do chaty. Nie mieli oni jednak *gaju*, lecz kogutka wielkiego, zrobionego sztucznie i przybranego w pióra kogucie. Tego olbrzymiego kogutka toczyli przed sobą na kółkach, a gdy zatrzymali się gdzie przed dworem, plebanją, leśnicówką lub chatą, kogutek piał różnymi głosami na przemianę złej doli w pomyślną. Krzykliwe pianie i wesoły gwar wiejskiej drużyny sprowadzał mnóstwo ciekawych, wtedy głosy kogucie milkły, natomiast rozbrzmiewała głośnie, wesoła pieśń, ułożona prawdopodobnie przez wiejskie pacholę:

Przyszliśmy tu po dyngusie!
Zaśpiewamy o Jezusie
O Jezusie i Marji
Dajcie nam co, gospodynie!...

Drużyna kogutka była mile witana i obdarowywana porówni z dziewczętami, chodzącemi z „*gajem*“, a uzbierane tym sposobem składkowe *święcone* spożywano wesoło wieczorem przy wspólnej zabawie.

KOLEDZY

OBRAZEK ZDJĘTY Z WIEKU XVIII

SZARAŃCZA *)

Była wiosna roku pańskiego 1748. Nie ta wczesna wiosna, co topi śniegi, druzgocze lody w rzekach i wiedzie z ciepłych krajów skrzydlatych mieszkańców pól, lasów, bagien i trzęsawisk, lecz była to wiosna późniejsza, pora najpiękniejsza w roku całym.

Ona złocistemi promieniami słońca, niby złotemi nitkami, utkała pracowicie szatę dla matki ziemi. Wiosna, nieustrudzona pracownica, odświeżyła piękny strój ziemi ciepłym deszczem, dobywała z ziół i drzew wonie rozmaite, czyniące niezrównanie miłym ciepłe wiosenne powietrze.

Miljony rozsypanych, złocistych promieni słońca, poza pracowitem rozwijaniem owoców u wszelakich roślin, miały czas jeszcze igrać z kroplistą rosą, przez co niepozorna odrobina wody zdawała się zamieniać w pyszny drogi kamień, mieniaący się barwami tęczy.

Wiosna roku 1748 była miłą mieszkańcom dworku w Zarudziu nie tylko dlatego, że uczyniła ziemię tak nadobną, ale i dlatego, że obiecywała piękne urodzaje.

*) Szarańcza spadła na Polskę r. 1748, npisuje to X. Kitowicz w pamiątnikach do panowania Augusta III i Stanisława Augusta.

W zapowiadających się pięknych urodzajach widział Imci pan Kajetan Zarudzki, pracowity właściciel małego kawałka ziemi, noszącego nazwę Zarudzia, położonego u stóp Woroniaków, w milowej odległości od Złoczowa, zapewnienie, że dla rodziny i domowników nie braknie chleba na przednowku.

Pomimo urodzajów, obiecujących bogaty plon, Imci pan Kajetan nie spoczął ani na chwilę, lecz krzątał się koło domu i stajen, lub też szedł w pole.

Przed chwilą skończył okopywanie ziemniaków, że jednakże ognista tarcza słoneczna stała jeszcze wysoko na niebie, wyszedł, aby obejrzeć pszenicę. Była tak bujna, że właściciel Zarudzia chciał zobaczyć i rozważyć, czy nie trzeba jej będzie zerznąć, aby zapobiec zwaleniu się podczas dojrzewania.

Imci pan Kajetan minawszy rzeczkę i staw, wziął się na prawo i stanął niebawem nad łąnem gęstej a wysokiej pszenicy. Gdy tak nad bujną oziminą rozmyśla, nie mogąc powziąć ostatecznego postanowienia, naraz pociemniało. Podniósł więc zdziwione oczy w górę, aby przekonać się, skąd się wzięła tak nagle chmura na pogodnym niebie, a dziwna to była chmura!

Jednym końcem unosiła się wysoko, drugim zniżała się ku ziemi, dotykała jej niemal, przyczem nie spadała ani jedna kropla deszczu.

Mniemana chmura, niby wielka gruba płachta, posuwała się w stronę dworu Zarudzkiego. Nim Imci pan Kajetan potrafił zdać sobie sprawę z widzianego zjawiska, mniemana chmura zbliżała się z gwałtownością ku niemu, szum jakiś dziwny, niby brzęczenie wielkiego roju pszczoł wydobywał się z pośrodku, nabawiając trwogą właściciela

Zarudzia. Naraz chmura owa uderza o niego, szumi i brzęczy, muskając mu twarz i powieki; oczy bowiem zamknął uderzony nagle. Gdy nareszcie chmura owa przepłynęła, a Imci pan Kajetan otworzył oczy, spostrzegł, że nie chmura to była, lecz szarańcza, pędząca z niesłychaną szybkością naprzód.

Szarańcza, myślał przerażony gospodarz, dążąc ku domowi; szarańcza, to klęska niesłychana, bo wiosenne urodzaje, to najulubieńszy jej pokarm.

Gdy Imci pan Kajetan, zadyszany, przyszedł do swej zagrody, zastał całą rodzinę i domowników w warzywnym ogrodzie, patrzących z przerażeniem na oddalającą się szarańczę.

No, dzięki Bogu! przemówił pierwszy pan Kajetan, ominęła nas plaga egipska; ale spadnie ona gdzie indziej i zostawi spustoszenie.

Oj! nie ominęła, nie! przemówił siwy dziad w wieśniaczym ubiorze. Szarańcza to jak wojsko, mówił dalej, kiwając smutnie głową, jak wojsko ma przednią straż, która idzie przed korpusem, ino patrzeć, jak korpus nadciągnie! Co gorsza, że ma się już ku wieczorowi, więc lichu nie da się odpędzić. Nie zawadzi przecie spróbować.

— Czego spróbować? — zapytał mówiącego Imci pan Kajetan.

— Odegnać szarańczę — odpowiedział staruszek, który we dworze był pasiecznikiem.

— Jak odegnać? — zapytali wszyscy.

— Krzykiem, a hukiem, hałasem i brzękanjem wszelakim — odpowiedział starzec. Lecz widząc, że go nie rozumieją dokładnie, mówił: „Niechajno Jegomość wezmą rusznicę i naboje, Wasyl niech dobędzie kosi i siekiery,

a ja pójdę z Nastką na wieś zwotywać ludzi“. Miał już odchodzić, gdy nagle zatrzymał się, jakby przypominając coś sobie i powiedział: „a niechaj Jejmość z dziećmi idzie do świetlicy, bo szarańcza nadciągnie takim gęstym tumanem, że wśród niego trudno do domu trafić“.

Wszyscy, posłuszni zarządzeniu doświadczonego pasiecznika mieli rozejść się, aby spełnić jego polecenia, a Adamek, najstarszy dwunastoletni syn Imci państwa Zarudzkich zawołał, w chwili, gdy go matka z innemi dziećmi do świetlicy zabrać chciała: „Ja z tobą tatku“. „Dobrze“ była odpowiedź.

Imci pan Zarudzki z pomocą Adamka porobił przygotowania do wyprawy. Przygotowanie polegało na nabitciu rusznicy, zabraniu naboów, założeniu koni do wozu, aby pośpieszyć za gromadą na granicę pól Zarudzkich.

Zaledwie pasiecznik zebrał gromadę ludzi, uzbrojoną w kosy, siekiery, motyki, słowem w to, co było pod ręką, aliści nie chmurka, ale chmura ogromna okryła niebo, zasłaniając słońce. Na widok groźnej chmury, spuszczaającej się ku samej ziemi, nakazał pasiecznik brząkać kosami, strzelać a krzyczeć, gdyż gwarem owym spodziewał się odegnać szarańczę od pól Zarudzia.

Brząkano zatem, strzelano i krzyczano, ale niestety, tumany owe nieprzeliczone spadały na ziemię, nie zważając na garstkę ludzi, starających się szarańczę przestraszyć odpędzić. Nieustraszone skrzydlate stworzenia zaczęły spadać gęstą masą.

Uderzały one o wszystko, co było na ich drodze, to też wkrótce brząkający ludzie musieli poodkładać kosy i siekiery, aby rękami chronić oczy od gęsto spadających tumanów szarańczy, zaścielających pola szeroko, jak okiem

zajrzeć. Padając, tworzyła zbitą masę, która pokrywała pola, chaty, ogrody, staw i rzekę, znajdując oczywiście śmierć w wodzie.

Imci pan Kajetan z Adamkiem siedzieli na wózku, w pierwszych chwilach starali się odstraszyć szarańczę strzelaniem, brząkaniem i krzykiem, gdy jednak to nie skutkowało, zastaniali, podobnie jak inni, oczy rękami przed napływającemi tłumami. Jechali, jak gdyby w obłoku szumiącym, konie, zaprzężone u wozu, kręciły niecierpliwie głowami, odganiając natrętów, koła wozu przejeżdżały przez leżące na ziemi warstwy owadów, gniotąc je na miazgę, przecież to nie odstraszało leżących; trzeszczały pod nogami, podobnie jak śnieg w zimie. Po chwili chmura, ściąga słońce, zaległa ziemię warstwą grubą na pół łokcia. Warstwa ta jednakże nie była zbita. Tłum skrzydlaty, zalegający ziemię, poruszał się niespokojnie, to siadając, to podlatując do góry. Dopiero po długiej chwili, ta gruba, zbita masa stawała się coraz cieńsza, wreszcie znieruchomiła, zalegając ziemię potrójną warstwą. Lekki owad siedział jeden na drugim.

W drodze pasiecznik mówił głosem żalonym:

— Ot, nie udało nam się odpędzić tej plagi, nie udało się, bo zmęczona droga.

— A skąd wiecie dziadku, że ona zmęczona? — pytał Adamek, patrząc na druzgotaną kołami szarańczę.

— Skąd ja wiem! A czy ja to pierwszy raz szarańczę widzę, czy ja to nie znam jej obyczajów? Ona przez dobę dwa razy odpoczywa. W południe zatrzymuje się na krótki popas, poczem leci aż do zachodu słońca, wieczorem znowu opada dla noclegu. Jeżeli nadleci wnet po południowym popasie, to brząkaniem i krzykiem można ją

odstraszyć, ale gdy tuman nadejdzie wieczorem, to już darmo; bo przebywszy kilkugodzinną drogę, nie daje się zastraszyć, lecz głodem i lotem zmęczona pada, gdzie się jej uda, nie uważając nawet na wodę.

Sluchając rozповідаjącego pasiecznika, przyjechano do domu, w którym przerażona pani Kajetanowa lamentowała razem z załęknionymi dziećmi.

Pasiecznik, wyskoczywszy z wozu, kazał wypuścić trzodę chlewną, która też rzuciła się żarłocznie na szarańczę, zakrywając ziemię.

Jadła, pobrzękując z zadowolenia, ucztowaniem niszczyła wielką ilość skrzydlatych stworzeń, małą jednakże w stosunku kilkamilowej przestrzeni, na której rozciągała się szarańcza.

Nazajutrz, rychło świt, na polach zastłanych szarańczę zaroilo się i zabrzęczało. Cienka, nieruchoma warstwa poczęła grubieć, przebudzony owad zaczął wzlatywać, nie wysoko przecie.

Wzlatywał, aby dopaść bujnego źdźbła pszenicy lub żyta, soczystego liścia warzywa i raczyć się nim żarłocznie. Podlatywanie to, połączone z brzęczeniem, a mające na celu żerowanie, trwało godzin kilka, bo aż do obechnięcia rosy. Poczem ruchomy tuman począł podnosić się do góry wysoko, aż zastłoniwszy słońce, pograżył całą okolicę w ciemności. Przez chwilę słychać było tylko szum i brzęczenie, wreszcie znowu słońce zajaśniało nad ziemią i wtedy mieszkańcy mogli przypatrzeć się zniszczeniu, zrządzonemu przez szarańczę. Ujrzeni bogato zapowiadające się urodzaje zniszczone kilkogodzinnym popasem. Szarańcza objadła wszystko, zostawiając nagą ziemię.

Z załamaniem rękami stawali mieszkańcy ziemi dotkniętej ciężką klęską. W jednej chwili stracili to, co zdobyli krwawą pracą. Przed oczami strapionych stało widmo głodu.

Wiosna była, więc może pomyśli kto, że można pola obsiać na nowo. Nie można było przecie tego uczynić, bo ludzie nie mieli ni zboża, ni pieniędzy na zakupienie ziarna, potrzebnego do powtórnego zasiewu. A zresztą, gdyby nawet było i jedno i drugie, czy wartaloby to robić?

Starzy ludzie powiadali, że po pierwszym nawale nastąpi jeszcze niejeden, bo gdy szarańcza pokaże się w jakiej miejscowości, to ciągną za nią nowe tłumy wielokrotnie. I przepowiednia starych sprawdziła się istotnie.

Może we dwa dni po pierwszym ukazaniu się szarańczy, nadciągnęły nowe nieprzeliczone tłumy w okolice Zarudzia. Różnica cała polegała na tem, że skrzydłata gromada przeciągnęła w porze południowej.

Po dwugodzinnym popasie odleciała, zniszczywszy do reszty to, co pozostało po pierwszym jej przechodzie.

Te złowrogie przeloty powtarzały się jeszcze wielokrotnie, zazwyczaj w przerwach kilkodniowych. Mieszkańcy Zarudzia przyzwyczaili się już do tego okropnego zjawiska, witanego z radością tylko przez trzodę chlewną, która też wypasała się doskonale.

Szarańcza, zrządzająca tak dotkliwie klęski mieszkańców Zarudzia, przybyła z Turcji, a przebywszy Ukrainę i Ruś, pomknęła dalej, aby rozlać się po Polsce całej i Litwie.

Największe szkody zrządziła przecie w tych krajach, w których ukazała się najwcześniej na wiosnę, tu bowiem zastała zielone zboża. Dojrzewających, jako twardych, nie tykała, ograniczyła się tam na jarzynach.

Pod jesień stawiała się mniej wybredną.

Nie znajdując soczystych liści jarzyn i zbóż, ogryzała słomę, pokrywając chaty wiejskie lub też ściernie po polach.

Po przelocie szarańczy zapanował głód na Ukrainie. Ludzie, w braku zboża, żywili się mieloną żołądzą.

Gdy przeloty szarańczy ustały nareszcie, pasiecznik, kiwając głową, nie przestawał straszyć wszystkich wróżbą: że plaga tegoroczna powtórzy się na wiosnę.

Z małą odmianą, mówił stary, bo szarańcza — jak wojsko, ma konnicę i piechotę; o! tego roku widzieliśmy niby konnicę, bo leciała na skrzydłach, na wiosnę pokaże się piechota, podobniusienska do tegorocznej, tylko bez skrzydeł i będzie pomykać tylko po ziemi.

Najciekawiej przysłuchiwał się opowiadaniom pasiecznika Adamek; konnica i piechota u skrzydlatych szkodników mocno zaciekała chłopaka, to też przyszedł o nią pytać ojca, który sprostował wiadomości Adamka, zaczerpnięte u pasiecznika, w następujący sposób:

W miejscach, w których szarańcza zatrzymywała się na popasy, pozostawiła jajka, z tych na przyszłą wiosnę wylęgną się gąsienice bez skrzydeł, które nie mogą latać i dlatego nazwał je pasiecznik piechotą, a gdy z poczwerek wylęgnie się skrzydlaty owad, polecą pustoszyć dalej.

Można jednakże wygubić ją, nim skrzydeł dostanie. Zobaczysz, jak to będziemy robić na przyszłą wiosnę.

Dla ciekawego Adamka przyszła wiosna wydała się odległą o wiek cały, więc prosił, aby ojciec opowiedział zaraz, jak to można wygubić szarańczę, nazwaną przez pasiecznika piechotą.

W sposób bardzo prosty, odpowiedział ojciec. Oto, gdy niezdolne do lotu stworzenia wydobędą się z ziemi, pole, po którym przesuwały się niedołęzne, zaściela się słomą, a następnie zapala się takową.

Szarańcza znajduje śmierć w ogniu. Można także pole świeżo pokryte szarańczę okopać szerokim rowem i w niego napędzić szkodników, a następnie zasypać ich w rowach ziemią.

ŚRÓD OBCYCH

W kilka tygodni po opisanej klęsce, zarządzanej przez szarańczę, gdy Imci pan Zarudzki zajęty był uprawą pola, posłyszał głośnie nawoływania od strony traktu, idącego z Tarnopola do Żłoczowa.

Przystłoniwszy rękami oczy, spostrzegł na drodze kolasę, koło której stał pan jakiś dostatnio odziany, wołając głośnie: „bywaj, bywaj“, kiwał przytem rękami, chcąc w ten sposób sprowadzić do siebie ludzi, zajętych pracą około roli.

Imci pan Zarudzki, pozostawiwszy pług na opiece poganiacza, otrzepawszy pył z rąk, szedł do wołającego podróżnego.

— Koło mi się rozsypało — rzekł do nadchodzącego przy kolasie stojący pan. — O! co! dalej ruszyć nie mogę, czy niema tu we wsi kołodzieja?

Wszystko to wypowiedział pośpiesznie, zanim Imci pan Zarudzki stanął przed mówiącym.

— Kołodzieja we wsi nie mamy — rzekł przybyły — ale w moim domu znajdzie się koło do kolasy, tymczasem

może Waszmość dobrodziej zechce wypocząć pod moja strzechą, jestem: Kajetan Zarudzki.

— Andrzej Gwiazdowski, starosta z Mazowieckiego — odpowiedział pan przy kolasie stojący. — Dziękuję panie bracie za gościnność, bez niej nie mógłbym się ruszyć w dalszą drogę.

Kolasa pod opieką woźnicy została na gościńcu, zaś pacholik pana starosty udał się za panami po koło, mające zastąpić rozsypane.

Nowi znajomi rozmawiali przez drogę najpierw o szarańczy, spustoszenia bowiem, przez nią zrządzone, rzuciły się w oczy każdemu. Potem mówiono o opłakanych sprawach Rzeczypospolitej, lekceważonej przez ościennie narody, a pozostającej pod rządami Augusta III, troszczącego się niewiele o losy Polski, a przesiadującego w Sakszonji. Rozmawiając tak o niedoli kraju, doszli do zagrody Imci pana Zarudzkiego.

W ogrodzie, przed domem, pod rozłożystą jabłonią siedział na trawniku Adamek, trzymając jakąś wielką książkę, z której głośno czytał. Prócz czytającego było w ogrodzie jeszcze troje dzieci. Nie wszystkie przecie słuchały płynnego czytania Adamka.

Chłopiec dziesięcioletni grał rolę wierzchowca, chodząc na czworakach, dźwigał na plecach pięcioletniego chłopczyka, siedzącego na plecach brata, jak na koniu. Na szyję swego rumaka nałożył uzdę z tyka lipowego, a trzymając biczek w rękach, trząsał nim w powietrzu, chcąc widocznie trząskaniem nastraszyć swego wierzchowca, który też udawał zalęknionego ogromnie ku uciecsze małego jeźdźcy, wybuchającego srebrzystym śmiechem, przygłuszającym czasami głos Adamka, przy którym sie-

działa siedmioletnia dziewczynka, słuchająca z natężeniem historii o Kainie i Abłu. Policzki małej słuchaczki pały, a błękitne oczy spoglądały już to w twarz czytającego, już to na karty wielkiej księgi, leżącej na kolanach brata, na której błękitne oczy dziewczynki nie widziały nic innego, jak tylko niezrozumiałe kreski czarne na szarej grubej bibule. To też dziwiła się, że z niezrozumiałych dla niej kresek Adamek składał takie piękne, ciekawe rzeczy, od których pały policzki małej słuchaczki.

Pan starosta, rzuciwszy okiem na ogród, powiedział: A to zapewne dzieci Waszmości? Kiwnięciem głowy potwierdził Imci pan Zarudzki słowa starosty.

Mały uczony! mówił dalej starosta, pokazując palcem na chłopca, zagłębionego w książkę tak bardzo, że nie spostrzegł nadchodzących. Ciekawy, niezmiernie ciekawy do książki, odpowiedział ojciec czytającego.

Pan starosta kilkoma szybkimi krokami przybliżył się do czytającego, a nim tenże dostrzegł nieznajomego, rzucił mu pytanie: Skoro książki czytasz i to jak widzę księgi święte, to musisz wiedzieć, co Pan Bóg robi w niebie?

Adamek, niespodzianie zagadnięty, zerwał się na równe nogi, popatrzył na nieznanego mu gościa i zamyślił się nad usłyszanym pytaniem.

Co Pan Bóg robi w niebie? tego w żadnej książce nie wyczytał. Co robił — wiedział, wszakże stworzył świat i wszystko to, co się na nim znajduje. A to rzecz niemała! Co robi dziś jeszcze? myślał chłopczyzna, wreszcie podniósł oczy w górę, popatrzył na dobrotliwie uśmiechniętego gościa i powiedział: Pan Bóg robi w niebie to, co chce, jest tam przecie gospodarzem.

Pan starosta, usłyszawszy odpowiedź, uśmiechnął się z zadowoleniem, a gładząc ręką rumiane policzki chłopca, powiedział: Widzę, że darmo nad książką nie siedzisz, skoro myśleć umiesz. Juści pewno, że Pan Bóg, jako gospodarz, robi zapewne to, co uzna za najlepsze. Zuch chłopak z ciebie!

Podczas gdy pan starosta rozmawiał z Adamkiem, pan Zarudzki wybrał odpowiednie koło, z którem też pacholik odszedł, aby je założyć do kolasy.

Pan Zarudzki powrócił do swego gościa, zapraszając go do świetlicy na odpoczynek i przekąskę.

Pan starosta na odpoczynek przystał, za przekąskę podziękował, jadł bowiem niedawno obiad. Odpoczywał niedługo, mówiąc: Komu w drogę, temu czas. Miał jeszcze spory kawał drogi, jechał do Tarnopola w interesach.

Pan Zarudzki nie zatrzymywał swego gościa, bo gorliwemu gospodarzowi spieszo było do przerwanej orki. Odprowadził pana starostę, aby opatrzyć czy koło należyte dopasowane do kolasy.

Chwilę szli obaj w milczeniu. Milczenie przerwał pan starosta. Opowiadał, że ma syna jedynaka, ale nie takiego zucha, jak syn pana Zarudzkiego, kobiety w domu pieśczoćkami rozmazgaily chłopaka.

Chcąc chłopca wychować na porządnego obywatela, postanowił oddać go do Jezuitów w Warszawie. Potrzebowałbym dla mego mazgaja towarzysza, jakiego zucha. Ot, nie przymierzając wziąłbym chętnie syna Waszmości. Pozwól mi zabrać go, a będzie miał chłopak sposobność wypolerować naukami wrodzony rozum.

Nim pan Zarudzki zdobył się na odpowiedź, pan starosta mówił dalej: Ot, co tu rozmyślać, po klęsce spr-

wionej przez szarańczę, będziesz miał Waszmość jedną gębę mniej do żywienia, a rąk do pracy nie ubędzie, bo chłopak jeszcze za słaby do ciężkiej roboty.

Pomimo wymowy pana starosty, ojciec nie mógł na razie zdecydować się na oddanie syna, nie chciał zaciągać długów wdzięczności u nikogo.

— Mnie się widzi — odpowiedział pan starosta — że nie Waszmość, panie Zarudzki, moim, lecz ja twoim dłużnikiem zostanę. Jeśliś taki skrupulant, to nie zaprzeczysz, że jesteś także dłużnikiem Rzeczypospolitej, dla niej masz wychować dzieci swoje. A czyż nie będzie Waszmości syn użyteczniejszy ojczyźnie, gdy rozum naukami wypoleruje, niżeli siedząc w Zarudziu i orząc zagon ojczysty. Orka potrzebna, nie przeczę, ale masz jeszcze młodszych chłopaków.

Po długim namyśle skłaniał się pan Zarudzki do życzenia pana starosty, nie wyrzekł przecie ostatniego słowa, chciał przedtem pomówić z żoną.

Stało na tem, że pan starosta, powracając z Tarnopola, wstąpi do Zarudzia, aby zabrać Adamka, w razie, gdyby się rodzice na to zdecydowali. I istotnie wstąpił.

Państwo Zarudscy, ku wielkiemu zadowoleniu starosty, przychyłili się do jego życzenia. Do oddania syna pod opiekę pana starosty skłoniła rodziców chęć, jaką Adamek okazywał do nauki, sami zaś byli za ubodzy, aby syna mogli oddać do szkoły.

Adamek popłakał trochę przy pożegnaniu z rodzicami i rodzeństwem, a dostawszy na drogę rady i błogostawieństwo rodzicielskie, usiadł w kolasie obok starosty, aby udać się w daleką drogę, trwającą dni kilka-naście.

Nareszcie późnym wieczorem zajechano do obszernego dworu, będącego siedzibą starosty.

— No, wyśpij się chłopcze — mówił starosta do Adamka — jutro poznasz swego towarzysza i kolegę, dziś bowiem śpi on niezawodnie.

Rychło świt zbudził się Adamek, a przyodziawszy na siebie świąteczne szaty (była to bowiem niedziela), poszedł na mszę, dowiedziawszy się od pacholika, że we wsi jest kościół.

Starosta po męczącej drodze spał dłużej, lecz, przebudziwszy się, zapytał zaraz o Adamka. Z przyjemnością dowiedział się, że chłopak pierwszy krok na obcym miejscu zrobił do kościoła. Zanim starosta ubrał się, Adamek wrócił.

— Chodź, pójdziemy teraz do jejmości, tam poznasz mego Janka.

Adamka jakoś odwaga opuściła w wspaniałych pokojach pana starosty, a stał się jeszcze nieśmielszym wobec pani, przy której ujrzał dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę. Pani starościna i jej dzieci były tak strojnie przybrane, że Adamek, porównawszy swoje ubranie z ubraniami Janka, stał się nieśmiały, zawstydzony niemal. Jakże wyglądały jego grube buty z cholewami, wobec płtykich trzewiczków i cienkich pończoszek Janka? Jak wyglądał jego granatowy kontusik z zwykłego samodziła, wobec kontusika Janka z cieniuchnej, szafirowej tkaniny? Kontusik zawdziął Janek na jedwabny żupanik turkusowego koloru, żupanik spinała pod szyją koralowa spinka, rozcięte rękawy kontusika zarzucone były na plecy, złożone na krzyż. Pas jedwabny koloru turkusowego i koralowego dopełniał ubrania. Jakże, myślał Adamek, wyglądały

jego krótko strzyżone włosy, przy płowych włosach Janka, zaplecionych w jeden warkocz, spływający na ramiona.

Siostra Janka niemniej strojną była od brata. Nogi jej obute były płytkimi, skórczanemi trzewiczkami, zdobnemi w malowane kwiaty. Spodniczkę miała różową, na niej kabacik błękitny, z przodu fartuszek biały z tkaniny jak mgła cieniuchnej.

Krucze warkocze, związane wstążką różową, spływały na ramiona dziewczynki. Adamek stał milczący i onieśmiałony, podczas gdy pan starosta zaznajamiał go ze swemi dziećmi i byłby tak stał długo, gdyby nie odezwanie się Janka.

Chłopczyzna o delikatnej twarzyczce, zbliżywszy się do ojca, wskazał palcem na nogi Adamka, mówiąc:

— Tatu! ja chciałbym mieć takie buty, zamiast trzewików.

Adamek pokraśniał. Buty owe, za które wstyd mu było, podobały się strojnemu paniczowi. Podniósł też śmiało oczy na starostę, ciekawy jego odpowiedzi. Odpowiedź przeszła oczekiwanie chłopca; starosta zgodził się na żądanie syna, mówiąc:

— Dobrze, kończysz już rok dwunasty, przestajesz być dzieckiem, więc należą ci się buty. Obetniemy także i warkocz — mówił dalej — o! będziesz miał taką czuprynę, jak Adamek.

Po tych słowach pierzchnęła nieśmiałość Adamka, tem bardziej, że Janek zbliżył się do niego przyjaźnie. Przyjazne uczucie płynęło z wdzięczności, wszakże Adamkowi zawdzięczał, że nie będzie miał warkocza i trzewików, jak dziewczyna.

Wkrótce potem odwieziono Janka i Adamka do Warszawy i oddano ich na naukę do klasztoru ojców jezuitów.

Przed wyjazdem z domu państwa starostów doznał Adamek bardzo przykrego uczucia. Powodem przykrości był rozpaczliwy płacz Janka przy pożegnaniu z matką.

Słusznie mówił starosta, że matka rozmazgała pieszczołami chłopaka.

Matka, żegnając Janka, płakała bardzo, wreszcie ucałowała po raz setny syna, uściśnęła Adamka i głosem proszącym wyrzekła: „Bądź memu Jankowi bratem“. Adamek pocałował rękę starościny, nie wyrzekł nic, lecz postanowił być bratem dla rozmazgajonego, a w gruncie dobrego chłopca.

KOLEDZY PRZYJACIÓŁMI

Długo trwała podróż — podczas drogi chłopcy poprzyjaźnili się z sobą, a gdy dojechali do Warszawy — znali się już bardzo dobrze.

W Warszawie pan starosta najął pomieszkanie, w którym chłopcy nasi mieli zamieszkać pod opieką dyrektora.

Dyrektor zapowiedział Adamkowi, że, wzamian za utrzymanie i naukę, ma co rana, przed pójściem do szkoły, uprzątnąć izbę, wyczyścić odzież, słowem, zrobić w mieszkaniu porządek.

Adamek, nawykły w domu do pracy, próżnować nie lubił, to też nie zmartwił się wyznaczonem mu zajęciem.

Nazajutrz Adamek wstał najwcześniej, aby przed pójściem do szkoły zrobić to, co mu dyrektor nakazał; istotnie, wszystko wykończył przed pójściem do szkoły.

Jeszcze w obecności pana starosty wyegzaminowano chłopców i przeznaczono ich do klasy, zwanej „Infima Majorum“.

Egzamin bowiem wykazał, że obydwaj, oprócz płynnego czytania po polsku i dość poprawnego pisania, znali także nieco łaciny. Nauk tych nabył Janek od nauczyciela domowego, Adamek zaś od ojca.

Obaj chłopcy dotychczas nie chodzili jeszcze do szkoły; mieszkali bowiem, jak wiemy, na wsi, gdzie w owych czasach szkół nie było. W miasteczkach i miastach były obok kościołów szkoły parafjalne, w których udzielano nauk początkowych, t. j. czytania, pisania i początków łaciny z gramatyki zwanej „Alwarem“.

W szkołach jezuickich było klas ośm. Każda z nich miała inną nazwę; I, do której można było wejść po skończonej szkole parafjalnej, nazywała się: Infima Minorum; II, Infima Majorum; III, Gramatyka; IV, Syntaktyka; V, Poetyka; VI, Rhetoryka; VII, Philosophia; VIII, Theologia*).

Owóz nasi znajomi poszli odrazu do drugiej klasy. Pan dyrektor, odprowadziwszy ich tamże, udał się do swojej klasy, t. j. do Rhetoryki.

Dyrektorami nazywano w owych czasach ubogich studentów z klas wyższych, którzy utrzymywali się w szkołach w ten sposób, że udzielali lekcyj i opiekowali się dziećmi zamożniejszych rodziców.

Adamek i Janek, wszedłszy do swojej klasy, poczęli rozglądać się po niej ciekawie. Ciekawie spoglądali na katedrę, przeznaczoną dla profesora, na długie ławy, ustawione jedna za drugą w dwóch rzędach w ten sposób, że przez środek pozostała ścieżka do przejścia. W tyle za ławkami na ścianie wisiały dwie tablice z niezrozumiałemi

*) Ks. Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.

dla nich napisami: Pars romana (strona rzymska) i Pars graeca (strona grecka). Ciekawie spoglądali na małą ławeczkę, stojącą przy piecu, nad którą wisiała słomiana korona i na drugą małą ławkę nieopodal katedry.

Zaledwie mali studenci mieli czas rozglądać się po sali, aliści zaczęli schodzić się nieznani im koledzy. Jedni byli strojnie, drudzy ubogo, najczęściej w szaraczkowe kontusiki przybrani. Strojniejsi siadali w pierwszych ławkach, ubożsi w dalszych. Strojniejsi, byli to synowie możnych, ubożsi, synowie ludzi niezamożnych, którzy własnym kosztem nie mogli dać edukacji dzieciom i oddawali je, podobnie jak ojciec Adamka, możnym panom. Ubogi chłopczyzna mógł uczyć się razem z panięciem, w domu zaś był obowiązany obsłużyć małego swego pana i kolegę.

Adamek, spostrzegłszy chłopców podobnie jak on ubranych, zasiadających w dalszych ławkach, usiadł obok nich.

Janek poszedł za nim, trzymał bowiem Adamka za rękę, od czasu, gdy chłopcy schodzić się poczęli. Krzyki głośnie i śmiechy studentów przestraszyły tak bardzo rozpieszczonego Janka, że bał się na krok odstąpić Adamka, chociaż Adamek przemawiał do niego łagodnym głosem: „Nie siadaj przy mnie, widzisz, że dzieci bogatszych zajmują pierwsze ławki“.

Janek jednakże, nie zważając na mówiącego, usiadł przy nim, a gdy tenże namawiał go, aby usiadł gdzie indziej, odpowiedział: „Ja z tobą“, lub: „ja chcę siedzieć przy tobie“.

Naraz drzwi otworzyły się i wszedł do klasy magister, był to kleryk. W niższych klasach uczyli klerycy, w wyższych jezuici, zwani Patrami.

Po pacierzu, młody nauczyciel naznaczył miejsca chłopcom. Spostrzegłszy Janka między ubogimi uczniami, kazał mu zająć inne miejsce w bliższej ławie. Janek jednakże z miejsca się nie ruszył, a gdy mu nauczyciel rozkaz swój powtórzył, powiedział głosem płaczącym: „Ja chcę z nim, ja chcę przy nim“.

Daremnie starał się młody nauczyciel wytłumaczyć Jankowi, że w szkole nie wolno chcieć, lecz należy słuchać, gdyż chłopiec, przyzwyczajony w domu do samowoli, nie mógł pojąć, jak można nie spełnić jego życzenia.

Nauczyciel, spojrzawszy na drobną, pobladłą twarzyczkę dziecka, na jego zapłakane oczy i na rozpaczliwy wzrok Adamka, którego rękę Janek coraz bardziej ścisnął, nie miał serca karać surowo ucznia, nie znającego jeszcze przepisów szkolnych, to też łagodną perswazją starał się chłopca nakłonić do posłuszeństwa.

Wszystkie usiłowania rozbiły się przez dłuższy czas o upór rozpieszczonego jedynaka. Nareszcie udało się magistrowi rzecz załagodzić w ten sposób, że Janka posadził w ostatnim rzędzie, zajmowanym przez panięta, a tuż za nim Adamka w pierwszej ławie, zajmowanej przez biednych szaraczków. W ten sposób mógł nawet Janek trzymać Adamka, jeżeli nie za rękę, to przynajmniej za poję od kontusika.

Przeprawa z Jankiem była prawdziwą rozrywką dla spółkolegów. Rzucali drwiące spojrzenia na załęknionego chłopca, a nie szczędzili także złośliwych wykrzykników: Mamusine dziecko! Mazgaj! Widać, że panicz jeszcze nie wachał placenty! Nie zna jeszcze dyscypliny!

W owych czasach, nieposłusznych lub leniwych uczniów karano cieleśnie, bito ich dyscypliną, lub w rękę

narzędziem na to umyślnie sporządzonem, zwanem placenta. Była to skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, jak dłoń szeroka, a na długim drewnianym trzonku osadzona.

Rozpoczęła się nauka. Adamek słuchał z wytężoną uwagą, lecz Janek był tak strapiony, tak smutny, że nie rozumiał nawet słów nauczyciela. Nie rozumiał odpowiadających kolegów. Dopiero uważniej przysłuchiwać się zaczął, gdy zapytany Adamek płynnie, śmiało i głośno odpowiedział magistrowi, za co dostał pochwały, czyli, jak się wyrażano wówczas po łacinie: „laudes“.

Drugie wydarzenie zwróciło także uwagę Janka. Oto nieuważnego jakiegoś ucznia, nieumiejącego powtórzyć dokładnie zdania łacińskiego, zaprowadzono do ławki, nad którą wisiała korona słomiana. Nasi chłopcy dowiedzieli się wtenczas, że ławka ta nazywa się „osłą“ i że w niej sadzają nieuków, chcąc ich wstydem nakłonić do pilności. Pilność wyprowadzała ukaranego ucznia z osłej ławki.

Nareszcie lekcje skończono. Chłopcy, zmówiwszy pacierz, poczęli wychodzić. Panięta naprzód, a za nimi szaraczki; każdy niósł książki za swoim małym panem. Tylko Janek z Adamkiem szli razem, trzymając się za ręce; we drzwiach spotkali się ze swoim dyrektorem, który odprowadził ich do domu. Po obiedzie odbywały się znowu lekcje w szkole, po których trzeba było przygotować się w domu z dyrektorem do zadanych lekcyj.

Adamek uczył się ochoczo, to też robił znaczne postępy, nie potrzebował nawet pomocy dyrektora. Tymczasem Janek był ciągle smutny, przestał wprawdzie płakać, ale zubożał na wszystko; nie zajmowała go ani nauka, ani zabawa. Trwało to czas jakiś, wreszcie zaczął zabie-

rać się do książki, zachęcony pilnością Adamka, a także przestraszony karą, jaka spotykała nieuków. Pilność Adamka dostrzegł wkrótce nauczyciel, to też nagradzał go honorami szkolnemi. Pracowity uczeń był już kolejno: audytorem, imperatorem, a nareszcie dyktatorem.

Pilnych uczniów robiono audytorami, ci mieli obowiązek przychodzić najwcześniej do szkoły, aby przed nadejściem profesora wysłuchać kilku kolegów z zadanych „pensów“. Pensami nazywano zadaną lekcję z gramatyki łacińskiej.

Imperatorowie zaś mieli obowiązek zebrać od audytorów klasy zapisane uczniom z odpowiedzianych pensów, aby je następnie oddać magistrowi. Imperatorom przysługiwało także prawo zajmowania pierwszych miejsc w ławkach, jakoteż paradowania z laskami przed swoją klasą podczas publicznych procesyj. Dyktator zaś zasiadał w bocznej ławce obok katedry, był to już najwyższy dostojnik w szkole.

Jednej tylko szkolnej godności Adamek żadną miarą przyjąć nie chciał, t. j. godności cenzora. Cenzor bowiem miał obowiązek zapisywać w osobnej książeczce, jak zachowują się koledzy w szkole lub kościele. O uczniach, mających złą notę z obyczajów, należało zawiadomić profesora, który wymierzał winowajcom kary. Adamek, nie chcąc zdradzać i oskarżać kolegów, cenzorem być nie chciał.

Następująca okoliczność wpłynęła najbardziej na Janka, obojętnego dotychczas na wszystko i nakłoniła go do pilności.

Oto pewnego razu podczas nauki szkolnej drzwi od klasy rozwarły się szeroko i wprowadzono do niej

zapłakanego ucznia z innej klasy, w słomianej koronie na głowie, wołając za nim: „Asinus asinorum in saecula saeculorum“ (osioł na wieki wieków).

Oprowadzanie po wszystkich klasach niepoprawnego nieuka było straszną karą, zdarzającą się rzadko, naznaczano ją bowiem tylko w ostateczności.

Zwykle bowiem, gdy jaki próżniaczek dostał się do osłej ławy, to już potem bardzo pilnie przykładął się do nauki, aby uniknąć słomianej korony, a co gorsza, oprowadzania po innych klasach.

Janek, zobaczywszy na jaką to ciężką karę skazany jest leniwy uczeń, zaczął także pilnie przykładać się do książki, nie mógł przecie dorównać Adamkowi, którego kochał serdecznie, a nawet miał dla niego uczucie szacunku. Widział, że Adamek wart więcej od niego, był przecie dyktatorem w szkole.

Razu jednego obudził się Janek wcześniej niż zwykle. Obudziwszy się, powiódł wzrokiem po pokoju i dostrzegł Adamka, czyszczącego właśnie jego buty; oczyściwszy je, zabrał się do butów dyrektora, a następnie do swoich, potem oczyścił suknie dla wszystkich i poukładał je każdemu obok łóżka, następnie pościelił swoje łóżko, a na ostatku zamiótł pokój.

Janek caluteńki ten czas leżał cichutko w łóżku i ogarnęło go jakieś dziwne uczucie, uczucie wstydu.

Czyż to się godzi, aby lepszy i pilniejszy uczeń obsługiwał gorszego? „Jak mogłem godzić się na to tak długo?“ — myślał Janek. „Tak dalej być nie może!“

Kładąc się spać tego wieczora, postanowił nazajutrz wstać wcześniej i zrobić to wszystko, co codzień robił Adamek.

Z myślą swoją przecie nie wygadał się ani przed dyrektorem, ani przed Adamkiem; wiedział bowiem, że ten ostatni nie byłby się zgodził na przyjęcie posługi z jego rąk. Istotnie Janek nie zasnął! Obudził się bardzo wcześniej, zaledwie dzień się zaczynał. Adamek i dyrektor spali w najlepsze. Cichutko wyskoczył z łóżka i wyczyścił najpierw grube buty najwyższego dostojnika szkolnego, a swego najlepszego przyjaciela. Nad nimi zadał sobie najwięcej trudu. Dalej zrobił wszystko to, co wczoraj robił Adamek. Kończył właśnie zamiatać pokój, gdy Adamek się przebudził i ze zdumieniem spostrzegł Janka, kończącego zwykle jego zajęcia.

— Janku, co ty robisz? — zapytał — dlaczego nie śpisz?

— Nie śpię, bo chciałem wyręczyć ciebie. Widziałem, jak do późnej nocy czytałeś się, więc śpij jeszcze, bo nie masz żadnej roboty.

Adamka wzruszyła niezmiernie dobroć Janka, to też spać już nie mógł, lecz pośpiesznie ubierał się, a zmówiwszy pacierz, chciał koniecznie wywdziękzyć się Janekowi, to też zapytał go, czy nie powtórzyłyby razem z nim lekcji. Janek zgodził się chętnie. Pokazało się, że Janek istotnie lekcji dokładnie nie umiał, lecz douczył się jej łatwo przy pomocy przyjaciela. Dziś Janek czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy jeszcze, odkąd wyjechał z domu rodzicielskiego.

Nie ranek jedynie, ale i dzień cały przeszedł mu szczęśliwie. W szkole tak dobrze lekcje umiał, że otrzymał wielką ilość „laudes“.

Nazajutrz rano, gdy Adamek przetarł oczy, zobaczył Janka czyszczącego buty. Wyskoczył szybko z łóżka

i chciał mu odebrać szczotki, mówiąc: — Wszak wczoraj położyłem się spać wcześniej, więc jestem wyspany i mogę porobić wszystko, co do mnie należy.

Janek jednakże nie chciał ustąpić od zaczętej roboty. Przezbywali się długo, wreszcie Janek powiedział: — Prawda! mówiłeś mi nieraz, że chcesz mi być bratem, tymczasem robisz się moim sługą. Na to ja zgodzić się nie mogę, jesteś lepszy odemnie, nie wart jestem twojej obsługi.

— Ja chcę mieć z ciebie brata, a nie sługę — powtarzał uparcie. Po długich targach przyszło do zgody. Każdy codzień miał czyścić swoje suknie, suknie zaś dyrektora naprzemian; naprzemian także mieli sprzątać pokój. Po zawartej ugodzie, Janek powiedział: — Ot tak, to dobrze; podzieliliśmy się zajęciami jak bracia. — Dobrowolną ugodę wykonywali chłopcy sumiennie. Przy robocie nie obeszło się nieraz i bez figlów. Figlowali przecież po ciachu, aby nie obudzić śpiącego dyrektora.

NOTA LINGUAE

Nadchodził koniec miesiąca, a z nim obrachunek z uczniami z otrzymanych pochwał.

W owych bowiem czasach był zwyczaj obliczania wszystkich pochwał, otrzymanych w miesiącu. Zliczano najpierw pochwały jednej, a potem drugiej połowy uczniów w klasie. Połowa, mająca większą ilość pochwał, zasługiwała na miejsce honorowe w klasie, a honorowem miejscem była ta połowa ławek, nad którą wisiała tablica z napisem „Pars romana“ (strona rzymska). Druga połowa uczniów, mająca mniejszą ilość „laudes“, zając miała ławki, nad którymi wisiała tablica z napisem „Pars graeca“

(strona grecka). Jeżeli w przyszłym miesiącu połowa uczniów, siedząca po stronie greckiej, zebrała większą ilość pochwał, to rugowała swoich kolegów ze strony rzymskiej. Wyrugowani musieli wynieść się do ławek mniej honorowych.

Dyktatorowi przysługiwało prawo swoje „laudes“ подарować jednej lub drugiej połowie uczniów. A była to darowizna bardzo pożądana. Dyktator bowiem otrzymywał bardzo wielką ilość pochwał, to też której stronie darował swoje zdobycze, ta była stroną triumfującą.

Dlatego też każda połowa uczniów przed rozpoczęciem obrachunku miesięcznego starała się pozyskać dla siebie dyktatora, znosząc mu rozmaite przysmaki, scyzoryki, zeszyty lub jakie inne fraszki. Jeżeli dyktator był sprzedajny, to drogo kazał swoje „laudes“ zapłacić.

Owóz i do Adamka obie połowy klasy przychodziły z rozmaitemi obietnicami. Adamek jednakże nic przyjąć nie chciał, a obydwom stronom powtarzał, że tym kolegom swoje pochwały daruje, którzy pilnością i przyzwyczajeniem zachowaniem się na to zasłużą.

Dyktator, jak przystało na dostojnika, słowa dotrzymał i swoje „laudes“ darował uczniom pilniejszym, którzy też zasiedli honorowe ławy w klasie; między nimi znajdował się także Janek.

Pokonani zajęli pośledniejsze miejsce, postanowili jednak zwyciężyć w przyszłym miesiącu przeciwników. To też obie strony skwapliwie zapisywały na wiszącej nad niemi tablicy otrzymane pochwały.

Drugi miesiąc nauki szkolnej przeszedł dla obu naszych znajomych mniej szczęśliwie. Najpierw Adamek stracił swoją dyktaturę.

Dostał na jednej lekcji pytanie, na które nie dał dokładnej odpowiedzi. Inny zgłosił się z odpowiedzią lepszą i temu musiał Adamek miejsca swego ustąpić na tak długo, dokąd inny uczeń nie pokona nowego dyktatora lekcją lepiej umianą.

Adamek zatem przeniósł się do ławki, w której siedział Janek, bo chociaż utracił najwyższą godność dyktatora, to pozostała mu godność o stopień niższa, imperatora; miał zatem prawo siedzenia w pierwszych ławkach. Utracenie godności dyktatora było wprawdzie przykrością, ale przykrością mniejszą w porównaniu do tego, co nastąpiło wkrótce. Rzecz się tak miała:

W owych czasach w szkołach najważniejszym przedmiotem była nauka łaciny. Aby uczniowie nabywali wprawy w wyrażaniu się po łacinie, nakazano im w tym tylko języku rozmawiać ze sobą. Gdy który z uczniów, zamiast po łacinie, przemówił po polsku, dostawał deszczułkę wielkości i kształtu ćwiartki papieru, nazwaną „Nota linguae“ (to znaczy znak z języka). Na deszczułce tej były dwie litery: N. L. Pierwszy uczeń, który otrzymał nieszczęsną Notę, miał ją przy sobie tak długo, dopokąd który z kolegów, zapomniawszy się, nie przemówił po polsku, zamiast po łacinie, a wówczas oddawał ją temu, który mówił zakazanym językiem. Otóż ta Nota w jednym dniu obiegała całą klasę. Profesor pytał o nią tylko dwa razy na dzień, t. j. rano, przed rozpoczęciem nauki i po południu. Uczeń, u którego znalazła się Nota, odbierał karę. Ten, u którego była przez południe, dostawał kilka placent w rękę, ten zaś, u którego była przez noc, dostawał plagi dyscypliną.

Owóż zdarzyło się, że Nota Linguae przenocowała u Janka. Gdy nazajutrz magister zapytał o nią, Janek

stał się błądy jak ściana, drżał jak we febrze, nie miał siły, czy odwagi wyjąć noty z kieszeni i oddać ją magistrowi. Adamek, spostrzegłszy bladość Janka, szybkim ruchem ręki wydobyl z kieszeni przestraszonego chłopca sterczącą Notę i nim Janek to spostrzegł, położył ją na katedrze przed magistrem.

Naturalnie, winowajca musiał ponieść karę, wiedział o tem Adamek, to też nie namyślając się długo, poszedł w stronę pieca, gdzie w szerokim zapiecku, zasłoniętym od strony klasy, stała ławka i wisiała dyscyplina.

Za Adamkiem ruszył kalafaktor*) i wymierzył mniemanemu winowajcy pięć plag. Każda plaga, spadająca na niewinnego Adamka, dotykała Janka tak, że zdawało mu się, iż spada na niego rozżarzone żelazo, bladeł też i czerwieniał naprzemian. A gdy Adamek powrócił i zajął miejsce obok, Janek nie śmiał na niego podnieść oczów.

Reszta uczniów w klasie zdumiała się na widok takiego poświęcenia. Zdumienie pozamykało malcom usta.

Cicho i spokojnie przeszła godzina.

Zaledwie jednakże drzwi zamknęły się za wychodzącym z klasy magistrem, Janek, błądy jak chusta, rzuca się na szyję przyjaciela i mówi głosem łez pełnym: Adamku, ty się mną brzydzić musisz! Kocham cię — odpowiedział chłopiec.

Słowa te wprawiły Janka w uniesienie radośne. Śmiał się, to płakał, całował Adamka po rękach, twarzy i szyi.

*) Kalafaktorami nazywano studentów, którzy dla słabych zdolności po kilka lat siedzieli w jednej klasie. Byli to zazwyczaj biedacy, którym ojcowie jezuici dawali u siebie przytułek, oni zato sprząтали w klasach, palili w piecach i wymierzali kary kolegom.

— Uspokój się! Obetrzyj łzy! nie jesteś dzieckiem przecież — mówił Adamek.

— Uspokoję się — rzekł Janek — wtedy, gdy po-
wiem profesorowi u kogo znajdowała się Nota.

Całej scenie przypatrywali się koledzy. Dla Adamka powzięli uczucie szacunku, a i Jankiem nie mogli pogardzić, usłyszawszy, że chce złe naprawić oskarżeniem się przed profesorem.

Na to jednakże nie chciał zezwolić Adamek, a i inni koledzy odradzali.

— Plag Adamkowi przez to nie odejmiesz — powiedział jeden.

Nadszedł drugi magister; Adamek bojąc się, aby Janek nie zechciał przed nim skargi na siebie wytoczyć, trzymał go za drobną, rozpaloną rękę, która jak w febrze drżała w dużej dłoni przyjaciela.

Nazajutrz przypadał dzień rekreacji. Dni takich bywało dwa w tygodniu, wtedy, gdy nie było jakiego święta. Dzień świąteczny odbierał studentom dzień przeznaczony na rekreację. W dzień rekreacji po wyuczeniu się lekcji i po napisaniu zadań, wychodzili uczniowie razem z dyrektorami i profesorami za miasto, aby swobodnie pobawić się piłką lub palcatem. Piłka nie była podobną do dzisiejszej, była ona zrobiona z nici lub bawełny, nawiniętej na chrząstkę rybią lub cielecą, z wierzchu była ob-
szyta skórą.

Palcaty, były to poprostu kije, któremi pojedynkowali się chłopcy niby pałaszami.

Była to najulubieńsza zabawa chłopców. Przerywali ją wtedy dopiero, gdy już nie stawało im sił do dalszej zabawy.

Nasi mali przyjaciele lubili bardzo wycieczki rekreacyjne. Dziś jednakże Janek oświadczył, że nie pójdzie razem z kolegami, chce bowiem napisać list do matki. Adamek także wyjść nie chciał, lecz ulegając prośbom Janka, poszedł. Podczas gdy koledzy Janka biegali wesoło za piłką, lub bili się palcatami, w czym celował Adamek, mały pieścuch pisał list do matki. List rozpoczął od słów następujących: „Najdroższa Mamo! Jakkolwiek czuję, że zmarwię Cię tem, co napiszę, lecz sumienie nie pozwala mi milczeć, muszę powiedzieć droga Mamo, że podłego masz syna“. Po tych słowach następował opis znanego nam wydarzenia z Notą. „Wszak prawda, kończył Janek, że podły tchórz ze mnie? Dopuściłem, aby karany był niewinny!“

Po napisaniu listu zrobiło się Jankowi lepiej; oskarżył się przynajmniej przed rodzicami. W Warszawie był właśnie żyd, arendarz pana Gwiazdowskiego, przez niego też Janek posłał list matce. W kilka dni potem przez umyślnego posłańca nadeszła odpowiedź. Ale oprócz listu od matki był tam przypisek ojca. Janek, czytając takowy, bladł i czerwieniał, wreszcie nie mogąc ze wzruszenia przemówić ni słowa, podał list Adamkowi. W przypisku było, co następuje: „Czytałem list Twój do matki, a widząc z niego, że jesteś bardzo strapiiony, piszę do Ciebie. Janku miły, nie jesteś podłym, jak to napisałeś matce, nie jesteś, skoro potrafiłeś osądzić surowo swój czyn. Gdybyś po przykrem wydarzeniu nie uczuł całej grozy czynu, spowodowanego tchórzostwem, to z bolem serca musiałbym cię podłym nazwać. Bogu najwyższemu niech będzie chwala, że stało się inaczej. Przekonuję się z listu Twego, że przestajesz być dzieckiem rozpieszczonym,

a zaczynasz być człowiekiem, więc jak do rozumnego człowieka przemawiam: Pamiętaj, aby przebyta boleść była dla Ciebie lekarstwem na rozpieszczenie, które czyni człowieka nikczemnym tchórzem, nie umiejącym znieść żadnej boleści. Ze strachu można zaniedbać powinności swojej, można odstąpić sprawy najświętszej. Czułbym się szczęśliwym, gdybyś stał się podobnym do szlachetnego Adamka, którego razem z Tobą do mego ojcowskiego serca przyciskam“.

Gdy Adamek skończył czytanie, Janek z płaczem padł mu w objęcia. Adamek oddał mu uścisk serdeczny, lecz skarcił łzy.

— Ludzie rozsądni, mężczyźni, nie płaczą tak ciągle, tak robią tylko mazgaje, a ojciec twój chciałby widzieć ciebie zuchem.

— A cóż zrobić, jeżeli łzy gwałtem płyną do oczu? — zapytał biedny Janek.

— Walczyć z nimi i nie pozwolić im tak płynąć ciągle. O, mnie nieraz także płakaćby się chciało, ale się wstrzymuję. Popróbuj Janku, popróbuj.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Mali przyjaciele uczyli się tak pilnie, że zjednali sobie u profesorów i kolegów sławę najlepszych uczniów w klasie.

Adamek kilkakrotnie był dyktatorem, a nawet Janek pilnością zdobył sobie tę zaszczytną godność, powoli zmienił się nie do poznania, z mazgaja stawał się zuchem. Czasami, gdy mu się na płacz zbierało, to spoglądał na swego zuchowatego przyjaciela i łzy pozostawały za powiekami.

Zbliżał się dzień św. Ignacego. Dzień bardzo niecierpliwie oczekiwany przez studentów, bo dnia tego roz-

poczynają się wakacje. Przed wakacjami czekała studentów miła rozrywka, były to tak zwane dialogi.

Dialogi, były to przedstawienia na podobieństwo przedstawień teatralnych. Odgrywali je studenci z klas wyższych w zwykłych swoich ubraniach. Dialogi bowiem ułożone były wierszami lub prozą przez profesorów, a treść tychże była stosowną dla młodzieży. Czasami dialogi owe przeplatane bywały muzyką i śpiewami, zatem wypadało z roli, aby studenci grali na rozmaitych instrumentach muzycznych, ale, że grać nie umieli, więc trzymali je tylko w rękach, udając grających. Muzyka prawdziwa ukrytą była. Jeżeli wypadało, aby muzyka grać przestała, dawano znać muzykantom. Czasami muzykant znaku nie spostrzegł i grał jeszcze, gdy student, udający grającego, już swój instrument odłożył. Wypadek taki nie psuł zabawy. Wywoływał tylko objawy wesołości.

Po dialogach i klasyfikacji, gdy studenci mieli wyjeżdżać do domów na wakacje, zdarzył się wypadek, który wywarł nader przykre wrażenie na naszych znajomych.

Oto chłopcy postanowili obić cenzora.

Już zmówili się wszyscy, wpadli do izby, w której siedział cenzor i wszyscy w groźnych postawach, z pięściami ściśniętymi szli ku niemu.

Wśród tych chłopców brakowało tylko kilku kolegów, a między nimi Adamka i Janka. Adamek stanowczo nie chciał wziąć udziału w tym napadzie.

— On nic nie winien — mówił — on spełnił tylko rozkaz profesorów.

Lecz chłopcy nie zważali na słowa Adamka i napadli cenzora.

Biedny cenzor, zobaczywszy całą zgrają przeciwko sobie, zerwał się od stolika, przy którym siedział, wyskoczył nań, porwał stołek do ręki i zaczął nim wywijać.

I kto wie, co by się stało, gdyby w tej chwili nie wszedł do owej izby Adamek. Stał między cenzorem a napastnikami, bez żadnej broni w rękach i zawołał śmiało:

— Każdy z was był choć raz w roku cenzorem, a dziś napadacie na niego, dlatego, że on był nim na ostatku. Kto chce go uderzyć, musi wprzód mnie pokonać, bo go będę mojami piersiami zasłaniał.

Cofnęli się malcy, nikt nie śmiał wystąpić przeciw Adamkowi, gdyż on w ciągu całego roku nikomu nie wyrządził krzywdy — i sam jeden nigdy nie chciał być cenzorem.

Opuszczono tedy ręce i tak, dzięki szlachetności, Adamka, nie przyszło do bójki.

Gdy się już chłopcy uspokoili, wszyscy przyznali słusność Adamkowi.

Zamiast bójki, wyprawiono wesołą pożegnalną ucztę, wszyscy koledzy złożyli się, nakupili łakoci i bawili się wesoło, nie wyłączając cenzora — a bohaterem tej zabawy był Adamek, którego jeszcze bardziej wszyscy pokochali.

Nazajutrz wszyscy rozjechali się do domów.

Adamek i Janek, jakkolwiek cieszyli się niezmiernie na wakacje, to przecie przykro im było, że na czas odpoczynku rozłączają się ze sobą, Adamek bowiem miał wakacje przepędzić w domu rodzicielskim.

Żegnając się, pocieszali się tą myślą, że po wakacjach znowu dalej wspólnie pracować będą.

DZIECI KSIĘCIA GENERAŁA

KSIĄŻĘ GENERAL

Książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, był ciotecznym bratem króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Na ostatniej elekcji obaj bracia byli kandydatami do korony polskiej, obydwaj mieli licznych stronników, ale że książę Adam pragnął jedynie dobra kraju, a nie wysokich dostojęństw dla siebie, nie chciał wszczynać niezgody przy elekcji, więc ustąpił korony bratu ciotecznemu, a nawet swoich wpływów użył, aby kandydaturę Stanisława Poniatowskiego popierać. Gdy Stanisław August Poniatowski zasiadł na tronie Piastów i Jagiellonów, książę Czartoryski pracował wytrwale i skutecznie dla dobra kraju.

Trudno w tem miejscu mówić o wszystkich zasługach zacnego męża, wspomnę więc jedynie o tem, co was, młodzi Czytelnicy, najbardziej obchodzić może, to jest o pracach księcia, podjętych dla kształcenia młodzieży.

Książę był komendantem szkoły rycerskiej w Warszawie. Dla uczniów tej szkoły ułożył t. zw. katechizm kadecki, z którego uczyli się młodzieńcy obowiązków względem kraju. Uczniami tej szkoły rycerskiej byli, mię-

dzy innymi: Kościuszko, Niemcewicz, Madaliński, Mokronowski, Wodzicki.

Nazwiska mężów zasłużonych, którzy z niej wyszli, najwymowniej świadczą, jaka była szkoła, którą kierował książę generał; prócz tego był on członkiem wiekopomnej komisji edukacyjnej, która dokonała reformy wychowania publicznego u nas; zajmował się gorliwie rozwojem szkół na Rusi i Litwie. Wysyłał za granicę zdolniejszych uczniów, aby ich wykształcić na dobrych nauczycieli. Sprowadzał także znakomitych uczonych cudzoziemców. To też wkrótce zakwitły szkoły, powierzone pieczy księcia.

Książę generał posiadał rozległe dobra; najchętniej przebywał z rodziną w Puławach, położonych nad Wisłą, o kilkanaście mil od Warszawy. Tu, u siebie, był jak gdyby drugim królem. Siedziba w Puławach była tak wspaniała, że mogła uchodzić za królewską. Książę generał miał rozliczne stosunki w kraju, liczny dwór, wśród którego znajdowali się uczeni i poeci — był bowiem sam wysoko ukształcony, to też lubił otaczać się ludźmi znakomitymi, wspierać młode talenta i opieką swoją zachęcać do prac uczonych. W Puławach przebywali też chwilowo lub przez dłuższy czas prawie wszyscy najznakomitsi polscy uczeni owego czasu.

W rozległym parku Puławskim zbudowano z polecenia księżny dwa gmachy, jeden zwany świątynią Sybilli, drugi gmachem gotyckim.

Urządzeniem obu budynków zajmowała się księżna generałowa. W świątyni Sybilli gromadziła cenne starożytności polskie, w gmachu gotyckim pamiątki po wielkich ludziach — lubiła także bardzo zajmować się swemi ogrodami, które słynęły z piękności.

ADAŚ WINOWAJCA

— Któż mi zrobił tak wielką szkodę? — zawołała z zalem w głosie księżna generałowa, zatrzymując się przed krzakiem złamanej róży. Pytanie to zwróciła księżna do bawiącego się w ogrodzie synka, siedmioletniego Adasia. Adaś przed chwilą właśnie złamał różę, spostrzegłszy jednak, że jego psota zrobiła wielką przykrość matce, nie miał odwagi przyznać się do winy; stał zakłopotany, a gdy matka pytanie powtórzyła, Adaś, po krótkim wahaniu, wskazał ręką przechodzącego ogrodniczka i rzekł głosem niepewnym:

— Pewno on złamał różę.

Malec snuć nie nawykł do zmyślania, bo wykrztusiwszy z siebie fałszywe oskarżenie, zaczerwienił się wyżej uszów i spuścił oczy ku ziemi.

Księżna patrzyła uważnie na Adasia, to też odrazu odgadła, kto był winowajcą. Pomimo to Adaś nie odebrał zaraz zasłużonej kary: matka w milczeniu zwróciła się ku oskarżonemu ogrodniczkowi i skinąwszy na niego, odeszła do pałacu błękitnego. (Tak zwano pałac księstwa w Warszawie).

Adaś, wkrótce zapomniawszy całej przygody, bawił się swobodnie w ogrodzie.

Naraz od strony dziedzińca ozwał się głośny lament. Lamentujący skarżył się rzewnie:

— Co ja pocznę, biedny sierota! Oj, dola moja, dola nieszczęśliwa!

Adaś miał dobre serce, cudze zmartwienie zaniepokoiło go, nie mógł się już dalej bawić, lecz pobiegł ku

dziedzińcowi. Tu ujrzał lamentującego ogrodniczka, tego właśnie, na którego był złożył swoją winę — poznał go odrazu, pomimo, że ogrodniczek już nie miał na sobie swej pięknej liberji, lecz okryty był łachmanami.

— Co ci się stało? — zawołał, w przykry sposób dotknięty, Adaś.

— Księżna pani wypędziła mnie — odpowiedział, łkając, ogrodniczek.

— Za co wypędziła cię mama? — pytał, mocno zaniepokojony, Adaś.

— Księżna pani powiada — mówił ogrodniczek głosem przerywanym łkaniem — że zrobiłem w ogrodzie szkodę, że zламаłem różę, a ja, jako żywo, tego nie zrobiłem!

Adaś, słuchając słów ogrodniczka, bladł i czerwieniał, sumienie wyrzucało mu krzywdę, wyrządzoną niewinnemu chłopcu, pozbawionemu w jednej chwili kawałka chleba i dachu nad głową.

Gdy Adaś kłamstwem uwalniał się od kary, nie pomyślał nawet, jakie nieszczęście zgotował niewinnemu chłopcu, nie zastanowił się wleady, że jego nierozważny i nieuczciwy postępek będzie miał tak poważne następstwa.

Stał teraz jak skamieniały.

— Co się mamie stało? — myślał zmartwiony dzieciak — ona tak dobra, tak wyrozumiała dla służby! Po-błażliwsza dla niej, niż dla nas, dzieci, a dziś tak surowo ukarała ogrodniczka za taką drobnostkę!

Podczas gdy Adasiowi plątały się po skłopotanej głowie powyższe myśli, podczas gdy daremnie biedził się nad wyjaśnieniem niezwyklej surowości matki, ogrodniczek szlochał i wyrzekał.

Łzy niewinnego chłopca padały kamieniem na serce Adasia, stał chwilę niepewny co począć, wreszcie zwrócił się do płaczącego i rzekł głosem, nabrzmiałym współczuciem:

— Cicho, nie płacz! poczekaj chwilkę, pójde do mamy, a zobaczysz, że cię nie wypędzi.

— To się na nic nie zda, księżna pani taka rozgniewana — mówił ogrodniczek — boję się zostać, wolę odejść odrazu.

— Nie odchodź! — zawołał Adaś głosem błagalnym, składając ręce jak do modlitwy. — Nie odejdiesz? prawda, póki nie wrócę...

— No, to już zostanę, kiedy tak panicz chce tego. Adaś pobiegł w głąb pałacu — wkrótce odszukał matkę, przybliżył się do niej i głosem drżącym prosił:

— Mamo! nie wypędzaj ogrodniczka...

— Chłopiec, tak niezgrabny, na nic nie zda się w ogrodzie! — odpowiedziała księżna — zламаł mi najpiękniejszy krzak róży.

— To nie on! — rzekł cichutko Adaś.

— Nie on? — spytała niby zdziwiona księżna — wszakże przed chwilą powiedziałeś, że to ogrodniczek zламаł różę.

— Wtedy... mówiłem nieprawdę... bo nie ogrodniczek, lecz ja sam zrobiłem szkodę w ogrodzie, z obawy kary — skłamałem!

Słowa powyższe z trudnością wydobywały się chłopcu z gardła, wiele go kosztowało to przyznanie się do tak upokarzającego, jak kłamstwo, występku; o ileż lżej byłoby było przyznać się do złamania róży odrazu! ale pamięć o łzach ogrodniczka dodała mu odwagi:

— Mnie ukarz, mamó — dokończył z głośnem łkaniem — ale tego biednego chłopca nie oddalaj, bo on nic nie winien!

Oczywiście prośba Adasia została wysłuchana i ogrodniczka nie wypędzono.

Powiem wam jednak pod sekretem, że ogrodnikowi nawet nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Księżna generałowa bowiem odrazu wiedziała dobrze, kto zawinił. Udała więc tylko zagniewanie na ogrodniczka, aby ukarać Adasia za kłamstwo i przekonać go, że fałszywem oskarżeniem wyrządził krzywdę człowiekowi niewinnemu. Rozumna matka знаła o tyle serduszko swego syna, aby wiedzieć, że sprawi mu to boleść prawdziwą i stanie się nauką na przyszłość; urządziła rzecz więc całą w ten sposób, aby synkowi dać możność naprawienia — choć przez kosztujące go wiele wyznanie — złego, które popełnił nie ze złego serca, ale raczej przez lekkomyślność. Od tego też czasu Adaś zastanawiał się uważnie nad swemi czynami i słowami, szedł we wszystkim za głosem prawdy, to też krzywda żadna nie zaciążyła na jego sumieniu.

II

W PODRÓŻY

Jeżeli powtórnie chcemy ujrzyć Adasia, to musimy spojrzeć na drogę wiodącą z Puław, rezydencji księstwa Czartoryskich.

Z przed pałacu rusza właśnie olbrzymi orszak. Książę Czartoryski, generał ziem południowych, wybrał się w drogę z synami i liczny orszak; chce oglądać dobra swoje

na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, odziedziczone po śmierci ojca, Augusta Czartoryskiego, wojewody ruskiego.

W liczny orszak trudno nam nawet odszukać Adasia i jego młodszego brata, Konstantego — orszak jest bowiem olbrzymi.

Pochód otwierają siedmiokonne kryte bryki: jest ich ilość niestłuchana, bo aż ośmnaście, dozoruja ich podkoniuszy i ułani. W tych pakownych brykach nie znajdziemy pacholąt książęcych: w nich bowiem pomieszczono sprzęt kuchenny, cukierniczy i spiżarniany, pościel, suknie i bieliznę. Za brykami masztalerze na koniach, poprzebierani po turecku, prowadzą obwieszane brzękadłami wielbłądy, które dźwigają rozmaitej barwy, wielkości i kształtu namioty. Za wielbłędami prowadzą wielką ilość podwodowych koni; za niemi, w pewnej odległości, toczą się liczne karety. Tu dopiero w jednej dostrzegamy księcia generała z sekretarzem swym, Julianem Ursynem Niemcewiczem, w innej zaś ujrzymy Adasia i Konstantego, z pułkownikiem Ciesielskim, nauczycielem chłopców. Dalej toczy się jeszcze mnóstwo powozów, napełnionych dworem i przyjaciółmi księcia; są to wojskowi z litewskiego wojska, sekretarze, domownicy, rezydenci, adjutanci; szlacheckiego pochodzenia pokojowcy, w zielonych kurtkach, z szablą przy boku, z łukiem i sajdakiem na plecach — są tu jeszcze z węgierska i z francuska poubierani żołnierze, wielkiego wzrostu hajduty, mali paziowie. Wśród jeźdźców uwija się na koniu, przeznaczony do podawania fajek, murzyn i jego towarzysz, przywieziony z Konstantynopola, Turek Ali. Za orszakiem księcia toczą się jeszcze szeregi rozmaitego rodzaju pojazdów, bryczek, półkrytków, należących do dążącego za księciem obywatelstwa.

Prawda, że zdumieć się można nad olbrzymim orszakiem. A przecież nie jest on jeszcze cały. Dniem wpięć wyjechał już dworzanin spełniający obowiązki *stanowiczego*. Miał on upatrywać, zamawiać i urządzać naprzód mieszkanie dla nadjeżdżającego na popas lub nocleg dworu książęcego.

Podczas gdy dostojni podróżni wypoczywali, służba krzątała się koło przyrządzania przekąski, dobywała z bryk naczynia i zapasy spiżarniane, porcelanę, szkło, srebro i zastawiała w karczmie stół, do którego zasiadał książę z gośćmi i dworem.

Podróż odbywała się powoli, robiono dziennie 4 do 5 mil. Z noclegu najczęściej wyjeżdżał książę konno, gdy się zmęczył, mógł usiąść do przygotowanego lekkiego pojazdu, zwanego koczykiem. Gdy pochód zbliżał się do miast lub rezydencyj wielkich panów, książę wsiadał do poszóstnej karety, otoczonej hajdukami, z furmanem w bogatej polskiej ferezji. Na powitanie księcia, członka komisji edukacyjnej, występowali wszędzie w miastach studenci z powitalnymi mowami. Po drodze wstępował książę do przyjaciół, a potem najczęściej wszystkich z sobą zabierał i podejmował swym kosztem, póki tylko towarzyszyć mu chcieli.

W ten sposób, w miarę jak książę oddalał się z Puław, rósł jego orszak szybko, zdumiewając przejezdnych i przechodniów.

Gdy olbrzymi tabor wjechał na Wołyń, zawrzał nowym życiem, powiększył się licznym poczem kozaków granowskich, wysłanych na powitanie księcia z dóbr jego.

Cóż zatem dziwnego, że w Mikołajowie nie było dość domów do pomieszczenia liczego dworu księcia? Poradzono sobie jednak, rozbijając namioty.

Obszerny namiot karmazynowy, z adamaszku, przeznaczono dla najdostojniejszych gości, mniej wytworne i szczuplejsze dla domowników i służby. Tabor zamienił się w jednej chwili na obóz. Kozacy pełnili wartę, rozniecono ognisko, dla żartu rozdano hasła. Chłopców się zdawało, że są w prawdziwym obozie. Cieszyli się i radowali, że mają jakby przedsmak życia obozowego, choć obozowi temu brakło grozy pobliza nieprzyjaciół. Radość dzieci nasunęła komuś myśl zabawienia się dla nich w wojnę. W Międzyborzu zbudowano naprędce fortecę, a podzieliwszy na dwie części różnej broni żołnierzy, znajdujących się w orszaku księcia, urządzono szturm. W zbudowanej naprędce fortecy zamknął się z jedną częścią wojska nauczyciel książąt, Ciesielski, razem z młodszym bratem Adasia, Konstantym. Adaś zaś, jako adiutant pułkownika Molskiego, domownika Puław, miał na czele drugiej połowy wojska zdobywać twierdzę.

Mały książę Konstanty przypatrywał się ciekawie z fortecy przygotowaniom do szturmów; zabawa ta sprawiała mu wiele przyjemności, jakkolwiek chwilami zdawało się malcowi, że to nie zabawa, lecz wojna prawdziwa; w chwilach takich doznawał przykrego wrażenia trwogi. Bo oto paszcze dział zwracają się ku twierdzy, wojownicy w zwartych szeregach, najeżonych palną bronią, sciskają niby obręczą, zamkniętych w twierdzy wojowników. Mały Kosuś mimowoli przełękłymi oczami wpatrywał się w nieprzyjaciela. Naraz, w miejsce trwogi, radosny uśmiech ukazuje się na twarzy dziecka: Oto pacholę książęce spo-

strzeżę, że przeciwnikami dowodzi brat jego starszy, Adaś. Dopiero ten widok przypomniat Kostusiowi, że nie znajduje się na prawdziwej wojnie i widzi przed sobą swoich, a nie wrogów, wykrzyknął wesoło:

— O, tam, tam! na czele, harcuje Adaś na kucyku!

Tymczasem udany bój toczy się na dobre, z obu stron polykają się walecznie — lecz pora już spóźniona, zbliża się godzina posiłku na popasie — obłączonym grozi głód, więc, pomimo odwagi, muszą się poddać.

— Czeka nas niewola! — mówi do Kostusia z udanym niepokojem pułkownik Ciesielski. Konstanty jednak nie podziela troski nauczyciela: wie przecież, że Adaś krzywdy im nie robi.

Naraz zwycięzcy wchodzą do zdobytej twierdzy. Adaś każe wiązać jeńców, a w pierwszym rzędzie pułkownika Ciesielskiego i młodszego brata.

— Adasiu! już zabawa skończona, po co nas wiązać każesz? — woła znowu stropiony Kostuś.

— Ja się nie bawię — odpowiada bardzo poważnie Adaś — jesteście mymi jeńcami i zaprowadzę was do niewoli.

Powiązano zatem jeńców, pomimo, że się to księciu Konstantemu nie podobało.

Adaś kazał więźniów prowadzić za sobą... nie do więzienia jednak, tylko do stołu, na którym zastawiono dla głodnych doskonały posiłek!

Z takiego zakończenia bitwy bardzo był zadowolony mały książę Konstanty, wygłodził się bowiem w twierdzy, a powrozy, dotąd krępujące mu ręce, jakkolwiek nałożone z rozkazu brata, niepokoiły małego wojownika.

Uczta przeszła wesoło, opowiadano sobie rozmaite przygody, które miały miejsce podczas oblężenia i szturm

TERENIA I MARYCHNA

Poznawszy synów księcia generała, zapewne radziłyście poznać jego córki, Terenię i Marychnę. Chcąc poznać dziewczynki, pójdziemy do Powązek, leżących nieopodal Warszawy. Tu urządziła sobie księżna generałowa mieszkanie na lato. Chodźcie, a nie pożałujecie trudu, ujrzycie prawdziwe cuda.

Spostrzeżecie tu chatki wieśniacze, zbudowane z nieociosanych krąglaków, pokryte słomą lub trzcina; a jednak wyglądają one jakoś inaczej od chat zwykłych, pomimo swojej prostoty, robią wrażenie prawdziwych pieścidełek; wszystkie zbudowane na rozległej równinie, okolonej z jednej strony gajem, z drugiej obszernym stawem. W stawie bierze swój początek strumyk, rozlewający kryształową wodę po całej równinie. Pomimo kręcącej się tu i ówdzie rzeczki, dolinę można przejść z końca w koniec, bo misterne mostki, zbudowane z kłoców i gałęzi, przerzucone są wpoprzek rzeki. Krętymi ścieżkami, wijącymi się wśród cudownej zieleni traw, możemy zbliżyć się do chat, pieścidełek: przed każdą jest mały ogródek, wyglądający jak istny bukiet kwiatów; w ogródkach ujrzymy ogrodniczki, odziane powiewnymi sukienkami — główki ich pokrywają słomiane kapelusze, opasane błękitną lub różową wstążką. Prócz ogrodniczek ujrzymy tu także nadobne pasterki, pasące śnieżnej białości owieczki, pobrzękujące dzwoneczkami, zawieszonymi na ich szyjach.

Pasterki te i ogrodniczki mieszkają w swych malowniczych chatkach, zbudowanych w malowniczej równinie, a pasterkami i ogrodniczkami naprzemian są

obie księżniczki i ich towarzyszek nauk i zabaw, panny Narbutówny.

Gdy cudowna wiosna zmienia ziemię w istny raj, księżna generałowa ucieka z dziećmi z pałacu Błękitnego w Warszawie do pobliskich Powązek. Spójrzcie! oto księżna siedzi przed swoją chatką z książką w ręku, nad drzwiami chatki, zamiast mitry książęcej, wymalowano kurę z kurczętami. Bo też i księżna sama, na podobieństwo kokoszy, czuwa nad swoją działwą, bujającą swobodnie w pięknym ustroniu. Księżna jednak nie tylko nad swoją chatą umieścić kazała godło. Nad drzwiami chatki księżniczki Tereni umieszczono kosz białych róż z napisem „Dobroć“. Księżniczce Marychnie wymalowano nad drzwiami chatki ziębę z napisem „Wesołość“. Obie panny Narbutówny miały także osobne chatki zaopatrzone stosownymi godłami.

— Marychno! skończyłaś już robotę w swoim ogródku? — zawołała księżniczka Terenia, zabierając grabie i łopatę, którymi porządkowała coś u siebie.

— Za chwileczkę będę gotowa — odpowiedziała Marychna, polewając kwiaty.

— Pospiesz się! gdy skończysz, przyjdź do ogródka Adasiowego, zrobimy w nim porządek; on nie może zajmować się swoim ogródkiem, bo pan Ciesielski nie pozwala mu na stałe przebywać tu z nami w Powązkach, a gdy przyjedzie z Warszawy na jaką godzinkę, to lepiej żeby pobawił się z nami, niż brał się do roboty w ogrodzie.

— Dobrze! paradnie! biegnę, lecę! a to zrobimy Adasiowi niespodziankę! — wołała księżniczka Marychna, zbierając pospiesznie narzędzia ogrodnicze i biegnąc

w stronę chaty Adasiowej, która jako godło miała wymalowaną gałązkę dębu z napisem „Stałość“.

Za chwilę rozpoczęła się żwawa krętanina w ogródku Adasia. Obie księżniczki i obie Narbutówny pracowały, plewiły i polewały kwiaty, to też nic dziwnego, że prawie w okamgnieniu ogródek wyglądał prześlicznie. Gdy pomęczone ogrodniczki przypatrywały się swemu dziełu, zadzwoniono. Dzwonek zwoływał mieszkańców chat na wspólny obiad, który przywożono w koszach na osiołkach z Warszawy.

Ogrodniczki, umywszy pobrukane ręczki w strumyku, biegły do chaty pani Wolskiej, gospodyni całej wiejskiej osady. Nad jej chatą umieszczono także godło: był to ul z napisem: „Pracowitość“.

W chacie urządzono wykwintnie pokój jadalny, w którym też zebrana drużyna księżnej generałowej zjadła z apetytem obiad.

Ku wieczorowi nadjechali konno Adaś z panem Ciesielskim, to też bawiono się wesoło. Domyślcie się, że Adaś wdzięczny był siostrze za niespodziankę, jaką mu zrobiły, zając się szczerze jego ogródkiem. Adaś byłby wolał całe lato zostać w Powązkach, lecz sprzeciwiał się temu pan Ciesielski.

— Tu nie znaleźlibyśmy czasu na naukę — mówił.

Ale że dziś sobota, zatem Adaś do Warszawy nie odjedzie, w niedzielę nauki niema, można będzie dzień cały pobujać w Powązkach.

Że jednak pan Ciesielski chaty swojej tu nie miał, więc rozbito dla niego osobny namiot koło chaty Adasia, w którym też urządzono naprędce doskonały pokój sypialny. Wszyscy stali mieszkańcy Powązek sypiali

w swoich własnych chatach. Służba zaś mieściła się w osobnych budynkach, naśladujących starożytne budowle rzymskie, a ukryte wśród zieleni drzew.

Ciche wiejskie rozrywki w Powązkach, przerywał niekiedy tłum zaproszonych z Warszawy gości; czasem nawet król przyjeżdżał. Zabawa wtedy bywała nader urozmaicona. Układano np. żywe obrazy. Raz na szerokiej łące pod olszyną, widzowie ujrzeli pokój Chocimski. Lubomirski obejmował dowództwo nad wojskiem po śmierci Chodkiewicza i podpisywał z baszą tureckim warunki pokoju; obydwóch, paszę i hetmana otaczały hufce w polskich i tureckich strojach. Za nadejściem nocy, zapalono tysiące świateł nad wodą i na mostach; świetnej iluminacji towarzyszyła wyborowa muzyka i uroczą zabawą przeciągała się do późna.

Jeżeli świetne uroczystości sprawiały przyjemność starszym, to dzieci cieszyły się nimi stokroć więcej. Żywe obrazy, w których ukazywano piękne, podniosłe chwile z naszych dziejów, najczęściej zajmowały malców, żyły one w ich pamięci i sercach, czyny naddziadów obudzały ochotę wstąpienia na drogę wiodącą do zasług i sławy.

IV

PULAWY

Poznawszy kilka chwil z życia dzieci księcia generała, może pragnęlibyście być na ich miejscu, używać rozrywek wśród dostatków i przepychu. Mylilibyście się jednak, gdybyście sądzili, że życie książęcych dzieci upływało bez trosk i ciężkich nieszczęść.

Troska i nieszczęście, to są goście, zaglądający często nie tylko pod ubogą strzechę, nie tylko do domów możnych, ale i do pałaców urządzonych z przepychem.

Rodzina księcia generała nie stanowiła pod tym względem wyjątku, jak się o tem zaraz przekonacie.

Oto, gdy lato się skończyło, a jesienny wiatr dmuchał chłodem do malowanych chat w Powązkach, drużyna księżnej generałowej musiała z żalem pożegnać miłe ustronie i przenieść się do „Błękitnego pałacu“, który chronił doskonale od podmuchów jesiennych.

W obszernych, wspaniałych salonach Błękitnego pałacu jasno było i ciepło. Na przepysznych kominkach płonął ogień wesoło, to też można tu było zapomnieć o mroźnej zimie...

Pewnego razu księżniczka Teresa zbliżyła się do kominka tak nieostroźnie, że powiewna jej suknia zapaliła się w jednej chwili. Prerażona dziewczynka poczęła uciekać i wołać o pomoc. Śród pośpiesznego biegu płomienie otoczyły nieszczęśliwą, a nim zdołano dać jej pomoc, odniosła tak silne rany, że po kilku dniach męczarni umarła!

Możecie wyobrazić sobie, jakim ten nieszczęśliwy wypadek ciężkim był ciosem dla rodziny książęcej. Miejsce wesołych zabaw i wspaniałych uroczystości zajął smutek i żaloba. Nawet owe ulubione Powązki nie nęciły ku sobie, przypominały bowiem na każdym kroku nieszczęśliwą księżniczkę Teresę.

Przeszła też księżna z rodziną bywać w Powązkach, przeniesiono się do Puław, cudownie pięknego miejsca, położonego nad Wisłą w odległości 18 mil od Warszawy. Tu jednakże księżna nie zapomniała utraconej, ukochanej

córki: rocznicę jej śmierci obchodziła zawsze dobrym uczynkiem.

Przejdziemy razem z rodziną książęcą do Puław. Spójrzymy w głąb pałacu przez otwarte okno, uwienieczone spłotami róży jerychońskiej. Dostrzegamy pokój niewielki, wdzięczny i podobny chyba do wnętrza pudełka na ciasteczki. Ściany całe obciążnięte różowym atłasem, który w festony się układając, złączył się u stropu w formę do góry dnem przewróconego koszyka. Aniołek z alabastru, kunsztownie wyrzeźbiony, złotą szpilką przebija grube fałdy materji i nawiązane w ten sposób, trzyma drobną swą rączką. Naokoło stoją piękne meble, takimże atłasem pokryte, a wśród nich maleńkie stoliczki, mnóstwem świecących cacek zastawione.

Na niziutkim foteliku, nieopodal od okna, siedzi młoda dziewczeczka, odziana w białą, powiewną suknię, ujętą w pasie błękitną wstążką; rozpuszczone włosy podtrzymuje także wstążka błękitna. Młoda dziewczeczka, podparłszy głowę jedną ręką, z natężoną uwagą wpatruje się w mówiącego mężczyznę. Twarz mówiącego ożywiona zapalem, a z ust płyną potoki słów, któremi zachwyca się nie tylko nasza dziewczeczka, ale i starsza kobieta, która oderwawszy oczy od jakiejś ozdobnej robótki, wpatruje się w mówiącego. A mówiący mężczyzna jest szlachetnie piękny. Urodę jego podnosi polski ubiór, składający się z amarantowego kontusza, u którego wyloty podszyte, były błękitnym atłasem. Żupan był tego samego koloru spięty pod szyją spinką, wyobrażającą pogoń litewską. Drzwi pokoju cicho się otworzyły, a w nich stanął mężczyzna mogący mieć lat 50. Ubrany był po francusku,

twarz wygolona, a głowa przyozdobiona była peruką mocno wypudrowaną.

— A! jesteś tu Waś — rzekł wchodzący mężczyzna — więc cię ze sobą zabiorę, mam bowiem pilną korespondencję. Przepraszam jednak, że lekcję przerywam.

Gdy mężczyzna w francuskim stroju wymówił pierwsze wyrazy, zerwał się żywo młodzieniec w polskim stroju, a skłoniwszy się paniom, wyszedł razem z jegomością, który tak nie w porę wszedł do różowego saloniku.

Zapytacie może, czy obrazy, które wam pokazałam, są utworem fantazji, czy też rzeczywistością? Otóż pokazuję wam najprawdziwszą rzeczywistość; wspaniały pałac, to Puławy. Młode dziewczątko, słuchające z takim zajęciem wykładanej lekcji, to księżniczka Marja Czartoryska, młodzieniec w polskim stroju, to Dionizy Franciszek Książnin, poeta, żyjący za czasów panowania Stanisława Augusta. Kobieta z robotą, którą widziałyście w różowym saloniku, to księżna Izabella Czartoryska, matka księżniczki Marji, a jegomość w peruce, który przerwał lekcję, to książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Do stałych mieszkańców Puław należał znakomity w swoim czasie poeta Franciszek Dionizy Książnin; był on sekretarzem księcia generała, a poza tem wykladał księżniczkom historję i literaturę.

Poetę poznaliśmy w chwili, gdy z zapalem wykladał swojej ucznicy piękne, podniosłe chwile z dziejów naszej ojczyzny.

A że Książnin ojczyznę miłował nadewszystko, to też dzieje należące do przeszłości historycznej były dla niego najmiłszym tematem do rozmowy. W owych chwilach twarz jego ożyiała się w sposób niezwykle, a zapal,

z jakim opowiadał, udzielał się słuchaczom, rozbudzając w nich szlachetne uczucie, miłość ojczyzny. Uczucie to znalazło w sercu księżniczki grunt urodzajny.

Młodzieńcze to serduszek biło tak silnie, kochało tak gorąco ojczyznę, o której prawil Książnin tyle pięknych rzeczy.

Gdy książę Adam niespodziewanem wejściem do różowego saloniku przerwał rozpoczętą lekcję, wcale z tego nie była rada księżniczka Marja. Ona słuchała wykładu z taką ciekawością, bo temat był tak zajmujący! Książnin mówił o cywilizacyjnych zasługach Kazimierza Wielkiego. To też po wyjściu obu panów, twarzyczka księżniczki przed chwilą tak ożywiona, zasępiła się i posmutniała. Nauczycielka Francuzka nie pozwoliła jednakże pozostać dziewczynce w zadumie, lecz wezwała ją do lekcji.

Jednakże uczenica była przy lekcji rozlagniona, nieuwważna, co bardzo zdziwiło nauczycielkę, księżniczka bowiem była zawsze tak pilna, taka sumienna w wykonywaniu swoich obowiązków. Nauczycielka sądziła, że przyczyną nieuwagi musi być słabość, więc lekcję przerwała i zaproponowała przechadzkę po ogrodzie. Dzieweczka chętnie zgodziła się z nauczycielką, więc niebawem wyszły obydwie. Lecz i w ogrodzie księżniczka Marja, wbrew swemu zwyczajowi, nie zachwycała się kwiatkami — nie szczebiotała wesoło, lecz szła zadumana. A przyczyną zadumy była myśl, która młodą główkę zaniepokoiła. A niepokoiło ją następujące pytanie, które sama sobie zadawała. Czy wystarczy kochać ojczyznę nic dla niej nie robiąc? Wszak wszyscy ludzie, których pamięć żyje w historii, dowody miłości dla ojczyzny złożyli w czynach;

jedni składali na jej ołtarzu krew swoją i życie, inni naukę, a inni mienie. Zatem miłość ojczyzny bez czynu na nic się nie przyda. A ja nic dla ojczyzny nie robiłam, nic, a przecież kocham ją gorąco, ale to mało, to jeszcze tak mało, powtarzała sobie smutnie i dlatego to cieszyć się i szczebiotać nie mogła. Och, gdybym była mężczyzną, to przyszedłoby mi tak łatwo ojczyźnie służyć. Lecz czyżby kobieta nie mogła służyć także ojczyźnie? To być nie może. Bo wszakże historia mówi także o kobietach zasłużonych. Więc i ja mogę stać się pożyteczną, tylko w jaki sposób? W jaki sposób? pytała się sama siebie niespokojnie. Ale w młodej dziecięcej główce nie mogła znaleźć odpowiedzi. To też westchnęła głęboko i zawołała: „Ojcze niebieski, Ojcze, wesprzyj Ty mnie Twoją świętą radą!“ I chciała się modlić dłużej, lecz słów własnych zabrakło jakoś dziewczęciu, więc zaczęła modlić się bezwiednie prawie słowami Książnina:

Ojcze — to bowiem imię ci właściwe,
Tem się kazałeś codziennie nazywać;
Natchnij mnie Sobą, daj uczucia żywe,
Którymi pragnę cześć Twoją opiewać.
Oto niezwykłym nastrojonym tonem,
Składam Ci arę przed najwyższym tronem.

Lecz, wymówiwszy ostatnie dwa wiersze powyżej przytoczonej zwrotki z hymnu do Boga, przerwała nagle, bo zauważyła, że modlitwa dla niej niestosowna. Poeta mógł się modlić temi słowami do Boga, on, układając piękne wiersze, wielbi niemi Boga, ale zarazem oddaje przysługę ojczyźnie. Bo wszakże poeci są chlubą narodu.

Książnin poeta, szczęśliwszy odemnie, myślała dalej księżniczka, nie potrzebuje sobie głowy biedzić, w jaki

sposób będzie służył ojczyźnie. Ot, układa piękne wiersze i niemi uszlachetnia dusze czytelników. Dalszy tok myśli przerwała księżniczce nauczycielka, pytając o powód smutnej zadumy. Dziewczynka chwilę się wahała z odpowiedzią, lecz wkońcu wypowiedziała wszystkie myśli, które ją tak bardzo zaniepokoiły.

Nauczycielka pocieszyła ją mówiąc: „I ty, dziecko kochane, możesz stać się pożyteczną ojczyźnie, tylko cierpliwości. Wszakże wszyscy wielcy mężowie wstawili się nie jako dzieci, lecz jako dorośli, więc i na ciebie czas przyjdzie; teraz nie pozostaje ci nic innego do czynienia, jak tylko pracować nad ukształceniem swego umysłu. Bo tylko ludzie rozumni, tylko ludzie myślący mogą stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa, w którym żyją. Dalszą rozmowę nauczycielki z uczennicą przerwała nadchodząca z resztą dzieci księżna matka. Księżniczka Marija przytuliła się pieszczotliwie do matki, a młodsze jej rodzeństwo obskoczyło nauczycielkę, zasypując ją tysiącem rozmaitych pytań. Wreszcie wesół gromadka zabrała ze sobą nauczycielkę, aby się jej pochwalić ogródkiem, w którym rosły kwiatki, własną ich ręką zasadzone a przyozdobione dziś niezmiernie wodotryskiem, który urządził ogrodnik.

Matka z córką zostały same i pokierowały swe kroki w stronę Wisły. Doszedłszy do brzegu Wisły chciały spocząć na kamiennej ławeczce, lecz ta nie była wolną, siedział na niej młodzieniec, lecz tak był w myślach swoich zatopiony, że dostrzegł nadchodzące kobiety w chwili, gdy te obok ławeczki stanęły. Zerwał się na ich widok i powitał głębokim ukłonem. Matka z córką usiadły na ławeczce, a pierwsza zaprosiła poetę, był to bowiem Knia-

żnin, aby usiadł z niemi. Książnin w tej chwili jednakże inaczej wyglądał jak wówczas, gdyśmy go po raz pierwszy w różowym salonie ujrzeli. Dlaczego? wszak od owej chwili upłynęło zaledwie godzin parę. A ludzie nie zmieniają się w tak krótkim czasie. Twarz Książnina w chwili, gdyśmy go poznali, była tak piękna, tak ożywiona! Teraz twarz ta była posępna, jakiś smutek głęboki wyryty był na tej szlachetnej twarzy, nie okraszał jej rumieniec, lecz powlekała bladość niemal chorobliwa. Zmianę tę musiała dostrzec księżna Izabella, bo zapytała dobrotliwie:

— Czy Waść nie chory?

— Dziękuję za pamięć Waszej Księżęcej mości, lecz zdrów jestem zupełnie.

— Więc jaka jest przyczyna tej bladości twarzy, panie Dionizy — pytała dalej księżna. — Może Waść doznałeś jakiej przykrości od którego z dworzan?

— Nie, miłościwa pani, nie — przerwał żywo poeta — przyczyną mego smutku nie jest terażniejszość, która dzięki dobroci obojga miłościwych państwa jest bardzo przyjemna.

— Ot, komplementa Waść prawisz — przerwała księżna, a nie zważając na żywe zaprzeczenia poety, mówiła dalej: — Powiadasz, że terażniejszość jest ci przyjemna, a siedzisz zaszępiiony i blady.

— Smutne myśli z przeszłości są powodem mego smutku — mówił, tłumacząc się zakłopotany poeta. — Myślałem daleko, w domku moim rodzinnym, który stał na przedmieściu Witebska. W tym domku ujrzałem mego starego ojca na łożu śmiertelnem. Umierał biedny starzec z ran, które poniósł w obronie ojczyzny, należał bowiem do konfederacji barskiej. Przy konającym stała

matka moja. Była spokojna, ale taka blada, taka smutna okrutnie. Jedną ręką trzymała mnie malca wówczas za rękę, a drugą dopomagała trzymać umierającemu gromnicę. Po śmierci mego ojca nie ujrzałem już nigdy uśmiechu na twarzy ukochanej matki, nie posłyszałem melodyjnych dźwięków, którymi mnie niegdyś kołysała do snu.

— Zato ze strachem spoglądałem na tę twarz ukochaną, która z dniem każdym stawała się chudsza i bledsza. Aż dnia pewnego twarz biednej kobiety stała się taką białą jak pościel, na której leżała, i wtedy powiedziano mi okrutne słowa, że jestem sierotą bez ojca i matki. Ojcowie jezuici witebscy przygarnęli sierotę do siebie, a widząc mnie tak ciężko strapionego, kazali szukać pociechy u Ojca w niebiesiech. „Nie jesteś sierotą, mówili, bo tam w niebie jest Bóg“. Do niego zatem zwróciło się wtedy serce moje. W modlitwie szukałem zapomnienia i uspokojenia, ale chwilami porywała mnie taka rozpacz, że byłbym krzyczał w niebogłosy.

— Ojcowie jezuici namawiali mnie wtedy, bym przywdział sukienkę zakonną, bym nie opuszczał klasztoru, w którym dobroczynne światło nauki odbierałem. Mnie wprawdzie świat nie nęcił, lecz łatwo to pojąć, że 14-letni chłopak, tyle bowiem lat miałem podówczas, czuł jakąś trwogę na myśl dobrowolnego zamknięcia się na życie całe w murach klasztornych. To też pomimo znękania nie mogłem się zdobyć na to, by zastosować się do rady ojców jezuitów. Zostałem wprawdzie w klasztorze, bo ten po śmierci moich rodziców stał mi się jak gdyby domem rodzinnym, lecz nie jako zakonnik, ale jako uczeń. Do nowicjatu wstąpiłem dopiero po nieszczęsnym

roku 1772*), t. j. w czasie, gdy nasi wrogowie pozabierali sobie po kawałku polskiej krainy. Mnie wówczas zdawało się, że ojczyzna ukochana już zginęła. Uszczuplenie granic brałem za upadek ojczyzny, to też ogarnęła mnie taka boleść, takie zniechęcenie do życia, że zdecydowałem się wstąpić do klasztoru.

Nim jednakże ukończył się mój nowicjat, papież Klemens XIV skasował zakon jezuitów, więc musiałem wraz z innymi mury klasztorne opuścić. Postanowiłem jednakże wstąpić do innego klasztoru. Ale mój opiekun i doradca, ksiądz Łuski, odwiódł mnie od tej myśli, a zachęcał do pracy naukowej, mówiąc, że pracując na tem polu, mogę stać się pożytecznym. Obaj wyjechaliśmy z Witebska do Warszawy, gdzie znalazłem pomieszczenie w bibliotece Załuskich i tam pracowałem aż do chwili, w której wasz miłościwy małżonek, książę generał Ziem Podolskich, ofiarował mi urząd sekretarza i do pałacu zabrał, gdzie dzięki dobroci waszej książęcej mości, na niczem mi nie zbywa. Mam dosyć wolnego czasu, aby nagromadzone skarby w bibliotece puławskiej studjować.

— Skoro, jak sam Waś powiadasz — mówiła księżna — jesteś obecnie zadowolony, bo ciężkie rany przeszłości dobroczynna czasu ręka zabiłiła, to nie trzeba być tak chmurnym, nie trzeba smutkiem swoim niepokoić nas wszystkich, tobie życziwych.

— Daruj mi, miłościwa księżno, ale takie już moje usposobienie, albo trapią mnie smutne wspomnienia z przeszłości, albo trwoży przyszłość naszej biednej ojczyzny, i nie mogę się weselić z innymi.

*) W roku 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Polski.

— Po co się trwożyć przyszłością — mówiła księżna — lepiej dla pomyślności kraju pracować. Waść masz talent.

— Czy jednak jest to talent? — mówił poeta, zapadając w jakąś tęskną zadumę, z której wyprowadziła go księżniczka, dotąd w milczeniu przysłuchująca się rozmowie matki z Książninem.

— Czyż można o tem wątpić? — zawołała księżniczka — czy nie mając talentu, możnaby coś równie pięknego napisać, jak wiersz „O wielkości Boga“. A gdy jej nikt ze słuchających nie odpowiadał, zaczęła słodkim głosem wiersz ten deklamować:

Boże! Tyś wielki, Tobie cześć i chwała!
Jako płaszcz jaki, jasność Cię odziała;
Ten namiot ręką Ty rozbiłeś Twoją,
Niebo, nad którym wody, wisząc, stoją,
Chmury Twój powóz, wiatry Twoje cugi,
Burza posłańcem, a pioruny sługi.

Ta ziemia, Twoją utwierdzona mocą,
Twojem skiniem dzień idzie za nocą;
A której służą i światłość i cienie,
Przepaści mgłę jej dały za odzienie.
Skoroś rzekł słowo, a nieba zagrzmiały:
Pola w dół poszły, a ku górze skały.

Morzu granicę wytknąwszy na wieki,
Źródłami z opok pozbierałeś rzeki,
Tu się zwierz chłodzi, co na polu żyje,
Tu łoś, tam jeleni upragniony pije;
Tam po gałęziach płaszcza z rozkoszą
Pienia Ci wdzięczne naprzemiany głoszą.

Ty na Twem niebie, o Panie nad Pany!
Ronisz na ziemię deszcz nader żądany;
A ona starczy, Twojej łaski syta,

Wszystkiego wszystkim: stąd trawa obłita
Tuczy bydłętą; stąd dla ludzi ziele,
Stąd siły z chleba, stąd z wina wesele.

Taż wilgoć żywi dęby, sosny, klony,
I cedr libanu Twą ręką szczepiony:
Gdzie ptak rozliczny z pisklętami żyje,
Gdzie jeleni buja, gdzie się zając kryje.
Zna swoje pory twarz księżycza błada,
Zna słońce, kiedy wstaje i zapada.

Tu głodne lwiąta wychodzą w potrzebie,
Rycząc, pokarmu żądając od Ciebie.
Powstało słońce: wnet cała gromada
W swoich się łóżach spokojnie pokłada.
Tymczasem człowiek od porannej zorze,
Idzie pracować ku wieczornej porze.

Któż to wyliczy, co morze ukrywa?
Twoje to wszystko, co leci, co pływa,
Otworzysz rękę? wszyscy nasyceni!
Zwrócisz oblicze? wszyscy zasmuceni!
Ducha im weźmiesz? wniwecz się obróca!
Ducha im natchniesz? do życia powrócą.

Niechże Ci odtąd, o rządco Syjonu!
Głos mój i lutnia brzmi moja do zgonu.
Niech złych na ziemi nie postanie noga.
A ty, ma duszo! chwał wielkiego Boga,
Który, gdy spojrzy, ziemia drży i który
Ledwie tknie ręką, z dymem pójdą góry.

Księżna z przyjemnością przysłuchiwała się deklamacji, a musiała ona także i poecie przyjemność sprawić, bo smutek tęskny pierzchnął z twarzy, a jego miejsce zajęło słodkie rozrzewnienie.

— Ślicznie, Marychno! ślicznie! — zawołała księżna żywo, gdy dziewczeczka skończyła deklamację, — sprawiłaś

mi prawdziwą przyjemność i prawdopodobnie przekonałaś naszego niedowiarka, że Pan Bóg dał mu dar drogocenny, który go winien napawać szczęściem.

— Jednakże zaczyna robić się chłodno, a ty, Marychno, jesteś tak lekko ubrana, chodźmy zatem do domu.

Sympatyczną księżniczkę Marychnę spotkał w dalszem życiu los ciężki: wyszła młodo za mąż, za księcia Wirtemberskiego spokrewnionego z królem pruskim i rodziną carską w Petersburgu.

Księżniczka Marja, wychodząc za mąż za cudzoziemca, mającego tak wysoko położonych krewnych, sądziła, że stosunki z rodzinami panującymi przyniosą korzyść Polsce, chylącej się do upadku.

Księżna doznała jednak bolesnego zawodu; książę Wirtemberski spokrewnił się z pierwszą w Polsce rodziną jedynie dlatego, żeby mieć możność szpiegowania naszego narodu i donoszenia pokrewnym sobie dworom.

Wykryto wkrótce zdradę księcia Wirtemberskiego i wtedy księżna, nie chcąc żyć ze zdrajcą, rozłączyła się z mężem i wróciła do matki. Jedyną jej pozostał pociechą mały synek. Lecz i ukochanym dzieckiem niedługo się cieszyła. Niegodziwy książę Wirtemberski odebrał jej syna i wychowując go sam, zaszczerpił w sercu jego nienawiść do narodu matki. Dla serca szlachetnej, kochającej Ojczyznę kobiety, trudno wyobrazić sobie większą katuszę.

A jakże zniósła wszystkie te nieszczęścia księżna Wirtemberska? zapytacie. Cierpiała okropnie, ale nie zła-mała się pod brzemieniem nieszczęść. Przychodziły na nią chwile ciężkie bardzo, wtedy ogarniało ją zniechęcenie, lecz miłość ojczyzny obroniła ją od beczynnego

załamania rąk, a wiersz Książnina „Do obywatela“, który przypomniła sobie w chwili takiego ciężkiego zwątpienia, nakazał jej wziąć się do pracy pożytecznej.

Poeta w wierszu tym pyta:

Któż obywatel? Ten, co swemi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije.
Któremu wdzięczni rzekną bez obludy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!“
Który, jak drzewo, wśród burzy otuli
Skupioną trzodę swych liści ramieniem!
Biegną, śpiewając tam, pasterze czuli,
Cieszymy się pod tym dobroczynnym cieniem!

Wiemy już, że księżna Marja, dzieckiem będąc, czuła się obywatelką i czynem okazać chciała miłość dla ojczyzny.

Ta chęć nie opuściła jej nawet wtedy, gdy tak na nią, jak i na kraj cały spadły klęski najstraszniejsze. Gdzie są dowody działalności księżnej, zapytacie?

Chodźmy do Puław, tu bowiem zamieszkała księżna Wirtemberska, od czasu rozłączenia się z mężem, a rozłączyła się z nim, z powodu zdrady, dowiedzionej mu przejętym listem.

Chodźmy i popatrzmy, w jaki sposób nieszczęśliwa księżna Wirtemberska urządziła sobie życie.

W jednym z licznych pokoi pałacu puławskiego, w stronie zwróconej ku Wiśle, siedzi księżna Wirtemberska przy biurku, a drobna jej rączka biega po papierze szybko. Pomimo szybkości ręka nie może nadążyć myślom, snującym się po głowie młodej kobiety: Chodźmy i spojrzymy. Na biurku leży rękopis zatytułowany: „Malwina, czyli domysłność serca“.

Widzimy zatem, że księżna Wirtemberska poświęca czas swój pracy literackiej. „Malwina, czyli domyślność serca“, jest to powieść, którą napisała księżna. W czasach, w których żyła księżna Wirtemberska, nie było prawie powieści polskich. Czytywano zatem obce, mianowicie też powieści francuskie. Pomimo że wówczas w Polsce byli poeci i ludzie, piszący poważne naukowe dzieła, to przecież nie było żadnego powieściopisarza. A nawet znaleźli się ludzie, którzy twierdzili, że język polski jest za twardy, aby nim móc wyrazić uczucia tkliwe. Otóż księżna Wirtemberska, chcąc zaprzeczyć powyższemu twierdzeniu, postanowiła napisać powieść, która niebawem, przyozdobiona rycinami, pojawiła się w druku. Powieść polska była takim szczegółem wówczas, że publiczność rozchwyciła nowość i niemal jednym tchem przeczytała. To nic dziwnego, że nowość rozchwycono, ale to dziwniejsza, że powieść podobała się ogromnie. Wszyscy zajęli się Malwiną i o niej toczyły się żywe rozmowy. Na dowód, jakie nowa książka budziła zajęcie, opowiem wam to, że sławny matematyk Śniadecki, odłożywszy na chwilę naukowe dzieła, zabrał się do czytania Malwiny, a przeczytawszy takową, napisał krytykę tej powieści, przyznając jej wielkie zalety. Wkrótce po wyjściu książki zniknęła ona z półek księgarskich, a że czytelnicy ciągle zgłaszali się i żądali Malwiny, więc wydano ją powtórnie, lecz i drugie wydanie również rychło rozeszło się. W przeciągu kilku lat musiano 4 razy przedrukować Malwinę. A korzyść z tej książki była dwojaka, bo sprawiała ona przyjemność czytelnikom, przekonując tychże, że powieści można pisać nie tylko po francusku — i przyniosła ulgę

ubogim. Księżna Wirtemberska bowiem przeznaczyła dochód z książki na cele dobroczynne. Jak bardzo Malwina podobać się musiała, dowodzi także i to, że ją przetłumaczono na język francuski i rosyjski.

Działalność księżnej nie ograniczała się do pisania książek. Pozakładała ona w licznych włościach, należących do Puław, szkoły dla dziewcząt i zakłady dla chłopców. W pierwszych uczono wszystkiego, co przydać się może gosposi wieśniacze, w drugich kształcono parobków i gospodarzy. Zakłady te odwiedzała często księżna Marja, nadając im właściwy kierunek. Zaczęło się księżnej pomyślało nie tylko o nauce dla swoich wychowanków, ale i o rozrywce. Zapragnęła dać im książkę, w której znalazłiby, obok miłej rozrywki i pokarm dla ducha. Jednakże książki takiej nie było wówczas. Księżna zatem zabrała się do napisania takowej. W tej pracy dopomagała jej także matka, księżna Czartoryska. To też niebawem wyszła z druku książka pod tytułem: „Pielgrzym w Dobromilu“. Książka owa składa się z dwóch części, w pierwszej mieszczą się opowiadania z dziejów Polski, część ta jest pracą księżnej Czartoryskiej, w drugiej znajduje się sześć powieści z życia ludu wiejskiego. Właśnie ta część druga jest pióra księżnej Wirtemberskiej.

„Pielgrzym w Dobromilu“, to książka nader pożyteczna i miła, doczekała się też kilku wydań. Jako dziecko czytałam „Pielgrzyma“, a czytanie to było dla mnie prawdziwym ucztowaniem. Powieści zawarte w „Pielgrzymie“ są tak piękne, że raz przeczytane, pozostają w pamięci, a samo przypomnienie tychże sprawia przyjemność. Prace literackie księżnej Wirtemberskiej, obok pożytku, jaki przynosiły czytelnikom, mają jeszcze drugą zasługę, bo za-

chęciły innych do pracy piśmienniczej powieściowej i ludowej. Mianowicie też wiele kobiet zaczęło pracować piórem z pożytkiem dla społeczeństwa, jak również obudziły w klasach wykształceńszych chęć zajęcia się ludem wiejskim, tej naszej braci młodej, której powinniśmy rękę pomocną podawać, podobnie jak to robiła księżna Wirtemberska.

Posłuchajcie jeszcze, w jaki to serdeczny sposób zbliżała się wielka pani do mieszkańców chaty. Oto schodziła tam jako chrzestna matka. Niemal w każdej chacie miała chrzestną córkę lub syna, a dziećmi temi opiekowała się nie jak chrzestna, lecz jak prawdziwa matka.

— A jakież los spotkał książąt Adama i Konstantego? — zapytacie.

— Och! przeszli oni niejedną ciężką chwilę. Posłuchajcie. Mały Adaś przykładał się szczerze i gorliwie do nauki, to też rodzice, widząc pilność syna, wróżyli mu świetną przyszłość, jak nas przekonywują słowa matki, pisane w liście do syna: „Kocham cię więcej, niż to wyrazić mogę. Kocham za to, czem już jesteś i za to, czem mi być obiecujesz“.

Książę Adam, jako młodzieniec, walczył w obronie praw ojczyzny wówczas, gdy Targowiczanie naprowadzili na kraj Moskali. W wojnie, która poprzedziła trzeci rozbiór Polski, wojska moskiewskie zrabowały i zniszczyły Puławę, a uroczę Powązki z ziemią zrównały. Książę generał ziem podolskich był zacnym obywatelem polskim, duszą całą pracował dla ojczyzny. Nie żałował też pieniędzy dla popierania powstania Kościuszkowskiego. Oczywiście zasługi obywatelskie księcia były zbrodnią wobec Moskwy i dlatego to pozwolono pijanemu żołdactwu poniszczyć siedziby książęce.

Mściwej carowej Katarzynie nie wystarczyło to jednak; skonfiskowała, to jest zabrała na własność rządu dobra księcia generała. Był to cios straszny dla rodziny księcia nie tylko dlatego, że w jednej chwili z bogatych stawali się ubogimi — ale zwłaszcza dlatego, że było u nas w zwyczaju, iż mniej zamożni, uboższa szlachta, składali swój majątek dla większego bezpieczeństwa i pobierania większych procentów w ręce magnatów, którzy te kapitałiki na swoich dobrach lokowali. Otóż na dobrach księcia generała ciążyło takich długów do 24 milionów! Książę, przez utratę dóbr, nie byłby w stanie zwrócić pieniędzy tym, co mu je powierzyli. Wielu uczciwym rodzinom byłaby stała się wielka krzywda, a ta myśl sama była już okropną dla całego domu księstwa!

Rząd austriacki wstawiał się u carowej za księciem generałem; Katarzyna odpowiedziała, że chyba w takim razie uchyliłaby konfiskatę dóbr, gdyby książę generał synów swoich przysłał jako zakładników do Petersburga.

Możecie wyobrazić sobie, jak ciężkim był ów warunek dla księstwa i książąt, którzy podówczas byli już młodzieńcami. Jednak, jakkolwiek obydwaj woleliby byli śmierć, niż życie wśród wrogów, nie namyślali się długo i postanowili jechać do Petersburga; nie mówiąc już bowiem o narażeniu rodziców na ubóstwo, nie mogli dopuścić pokrzywdzenia ich wierzycieli.

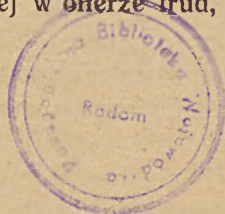
W maju roku 1795 stanęli na dworze mściwej carowej, która nakazała książętom wstąpić do służby wojskowej. Książęta musieli być posłuszni. Za tę uległość nagrodziła im carowa, robiąc im podarunek z owych dóbr, zabranych rodzicom.

W Petersburgu poznał i zaprzyjaźnił się książę Adam z wnukiem Katarzyny, Aleksandrem. Gdy tenże po śmierci babki i syna jej, Pawła, został sam carem, mianował księcia Adama najpierw ministrem spraw zagranicznych w Rosji, a później kuratorem, t. j. najwyższym opiekunem zakładów naukowych w Polsce. Na tem stanowisku oddał książę Adam wielkie usługi krajowi. Po ustanowieniu Królestwa Kongresowego piastował tu książę Adam wysokie urzędy, aż do chwili upadku powstania polskiego, roku 1831.

Po upadku powstania musiał opuścić kraj, zamieszkał w Paryżu. Tu zajmował się pisaniem poważnych dzieł, starał się także być użytecznym dla drugich: uwolnił od pańszczyzny chłopów w dobrach swoich w Sieniawie.

Książę Konstanty w odmienny sposób był także użyteczny krajowi: najpierw służył w wojsku Księstwa Warszawskiego, w roku 1812 odbył kampanję w armji Napoleona, odznaczył się w bitwie pod Smoleńskiem, a pod Możajskiem był ranny.

Przekonaliście się, że dzieci księcia generała, idąc za przykładem swoich przodków, służyły zacnie ojczyźnie, składając jej w ofierze trud, pracę, naukę, krew i mienie.



48235

SPIS RZECZY

	Strona
ŚWIĘTA KINGA	5
NATCHNIENI DUCHEM BOŻYM	73
MARAŚ I JAŚ SOBIESCY	157
UROCYSTOŚCI WIELKANOCNE W DAWNEJ POLSCE	175
KOLEDZY	195
DZIECI KSIĘCIA GENERAŁA	229

1801-

1628/82

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 48235



BGZs 48235